

STANISŁAW LEM

WYSOKI ZAMEK

WYSOKI ZAMEK

Widzę teraz, jak bardzo nie udało mi się urzeczywistnić pierwotnego zamiaru, z którym brałem się do pisania — aby zawierzyć pamięci, pójść posłusznie pod jej komendą, a nawet, powściągnąjąc refleksje, wysypywać z niej jak z garnka na stół wszystko, cokolwiek się zdarzyło — w domniemaniu, że skoro utrzymała to, widocznie jakoś było ważne, więc może ta rozsyпка, jak okruszyny kolorowego szkła z rozprutego kalejdoskopu, ułoży się w jakiś wzór znaczący. Albo może nie jednoznaczny wzór, ale ich wielość, wzajem się przenikająca, w której będzie można znaleźć rozmaite uporządkowania, choćby w stanie szczątkowym, nieśmiało aluzyjnym, i że w ten sposób nie tyle powtórzą w skrócie słów moje dzieciństwo, stanowiące wszak dziś tylko pojęcie abstrakcyjne, mnie niby, ale rozmazanego wzdłuż kilkunastu kalendarzy, poprzez wszystkie ich kartki czarne i czerwone, ile nakreślę dzięki takiemu podstępowi portret — czy mechanizm — pamięci, która nie jest przecież ani zupełnie obcym mi schowkiem doskonale biernym, pustką pojemną, biurkiem duszy, z mnóstwem szpar i skrytek, ani mną. Nie jest mną, bo przedstawia samoswoją siłę, nie w tych samych miejscach akurat łapczywą, nie w tych samych wyczuloną lub obojętną co ja — niejednego przecież nie utrzymała z tego, co bardzo bym chciał zapamiętać, i na odwrót, wiele to razy utrzymywała to, na czym mi najmniej zależało. A więc ją chciałem raczej, niż siebie, nakłonić w wyższym stopniu do składania zeznań, aby powstał jej rysopis, za który zresztą gotów byłbym wziąć odpowiedzialność, chociaż wcale nad nią nie panowałem i nie panuję. Miało to być eksperyment, którego rezultatów doprawdy byłem ciekaw, zupełnie, jakby to nie o mnie szło, nie ze mnie miały płynąć obrazy i relacje, ale z ust kogoś, kim nic jestem. Tak się tylko jakoś złożyło, że ów ktoś siedział we mnie, dawno temu, był niejako schowany, tak jak wewnętrzne słoje drzewa, z czasu jego dzieciństwa i młodości, są otoczone mnóstwem nawarstwień wieku dojrzałości. W tym sensie można już prawie dosłownie uznać, że tamto młode drzewko sprzed dziesiątków lat jest w tym dużym ukryte. Doprawdy nie wiem, kiedy po raz pierwszy nadzwyczaj zdziwiłem się tym, że jestem, a zarazem pewno trochę przestraszyłem się, że mogło mnie wcale nie być albo też mógłbym być jakimś patykiem, albo dmuchawcem, nogą kozy lub ślimakiem. A nawet kamieniem. Chwilami wydaje mi się, że to było jeszcze przed wojną, więc w czasach tu opisywanych, ale nie jestem tego całkiem pewny. W każdym razie zdziwienie to już mnie nie opuściło, chociaż nie stało się monomanią. Napoczywałem je później z różnych stron, rozmaicie, się do niego dobieierałem, a czasami bywało tak, że prawie już uznawałem to uczucie za kompletny nonsens, za coś, czego należy się wstydzić jak ułomności. Ale potem znów wracało pytanie, dlaczego właściwie myśli idą w głowie w tę, a nie w tamtą stronę, co nimi rozporządza i dyryguje; przez czas jakiś dosyć mocno wierzyłem w to, że duszę — a właściwie świadomość, mam gdzieś około czterech czy pięciu centymetrów wewnątrz twarzy, za nosem, odrobinę niżej, niż znajdują się oczy. Czemu tak, nie mam pojęcia. Była to zapewne „podfilozofia”, podobnie jak kiedyś. jeszcze wcześniej, zamiast myślenia było jakieś „pod” albo „przedmyślenie”. I to też chciałem razem z całym dobrodziejstwem inwentarza wytrząsnąć z pamięci. Miało się to zrobić samo, trud zaś — ograniczyć się wyłącznie do przypominania, potrzebna niejako owym metaforycznym garnkiem — ale się nie udało. Widzę, że czy chciałem, czy nie chciałem, wspominając, równocześnie to wspominałem porządkowałem, i to tak, by układało się w tropy, „wskazujące dosyć wyraźnie w moją stronę, mnie dzisiejszego, tak zwanego literata, to znaczy człowieka, który wykonuje jeden z mniej poważnych i bardziej żenujących zawodów: szalenie pracowitego zmyślenia, opatrywanego różnymi uczonymi lub uwyrażniającymi nie wiadomo co nazwami, w rodzaju „warsztatu pisarskiego”. Co do mnie, żadnego takiego warsztatu nie mam. W każdym razie dotąd go nie zauważyłem. A więc, cokolwiek wysypywałem z worka pamięci, od razu, w locie, było kierowane, zapewne bardzo leciutko. Nie ma tu mowy o jakichś drastycznych kłamstwach, o przeinaczeniu. Robiło się to całkiem samo, to każdym razie — nieumyślnie. Zresztą nie usprawiedliwiam się.

Dopiero teraz, wtórnie, jak detektyw, idący po śladach popełnionego występku, który polegał na prestidigitatorskim porządkowaniu nawet tego, co, gdy się działo, wcale nie było uporządkowane ani wskazujące w moją dzisiejszą stronę, widzę w całości, która przecież powstała, ową mierzącą we mnie, o ćwierć wieku późniejszego, strzałkę. Jest to tym dziwniejsze, że nigdy nie uważałem, abym się „urodził na pisarza”, aby h o c e r a t i n v o t i s . Zresztą dalej tak myślę. To znaczy, musiało w owym dzieciństwie i w pozostałej po nim rupieciarni znajdować się całe mnóstwo krzyżujących się tropów, kierunków do odczytania, do wykrycia, przeważnie bezładnych, kończących się ślepo, urwanych., a może to nawet i tropy nie były żadne, a jedynie bardzo dużo przestrzeni i czasem pooddzielanych od siebie wysepek; nie chaos zupełny, przecież już choćby to tylko, że był dom, szkoła, rodzice, że najpierw, zupełnie mały, przylepialem sobie do nosa zielone „skrzydełko”, a potem byłem większy, w mundurku, już to stwarzało dosyć wyraźny ład. Ale to był chyba taki ład, jak na szachownicy puste, gdzie można zobaczyć albo czarno–białe pasy biegnące wzdłuż, albo w poprzek, albo znów po przekątnej. Wystarczy odrobina wysiłku, włożonego we wzrok, aby wszystko tak się przestrurowało, jak zechcemy. Szachownica nadal pozostaje szachownicą i niczego więcej nie widzimy ponad to, co na niej jest naprawdę — białe i czarne kwadraty na przemian — a tylko porządek, kierunek, dyrektywa zmienia się znienacka. Chyba coś osobliwie podobnego stało się z otwartą tu szachownicą pamięci. Niczego nie dodałem, ale z wielu możliwych do odnalezienia ładów jeden przeakcentowałem. Czy tak się stało, bo mimo woli szuka się leitmotwu, osi wiodącej, konsekwencji życia? Żeby nie zdradzić nawet przed sobą, że tyle podjętych kierunków porzuciło się, zaprzepaściło, zmarnowało? Czy po prostu i tylko dlatego, ponieważ chcemy, aby to, co jest, tak jak i to, co było, zawsze miało jakiś porządkny i wyraźny sens, chociaż wcale tak nie musiało być? Jak gdyby nie wystarczyło tylko i po prostu żyć sobie, już nie mówią — w wieku dojrzałym, kiedy amebowatość, brak wyraźnych sensów, nie uchodzi — ale w dzieciństwie? Chciałem dopuścić do głosu dziecko uczciwie, nie przeszkadzając mu, jak się. tylko da — tymczasem obłowilem się. na nim, splądrowałem mu kieszenie, szuflady, kajety, żeby pochwalić się przed starszymi, jak dobrze się już zapowiadało, jakimi poczwarkami przyszłych cnót były jego grzeszki nawet, ażeby ten rabunek jakoś usprawiedliwić, zmieniłem go w piękny drogowskaz, w cały system nieomal, W ten sposób napisałem jeszcze jedną książkę — jak gdybym od początku nie wiedział, nie domyślał się, że inaczej być nie może, że wszelkie zamierzenia, patronujące protokolowaniu wspominków są uludą, owe powściągi srogie, aby . od siebie nic nie mówić. Mówiłem aż nadto wiele, komentowałem, interpretowałem, z cudzych sekretów i zabawek, bo nie swoich przecież, nie mam ich już, nie istnieją, zbudowałem temu malcowi nagrobek, zamknąłem go w nim, uważnie staranny, spokojny, rzeczowy, jakbym pisał o kimś wymyślonym, kto nigdy nie żył, kogo można urobić wedle kanonów estetycznych, podług woli i planu. To nie było fair. Tak się nie postępuje z dzieckiem.

I

Czy pamiętacie inwentarz zagadkowych rzeczy, jakie Laputańczycy znaleźli w kieszeniach Guliwera? Owe przedmioty tajemnicze i fantastyczne, jak grzebień–palisadę, ogromny zegarek wydający rytmiczny hałas i wiele innych, o przeznaczeniu zupełnie już ciemnym? Ja także byłem kiedyś Laputańczykiem. Zapoznawałem się z ojcem, wdrapując się na niego, kiedy siedział na krześle o wysokim oparciu i penetrowałem te z kieszeni jego czarnego, pachnącego tytoniem i szpitalem ubrania, do których mnie dopuszczał. W lewej kieszonce kamizelki nosił metalowy cylinder, podobny do pocisku na grubego zwierza, który rozkręcał się, ukazując w swym wnętrzu małą piramidkę nasadzonych, jeden na drugi, lejczków niklowanych; każdy następny miał średnicę mniejszą od poprzedniego. To były wzierniki. Sąsiednia kieszeń zawierała ołówek, wypisany już prawie do końca w czasie pierwszych moich badań, w złotej oprawce, która, naciśnięta — ale z siłą większą niż ta, na jaką się mogłem zdobyć — pstryknąwszy, wysuwała z siebie ołówkowy ogryzek. W surducie znajdowało się pudełko metalowe, kłapiące dosyć groźnie, z aksamitną wyściółką, tamże leżał maluteńki pugilaresik, nie na monety, bo w ogóle niczego nie zawierał, oprócz płotka zamszu, który sam się jakoś rozkładał, po rozpięciu guziczka. Było tam też maleńkie srebrne pudełeczko z prztyczkiem na wieczku, w którym leżała jakby srebrna płytką z przytwierdzoną do niej od spodu płaską gumką ciemnofioletową, ale tam nie wolno było wtykać palców, ponieważ od razu stawały się atramentowe, a po przeciwległej stronie, w surducie — okrągłe lustro z dziurką w środku, pęknięte, na czarnej gurtowej taśmie ze sprzączką. To lustro powiększało energicznie moją twarz, czyniło z oka rodzaj ogromnego stawu, w którym jak okrągła ryba pływała piwna tęczęwka, a obrastającym staw tatarakiem były masywne rzęsy. Na dewizce złotej zakotwiczony był, w kamizelce —..znowu, płaski zegarek, też złoty, z trzema kopertami. Miał cyfry, zwane rzymskimi, i mały sekundnik. Otwierać kopert odwrotnej strony sam nie umiałem i nie zawsze można to było robić. Żyły tam małe kółka z rubinowymi oczkami, świecąc sobie i chodząc. W ten sposób poznałem ojca; z bliska. Nosił białe koszule w cienką czarną kreskę, o mankietach przypinanych guziczkami, z także przypinanych, ale już spinkami, sztywnym kołnierzykiem. Sporo takich, starych już kołnierzyków leżało po szufladach bieliźniarki. Były miłe w dotknięciu przez swoją sztywność elastyczną i miałem zawsze wrażenie, że można by zrobić z nich coś ciekawego, pożytecznego, ale nie doszedłem tego, co by to mogło być. Krawat ojca był miękki, czarny, wyglądał jak szarfa, wiązał się w rodzaj kokardy. Kapelusz miał szerokie miękkie kresy i doskonałą do naciągania gumkę. Łaski były dwie, jedna się czasem gdzieś gubiła; były to łaski dość zwykłe — interesującą miał wujek, ze srebrną końską głową, a jakaś osoba niewymownie stara i ledwo się ruszająca, która przychodziła czasem, używała jeszcze innej łaski, o gałce z kości słoniowej. Jednakże z bliska nie widziałem jej nigdy, bo się przed owym przybyszem chowałem; wydawał przerażające sapanie. Nie wiedziałem, że wcale nie próbuje mnie w ten sposób przerazić. Miał to być podobno też jakiś wujek, zdaje się, że prawujek, ale w moim przekonaniu zupełnie nie wyglądał na wujka.

Mieszkaliśmy przy ulicy Brajerowskiej, pod czwartym numerem, na drugim piętrze. Chodziliśmy na spacer — ojciec i ja — zazwyczaj do Ogrodu Jezuickiego albo w górę alei Mickiewicza, w kierunku cerkwi Świętego Jura. Nie wiem, po co ojciec nosił łaskę, bo się na niej wtedy nie opierał. Zimowymi przedpołudniami, kiedy w ogrodzie było jeszcze zbyt wiele śniegu, przechadzaliśmy się Marszałkowską, przed Uniwersytetem Jana Kazimierza, gdzie zadarłszy głowę, mogłem oglądać ogromne półnagie postacie kamienne w osobliwych też kamiennych kapeluszach; spełniały nieruchomo swoje niepojęte funkcje: jedna siedziała, druga trzymała otwartą księgę, oparłszy ją o gołe kolano. Stałe zadzieranie głowy byłoby męczące, więc zasadniczo obserwowałem kroczącego obok ojca gdzieś do wysokości kolan

— niewiele wyżej. Razu jednego zauważyłem, że ojciec nosi nie swoje zwykłe, sznurowane buciki, ale jakieś całkiem mi nie znane, gładkie, bez śladu zapięcia. Znikły też jego kamaszki, z którymi się nie rozstawał. Skąd masz takie buciki? — spytałem zaskoczony, a wtedy z wysokości rozległ się obcy głos: A cóż to za śmiałość!

To nie był wcale ojciec, ale jakiś zupełnie obcy pan, do którego przyłączyłem się, nie wiedzieć jak; ojciec szedł kilkanaście kroków z tyłu.

Struchlałem. Było to nadzwyczaj niemiłe przeżycie, skoro tak dobrze udało mi się je zapamiętać.

Ogród Jezuicki nie był szczególnie wielki, ale i tak raz się w nim zgubiłem; było to jednak tak dawno, i taki byłem mały, że właściwie nie jest to własne moje wspomnienie, a tylko mi o tym opowiedziano. Między wysokimi krzakami, chyba leszczynowymi, bo miały czerwone witki, znajdowała się w pewnym miejscu wielka beka z wodą; zdaje się, że przeniosłem ją w trzydzieści lat później do opowiadania *Ogród ciemności*. Prawdę mówiąc Ogród Jezuicki nie stanowił żadnej atrakcji. Inaczej park Stryjski. Było tam jezioro o kształcie ósemki, a z prawej strony otwierała się alejka, wiodąca na koniec świata. Może dlatego, że nigdy się tamtędy nie chodziło, nie wiem. Może mi ktoś tak powiedział. Ale chyba jednak sam to wymyśliłem i nawet dość długo skłonny byłem w to wierzyć. Park Stryjski miał topografię zawiłą — jak również wspaniałe sąsiedztwo wystawowego terenu Targów Wschodnich. Zimą i latem królowała nad nim wieża Baczewskiego, czworoboczna, cała obłożona rzędami kolorowych pełnych butelek. Byłem ciekaw, czy tam jest prawdziwy likier, czy tylko kolorowa woda, ale nikt tego nie wiedział.

Do parku Stryjskiego zwykle się jechało dorożką, a do Ogródu Jezuickiego zwyczajnie się szło. A szkoda, ponieważ jezdnia przed Uniwersytetem była wyłożona specjalną kostką — drewnianą — i kopyta końskie uderzając w nią wydawały osobliwy dźwięk, zupełnie jakby pod spodem kryła się jakaś wielka przestrzeń. Nie znaczy to, aby przechadzki tak bliskie nie sprawiały mi przyjemności. U wejścia do ogrodu siedział człowiek z kołem szczęścia. Udało mi się kilka razy wygrać blaszane papierośnice, z żółtawymi w środku wstążeczkami do przytrzymywania papierosów, ale najczęściej tylko dwustronne lusterka kieszonkowe. Były tam też wózki z lodami, których nie wolno mi było jeść. A potem, gdy byłem trochę większy, spotykałem tam czasem Anusię. Staruszczyca, niewiele ode mnie wyższa, w drucianych okularach, z koszem precli, kiedyś była pierwszą moją piastunką. Preclle były albo dwa za pięć groszy, i te wołałem, albo grube, sztuka za piątaka. Na dziesięć groszy mówiło się „szóstak” — była to poważna gotówka.

Do domu wracało się z ogrodu albo prosto, albo drogą okrężną przez plac Smółki, z jego kamienną osobą pośrodku; a to w tym celu, aby w sklepie Orensteina kupić owoców albo nawet wiśniowy kompot w blaszanej puszcze, który był rzadkim rarytasem. Na wystawie leżały zawsze piramidy rumianych jabłek, pomarańcze i banany z owalną nalepką, opatrzoną napisem „Fyffes”. Zapamiętałem to słowo, ale nie wiem, co by mogło znaczyć. Troszkę dalej, gdzie zaczynała się już ulica Jagiellońska, było kino „Marysieńka”. Bardzo go nie lubiłem, ponieważ chodziłem tam z matką, kiedy, zdaje się, nie miała co ze mną począć. Tego, co się działo na ekranie, nie rozumiałem. Strasznie mnie to nudziło. Kończyło się nieraz tak, że powolutku, ukradkiem zsuwałem się z fotela na podłogę i zaczynałem na czworakach penetrować chłodne pobliże ziemi łącząc między nogami ludzi, lecz i to też szybko się przykrzyło. Musiałem więc czekać, aż się film skończy. Panowie i panie na płótnie otwierali i zamykali usta, nie wydając głosu, przygrywała tylko muzyczka. Zrazu, fortepianowa, później chyba z gramofonowych płyt.

Ale mieliśmy jednak wracać do domu. Z placu Smółki szło się przez Podleńskiego, ulicą nieciekawą, a potem przez małe uliczki, Szopena i Moniuszki, gdzie silny zapach kawy z palarni zwiastował już, że zaraz ukaże się nasza kamienica. Żelazna brama była czarna i ciężka, dalej — kamienne stopnie. Tylnymi schodami, tymi kuchennymi, nie należało

chodzić. Były spiralne, więc bardzo kręte, i wydawały głuchy blaszany pogłos. Coś mnie tam ciągnęło, lecz podobno na podwórzu, przez które należało pierwiej przejść, żyły szczury. Raz jeden naprawdę pojawił się aż w naszej kuchni, ale wtedy miałem już chyba dziesięć, a może jedenaście lat. Straszny był — kiedy poszedłem na niego z pogrzebaczem, skoczył mi na piersi; uciekłem i nie wiem, jak się jego losy potoczyły dalej.

Mieszkaliśmy w sześciu pokojach, a jednak nie miałem własnego. Przy kuchni był pokój przejściowy, z łazienką za drzwiami malowanymi tak samo jak ściana, starą kanapką, kredensem też starym, brzydkim, i szafkami podokiennymi, w których matka trzymała zapasy. Dalej korytarz, a z niego drzwi do jadalni, gabinetu ojca i sypialni rodziców; osobne prowadziły do strefy wyłączonej — poczekalni pacjentów i ordynacji ojca. Mieszkałem więc niby wszędzie, niby nigdzie. Najpierw sypiałem z rodzicami, potem na tapczanie w jadalni, usiłowałem się w jakimś miejscu osiedlić na stałe, ale jakoś nic z tego nie wychodziło. Kiedy było ciepło, okupowałem mały balkon kamienny, na który wychodziło się z gabinetu ojca. Przypuszczałem żeń ataki do okolicznych kamienic, bo kominy ich, dymiąc, zamieniały je w okręty wojenne. Chętnie również bywałem tam Robinsonem albo właściwie sobą na bezludnej wyspie. Zainteresowania moje jak powój wiły się od samego początku wokół doznań gastronomicznych, więc sprawą centralną było gromadzenie żywności. A więc, ziarna wyłuskane kukurydzy, w małych papierowych tutkach, albo i bób nawet, gdy przyszła pora — czereśnie, surowiec amunicyjny, bo pestkami ich dawało się nieźle strzelać z broni krótkiej lub zwyczajnie, ścisnąwszy je palcami. Czasem ciągnące się kawowe hopjesy, czasem resztki obiadowych legumin eskamotowane ze stołu. Otaczałem się talerzykami, woreczkami, tutkami i rozpoczynałem trudne i pełne niebezpieczeństw życie samotnika. Grzesznik, przestępca nawet, miałem o czym rozmyślać. Nauczyłem się wszak włamywania do środkowej szuflady jadalnego kredensu, gdzie matka przechowywała placki i torty; wyjmowałem górną szufladę i nożem obrabiałem kręgi słodkiego ciasta, z takim obliczeniem, aby nie dało się na pierwszy rzut oka dostrzec ich uszczuplenia. Potem zbierałem i zjadałem okruszki, a nóż, narzędzie występku, starannie oblizywałem dla zatarcia śladów. Niekiedy rozważa walczyła we mnie z ponurą namiętnością do kandyzowanych owoców, jakimi przystrojone były wyroby cukiernicze, i niejednokrotnie łupiłem lukrowaną powierzchnię. Ogałałem ja z zielonego, skrzypiącego słodko w zębach tataraku i skórek pomarańczowych, cykat, stwarzając łysiny nie do ukrycia. Oczekiwałem potem skutków fatalnego czynu z poczuciem beznadziejności, a zarazem ze stoicką desperacją.

Sąsiadami moich sjest balkonowych były dwa oleandry w dużych drewnianych kubłach, zakwitające jeden biało, a drugi różowo; współżyłem z nimi na prawach neutralności, ani mnie ich obecność ziębiła, ani grzała. Wewnątrz mieszkania też było trochę roślin–degeneratów, tych dalekich skarłałych krewniaków flory południa, jakaś palma, co wciąż umierała rdzawo, ale nie mogła skończyć ostatecznie, filodendron o blaszastych liściach i maleńka sosenka czy też jodełka może, nie wiem, wypuszczająca co roku bladezielone, pachnące pęczki młodego igliwia.

W sypialni były dwie rzeczy, z którymi wiążą się moje najwcześniejsze rojenia — sufit i wielka skrzynia żelazna. Sypiałem tam jeszcze jako całkiem małe dziecko i często wpatrywałem się w ów sufit, gdzie sztukatura gipsowa udawała dębowe liście i między nimi — żołędzie, wyraźnie uwypuklone. Moje przedsenne majaki poplątały się jakoś z tymi żołędziami i wiele o nich myślałem, czy raczej kontemplowanie ich zajmowało sporo miejsca w mojej psychicznej egzystencji. Bardzo chciałem je sobie pozrywać, ale nie naprawdę — jakbym już wtedy pojmował, że intensywność marzeń ważniejsza jest od ziszczeń. Zresztą coś z owej infantylnej mistyki przeszło na prawdziwe, zwykłe żołędzie; zdejmowanie z nich czapeczek wydawało mi się przez lata aktem szczególnym, odmykającym coś osobliwego, rodzajem ważkiej przemiany. Mozolę się nad wyjawieniem, jakie to było dla mnie istotne — chyba daremnie,

W sypialni, w której spałem, tak, chyba w niej, umarli moi dziadkowie. I po dziadku właśnie została żelazna skrzynia, przedmiot bardzo ciężki, wielki, nieużyteczny, rodzaj domowego skarbczyka z czasów, w których nie było jeszcze zawodowców—kasiarzy, a tylko rabusie ze wszech miar prymitywni, w niewinności swojej posługujący się najwyżej jakąś pałąką czy maczugą. Skrzynia żelazna była przystawiona do wiecznie głucho zamkniętych drzwi, dzielących sypialnię rodziców od poczekalni chorych. Miała dwoje rozłożystych uszu i płaską pokrywę, rzeźbioną w jakieś liście, z kwadratową w środku klapką. Kiedy się tę klapkę z boku specjalnym sposobem nacisnęło, odskakiwała, ukazując otwór dla klucza — chytrą jego schowania wzruszająco była poczciwa, jak to teraz widzę. Wtedy jednak wydawała mi się czarna skrzynia dziełem wyrafinowanych jakichś specjalistów, a już podziw nadzwyczajny budził klucz do niej, wielki jak moje przedramię. Do tego, aby móc obrócić nim w zamku, dorastałem długo, niecierpliwie, aż raz wreszcie, dzięki oburęcznemu chwytowi i nadzwyczajnym wysiłkom, to mi się udało.

Co prawda wiedziałem, że w skrzyni nie ma prawdziwych skarbów. Leżało tam na dnie nieco starych pożółkłych gazet, papierów i pudło drewniane pełne przepięknych banknotów tysiącmarkowych z czasów wielkiej inflacji. Próbowałem się nawet bawić tymi banknotami, a także sturublówkami, które były jeszcze od marek ładniejsze, niebieskawe, dość wesołe, gdy marki brunatną tonacją przypominały trochę pewne tapety. Jakaś niezrozumiała historia wydarzyła się nad owymi pieniędzmi, pozbawiając je nagle wszechmocy. Gdyby mi ich chociaż nie chciano dawać, może uwierzyłbym w to, że resztką potęgi, gwarantowana cyframi, pieczęciami, znakami wodnymi, portretami w owalu mężów koronowanych i brodatych, pozostała w nich i tylko śpi do czasu. Ale mogłem robić z nimi, co chciałem, i dlatego budziły tylko wzdęty, jaką zwykle odczuwa się wobec świetności, która jako prawdę ostateczną objawiła pustkę. Na banknoty te nie mogłem zatem liczyć, jedynie na to, co mogłoby zajść we wnętrzu czarnej skrzyni, kiedy długo była zamknięta, a zamknięta była właściwie zawsze, za moim milczącym przyzwoleniem, o które naturalnie nikt nie pytał. Tak, tam w ciemności samego środka mogło się jednak coś stać. Dlatego jej otwieranie było aktem znacznej wagi. Także i dosłownie. Wieko było ogromnie ciężkie. Z trzech jego stron wysuwały się długie rygle, należało unieść je i podeprzeć szeregiem zastawek specjalnych: inaczej mogło — jak mnie o tym zapewniono, a w co chętnie wierzyłem — spadając, obciąć głowę. Po takiej skrzyni można się było tego spodziewać. Nie była wcale sympatyczna ani przyjemna, ani ładna nawet. Raczej ponura i brzydka, niemniej, długo na jej własną moc wewnętrzną liczyłem. Miała wywiercone przemyślnie w dnie szeregi otworów, aby ją można przyśrubować na głucho do podłogi; koncept wyborny. Ale nie było już śrub, zbędnych teraz; po jakimś czasie okryto ją starym dywanikiem, w ten sposób została ostatecznie sprowadzona do rzędu pokątnych mebli, zdegradowana, przestała się liczyć. Już tylko czasem pokazywałem komuś z rówieśników klucz do niej — mógł być kluczem do bram miejskich. Aż i on się gdzieś zawieruszył.

Następny za sypialnią pokój, gabinet ojca, mieścił jego wielką szafę biblioteczną, oszkloną, zamykaną, wielkie fotele skórzane i okrągły stolik, którego nogi dosyć były ciekawe — przypominały kariatydy, bo u góry kończyła się każda z nich główką metalową, a dołem wystawały spod drzewa, jakby z trumienki, bosc. też metalowe, stopy ludzkie. Jednakże wcale nie wydawało mi się to makabryczne, żadnych w ogóle nie budziło skojarzeń. Po prostu po kolei oddłubałem pracowicie wszystkie głowy, puste odlewy brązowe, potem zaś, niezdarnie na powrót osadzone, chwiały się pod płytą stolika przy każdym jego przesuwaniu. Pod ścianą, osobno, stało biurko ojca, okryte zielonym sukniem, zamknięte na wszystkie spusty. Mieściło pieniądze, ale już prawdziwe, w zwyczajnej zresztą szufladzie. Z rzadka gościł w nim skarb większy z mego ówczesnego punktu widzenia — pudełko czekoladek Lardellego, aż z Warszawy przywiezionych, albo inne, z owocowymi marmoladkami. Ojciec musiał pierwej dokonać manipulacji pękiem kluczy, zanim któraś z owych słodczy, nader po

aptecznemu racjonowanych, wyłoniła się przede mną, który walczyłem z dwiema chętkami zgoła sprzecznymi — aby poczęstunek błyskawicznie pochłonąć, jak też, aby napawać się perspektywą tegoż pochłonięcia możliwie długo. Z reguły połykałem wszystko od razu. Były jeszcze zamknięte w biurku dwie rzeczy dziwnie piękne. Nakręcany malutki ptaszek, w pudełku wykładanym perłową macią, pochodził pono z Targów Wschodnich i stanowił eksponat — niesprzedalny — jakiegoś egzotycznego stanowiska. Ojciec, ujrawszy, jak po naciśnięciu miniaturowego klawisza odemknęła się płaska klapka perłowa, a pod nią — w złotej kratce — druga, jak wyskoczył stamtąd mniejszy od paznokcia ptaszek, cały ciemnotęczowy od roziskrzeń, i trzepocząc skrzydełkami, dziobkiem ruszając, strzelając oczkami, kręcił się jak kurek na kościele i śpiewał — puścił w ruch wszystkie naraz sposoby, znajomości, zabiegi, aż w końcu za nie znaną mi bajońską sumę kupił ów klejnot, bardzo rzadko tylko wydobywany spod klucza i uruchamiany, dbając roztropnie o to, abym go czasem nie dostał do rąk. Pewne było bowiem, że ostatnia godzina przyszlaby wówczas na ptaszka, chociażbym nie wiedzieć jak z sobą walczył, bo przecież nie mniej od ojca podziwiałem go, a nawet szanowałem. Ptaszka sprzedał ponoć ojcu bardzo ważny przedstawiciel firmy zamorskiej, najpewniej jeszcze Japończyk. Takiej przynajmniej wersji wypadków pozostałem wierny. Jakiś czas przebywał w biurku inny, podlejszy nieco ptaszek, wielkości wróbla, nakręcany, który muzycznych uzdolnień nie posiadał, a tylko dziobał zapalczywie stół, kiedy go na nim stawiano. Wyprosiłem go raz na dłużej; taki był jego koniec. Były jeszcze w biurku ojcowym maleńkie bibelociki, z których pamiętam najlepiej okulary, nie większe od małej zapałki, z drutu złotego, z rubinami — szkiełkami, w także złotym futeraliku. Inne, mniej cenne, znajdowały się w szafce oszklonej, w jadalni. Były to płody sztuki miniaturyzacyjnej — malusieńki stolik z szachownicą i szachami raz na zawsze porozstawianymi, kojec z kurkami, skrzypce (tym powyszarpowałem struny) i drobiazg przeróżny z kości słoniowej, mebelki jakieś, jajo, które otwierało się, ukazując mnóstwo stłoczonych figurek, potem jeszcze rybki srebrne, utworzone z pustych członów blaszanych, że dawało się nimi gibać w dwie strony, a także brązowe chyba foteliki z tapicerką; każde siedzenie było wielkości kciuka, atlasowe i mięciusieńkie. Sam nie wiem, czemu większość tych przedmiotów przez lata zniosła jakoś moją aktywną obecność. Wracam jednak do gabinetu, do jego starych, wielkich foteli; ciasne, lecz głębokie zapadnie między ich oparciami a siedzeniem gromadziły z wolna różne przedmioty — to monetę, to pilnik do paznokci, łyżeczkę, grzebyk, wszystko to z największym mozołem, wyłamując palce sobie a fotelom kolankowane sprężyny, które agonalnie rzeziły, wyławiałem w zapachu umarłej skóry, kleju tapicerskiego, szorstkiego płótna, ale powodowały mną nie tyle podobne znaleziska, ile niejasna nadzieja odnalezienia czy wręcz — wylęgnięcia się przedmiotów całkiem innych, obdarzonych cechami niewyraźnymi. Dlatego musiałem być na wszelki wypadek sam, kiedy z cichym rozjuszeniem brałem się do torturowania pociemniałych od starości leniwców. To, że niczego niesamowitego w nich nie odkrywałem, jakoś nie studziło mego zapału.

Tu chyba należy już przedstawić pierwsze zasady mitologii, jakiej się wówczas oddawałem. Wierzyłem mianowicie, nikomu się z tego sekretu nie spowiadając, że martwe przedmioty są nie mniej od ludzi ułomne, a przeto i one bywają zapominalskie; i przy dostatecznej dozie cierpliwości można je zaskakiwać, zmuszając, między innymi, do powielania się. Jeżeli bowiem pozostawiony, dajmy na to w szufladzie, scyzoryk zapomni o tym, gdzie być powinien, odnaleźć go będzie można zupełnie gdzieś indziej, między książkami na półce na przykład; wszelako nie zdolny już wycofać się z szuflady, w tej sytuacji bez wyjścia zwyczajnie się zduplikuje i będzie ich dwa. A zatem, w moim mniemaniu, przedmioty obowiązywała pewna logika konieczności, stosować się musiały do określonych reguł, a ten, kto je znał wybornie, mógł dopiero doprowadzić niby martwa materię do upragnionych rezultatów. Bardzo długo potem wyznawałem w jakiś ciemny, trochę bezmyślny, a trochę

mimowiedny sposób powyżej naszkicowaną wiarę — i nie umiem wyznać, czy wyzbyłem się jej ze szczerem.

Biblioteka, że pozamykana, pociągała mnie. Mieściła przede wszystkim książki lekarskie, anatomiczne atlasy ojca, a dzięki jego roztargnieniu mogłem się na nich w sposób solidny i metodyczny uświadomić co do różnic, jakie zachodzą pomiędzy płciami. Jednakże, rzecz dziwna, daleko bardziej frapowały mnie tomy osteologii. W człowieku odartym ze skóry, jakiego przedstawiały krwistoczerwone lub ceglaste plansze myologiczne, nie gustowałem; było w nim coś z krwi, z surowego befsztyka, którego nie znośłem, którym brzydziłem się. Natomiast szkielety były bardzo schludne. Nie wiem, ile miałem lat, kiedy po raz pierwszy kartkowałem owe czarne tomy formatu *in quarto*, z wielkimi, żółtawo zabarwionymi rycinami czaszek, żeber, miednic i piszczeli. W każdym razie ani się owych truposzów i ich budulca nie bałem, ani też studiowanie to nie sprawiało mi jakiejś dojmującej przyjemności. Było to trochę podobne do oglądania katalogów wielkich dziecięcych budownictw, gdzie najpierw narysowane są poszczególne ośki, dźwignie, kółka, a potem, na dalszych stronach, pokazane konstrukcje, które można z nich składać. Możliwe, że osteologiczne atlasy apelowały do moich, później zresztą mających się ocknąć dopiero, konstruktorskich zainteresowań. Wertowałem owe tomy sumiennie i niektóre ryciny pamiętam do dziś, na przykład kościste stopy szkieletów; kostki miały pospinane pasmami więzadeł, zabarwionymi, może dla większej wyrazistości, błękitnawo.

Ojciec był laryngologiem, toteż większość zwalistych ksiąg w centralnej części biblioteki odnosiła się do chorób nosa, gardła i uszu. Organy te, na równi z ich cierpieniami, po cichu a dyskretnie lekceważyłem jako drugorzędne, z czego zdaję sobie sprawę właściwie dopiero dziś. Była tam też pozycja, najbardziej z całego księgozbioru monumentalna, kilkunastotomowy niemiecki „Handbuch” otorhinolaryngologii. Żaden jego tom nie liczył mniej aniżeli tysiąc kredowych stron. Mogłem tam oglądać głowy ludzkie w różnych a niezliczonych fazach rozplatania, z całą ich, nadzwyczaj sumiennie wyrysowaną i pokolorowaną maszynerią; pociągały mnie też portrety mózgów, których poszczególne zwoje różniły się od siebie wszelkimi możliwymi barwami. Jakoś niemądrze, a odruchowo zdziwiłem się w wiele lat potem, kiedy pierwszy raz, w prosektorium, zobaczyłem mózg w naturze (to jest, jako preparat anatomiczny) — że wcale nie jest taki papuzi. Ponieważ te anatomiczne seanse były zakazane, musiałem je organizować w specjalny sposób. Dokładne rozplanowanie taktyczne poczynił bynajmniej nie jest przywilejem dorosłych tylko — byle dziecko było w ich organizacji rzetelnie zainteresowane. Siedziałem jak jeździec na wielkiej, chrzęszczącej skórą przy każdym moim ruchu poręczy fotela, osłoniwszy się od strony drzwi otwartymi drzwiami szafy bibliotecznej, aby móc zawsze zapewniać, że dopiero co ją otwarłem, jak również, możliwie zręcznie i szybko wsunąć tom na właściwe miejsce, opierałem go o oparcie fotela i w tej pozycji oddawałem się studiom. Ciekawe, co też sobie wtedy myślałem; pociągała mnie nadzwyczajna czystość, precyzja rysunków — znów rozczarowanie przyszło po latach, kiedy zorientowałem się, jako student medycyny, że oglądałem w gabinecie ojca same tylko idealizacje i abstrakcje przebiegu nerwów czy mięśniowych zaczepów. Nie przypominam też sobie, abym kiedykolwiek skojarzył wszystko oglądane z własnym ciałem. W tych wielkich planszach nie było nic niepokojącego — może przez rzeczowość, fragmentaryczność, wielostronność dociekliwą, nawet wtedy obecną w zwalistych księgach, kiedy ukazywały nie tylko szczegóły anatomiczne, ale i końce naszkicowane palców oraz tępych lub ostrych haków, które odciągały na boki płaty rozciętej skóry dla lepszego widoku. Były tam też inne książki, z wizerunkami już na pewno strasznymi, ale właśnie zanadto strasznymi, tak że ich także wcale się nie bałem. Ukazywały okaleczenia wojenne twarzy ludzkich; były tam oblicza beznose, pozbawione szczęk, małżowin usznych, oczu, a nawet dosłownie twarze bez twarzy, z których pozostały tylko oczy same, pomiędzy bliznowatymi zaciągnięciami, o wyrazie, który nic mi nie mówił. Nie

umiałem go wszak z niczym porównać, niczego mi nie przypominał. Troszkę może i mrowiło po plecach nad takimi ilustracjami, ale chyba tak, jak przy słuchaniu bajki — a wszak okropne dzieją się w nich zwykle rzeczy, to nie było dla mnie niczym nadzwyczajnym, ów dreszczyk, pożądany w gruncie rzeczy i wcale luby. I więcej nawet, ponieważ niejedno mnie w tych dziełach śmieszyło, poświęcone bowiem protetyce, ukazywały sztuczne nosy, przyczepione do okularów, uszy na opaskach, maseczki imitujące lekki uśmiech, zgoła niewinny, jakieś zatyczki kunsztowne dla przedziurawionych policzków, protezy zębowe, namiastki podniebienia. Wyglądało mi to na jakieś maskarady, na jakieś zabawy dorosłych, niezupełnie zrozumiałe, jak sporo ich obyczajów, ale nie podejrzewałem w nich niczego złego czy wręcz haniebnego. To by mi do głowy nie przyszło. W gruncie rzeczy jeden tylko przedmiot, nie książka, odrobinę niepokoił. Leżała bowiem na jednej z półek, przed złożonymi grzbietami grubych tomów, kość skroniowa, wymacerowany preparat, przedstawiający rezultat tak zwanej doszczętniej operacji na uchu środkowym, z wydłutowanym sutkowym wyrostkiem. Nic o tym nie wiedziałem, oczywista, a jedynie kość ta, podobna nieco, z wagi, w dotyku, do kości, jakie nieraz pozostawały na samym dnie wazy z rosółem, odkryta w tym miejscu, jak gdyby podrzucona umyślnie, zastanawiała, a nawet troszkę trwożyła. Miała jakiś zapach szczególny, przede wszystkim kurzu, książek, biblioteki, ale przeciekał przez to cienką strużką inny jeszcze, trochę niby słodkawy, a trochę jakby zgniły. Obwąchiwałem ją czasem długo, jakby usiłując zrozumieć, co to jest właściwie, jakby węch był tym z moich zmysłów, który zaprowadzi mnie najdalej. Budziło to w końcu lekkie obrzydzenie, odkładałem więc kość, uważając i na to, aby leżała na tej samej półce, co poprzednio.

Na niższych półkach spoczywały stosy postrzępionych, rozprutych już powieściidel francuskich, bez okładek, a także jakichś magazynów — jeden nazywał się „Uhu” i był po niemiecku. To że mogłem przeczytać tytuły, nie pomaga mi w ustaleniu chronologii owych poczyznań, ponieważ drukowane umiałem już czytać mając cztery lata. Kartkowałem tylko francuskie, sypiące się, zbroszurowane powieści, bo były z ilustracjami, dość frywolnymi, w stylu *fin-de-siècle* 'u. Musiały się tam mieścić jakieś pikantne historyjki, ale to wniosek współczesny, późna rekonstrukcja, oparta na wspomnieniach, mocno już rozmytych przez upływ czasu. Na jednych bowiem stronach widniały panie z panami, w pozach wykwintnych, dystygowanych, a kilka kartek dalej wytworności te ustępowały z nagłą miejsca tonącemu w koronkach roznegliżowaniu, ktoś uciekał przez okno, gubiąc spodnie, gołe panie w czarnych długich pończochach biegały po pokoju, widzę teraz, że sąsiedztwo obu rodzajów książek było raczej osobliwe, a sam porządek też, w jakim to wszystko kartkowałem, zabawny do makabryczności, skoro, jeżdżąc na fotelu, bez najmniejszych kłopotów czy wahań przechodziłem płynnie od szkieletów do frywolnej erotyki. Wszelako przyjmowałem to, jak chmury, drzewa, przecież wciąż wszystkiego uczyłem się, do wszystkiego musiałem nawykać i nic mi się właściwie z niczym nie kłóciło.

Na dole leżała długa rura blaszana z szerszym zakończeniem, w niej zaś tkwił rulon nadzwyczaj grubego papieru żółtawej barwy, od którego szedł spleciony, czarno-żółty sznur do płaskiej puszczyki, zawierającej jak gdyby maleńki torcik jasnoczerwony, z wypukłorzeźbą i napisami. Był to dyplom lekarski ojca, na pergaminie, zaczynający się wzniosie od ogromnym drukiem rozstrzelonych słów *SUMMIS AUSPICIIS IMPERATORIS AC REGIS FRANCJSCI IOSEPHI...*, torcik zaś, który delikatnie raz i drugi napocząłem, ale dalej nie próbowałem, był bowiem niesmaczny, przedstawiał wielką pieczęć woskową uniwersytetu lwowskiego. Rzecz jasna, najpierw wiedziałem tylko, że w rurze znajduje się dyplom, bo ojciec mi tak powiedział, choć nie rozumiałem, co to znaczy, nie wolno mi też było samemu wyciągać go z rury (nie bardzo wierzyłem w TO tylko, jakoby pergamin miał naprawdę być wyprawioną osłą skórą). Potem umiałem już przeczytać parę słów, nic jednak nie pojmując. W pierwszej zdaje się gimnazjalnej potrafiłem już nawet przetłumaczyć te

słowa wzniosłe; mówię o tym, bo na przykładzie dyplomu wyraźnie ukazuje się ów proces ponawianego i wielokrotnego poznawania przedmiotów czy zjawisk, którym przechodziłem stopniowo jakby z piętra na piętro; za każdym razem poznawałem następną wersję sprawy lub rzeczy, co w sobie samo nie stanowi niczego niezwykłego. Każdy to zna, każdy wszak najpierw poznał wersję bociana, a potem tę bardziej realistyczną własnej genezy. Ale rzecz w tym, że wszystkie wersje poprzednie, chociaż, jeśli jaskrawo, jak ta z bocianem, fałszywe, nie giną bez śladu, odrzucone. Coś z nich w nas zostaje, zazębiają się z następnymi, splatają, są jednym słowem jakoś nadal obecne, ale to nie wszystko. Zapewne, jeśli o fakty chodzi, w rodzaju dyplomu mego ojca, nietrudno ustalić wersję właściwą, tę jedyną, która się liczy. Inaczej z przeżyciami. Każde ma swoją wagę i rację, bezapelacyjną i od niczego poza sobą niezawisłą i tutaj kłopot, ponieważ jedynym strażnikiem i gwarantem ich autentyczności we wspomnieniu jest pamięć. Zapewne — można by oświadczyć, że istnieją „przeżycia nieadekwatne”, w rodzaju moich rojeń na temat czarnej żelaznej skrzyni. Nie zawsze da się jednak przeprowadzić ów wywód ostatniej instancji.

Za bocznym skrzydłem drzwi mieściły się w ojcowej bibliotece szczelnie upakowane książki, których szeregów nawet nie napoczyznałem, przekonawszy się raz, że nie ma tam żadnych obrazków. Pamiętam kolor i wagę niektórych z nich, nic więcej. Dałbym sporo za to, żeby się dowiedzieć, co właściwie mój ojciec tam zebrał, co czytał, ale biblioteka pochłonięta została w całości przez chaos wojny i nie zostało po niej śladu, potem zaś działo się tyle i w taki sposób, że nigdy o to nie spytałem. A więc wersja dziecka, prymitywna, fałszywa, żadna właściwie, pozostać luz tu dla mnie musi ostatnią, i dotyczy to nie tylko tamtych książek, ale i całego mnóstwa spraw, często dramatycznych, które rozgrywały się ponad moją głowę. Gdybym próbował wstecznej ich rekonstruowania, wnioskowania i domysłów, stałoby się to ryzykowną robotą, kto wie, czy nie fantazjowaniem, i to nie z pozycji dziecka przeprowadzanym. Myślę więc, że winienem z zabiegów takich zrezygnować.

Jadalnia mieściła w sobie, jak już o tym wspomniałem, poza błahym zestawem krzesel i stołem, rozsuwanym dla większych przyjęć, także ważny kredens, siedlisko legumin, szafkę i „nipami”, specjalnością matki, oraz puchaty dywan podokienny, na którym potem chętnie wylegiwałem się, czytając książki — już własne. Że jednak czynność lektury nazbyt była bierna, zanadto prosta, miałem we zwyczaju stawiać sobie na łydce, w zagłębieniu pod kolanem, na podeszwie stopy — nogę jakiegoś krzesła, i lekkimi ruchami żonglowałem nim, tak aby znajdowało się stale w balansie na samej granicy równowagi. Musiałem też nieraz gwałtownie przerywać czytanie, by złapać lecące krzesło, inaczej jego łoskot mógł niepotrzebnie ściągnąć na mnie uwagę domowników. Wybiegłem jednak zbytnio naprzód, czego bardzo trudno mi systematycznie unikać.

Jak tylko mogę sięgnąć pamięcią wstecz, dość często chorowałem. Kładły mnie do łóżka rozmaite anginy, bronchity, i był to na ogół czas znacznych przywilejów. Nie tylko wszystko się wokół mnie kręciło, nie tylko ojciec wypytywał mnie szczegółowo o samopoczucie, ustalając przy tym pewne hasła i znaki umowne, które miały z wyjątkową precyzją określić jego jakość w wyimaginowanych stopniach nie istniejącej skali, ale ponadto byłem obiektem skomplikowanych zabiegów. Nie wszystkie zaliczałem do przyjemnych, trudno było nazwać tak picie mleka gorącego z masłem, ale już inhalacje stanowiły podniosłą rozrywkę. Najpierw przynoszono wielką miednicę, do której nalewało się gorącej wody, następnie zaś ojciec z małej flaszeczki o dotartym korku wpuszczał tam nieco oleistego płynu i szedł do kuchni, gdzie już tymczasem rozgrzewał się w płomieniach żeliwny krążek kuchennej płyty. Tę, rozpaloną do czerwoności, przynosił w szczypcach i wpuszczał do miednicy, a moim obowiązkiem było pilnie wdychać kłęby pary, woniącej aromatycznym olejkiem. Piękne to było widowisko, owo wściekle gotowanie się wody, syczenie wiśniowego żelaza, od którego odpadały szerniałe łuski żużla, a jeszcze i tak korzystałem, żem sobie puszczał na miednicę, co tylko było pod ręką, a to celuloidową kaczuszkę, a to drewniany piórnik. Mam nadzieję, że

nie symulowałem cierpień podczas ich nieobecności. Pokusy po temu były jednak chyba, skoro, jako choremu, ojciec właściwie niczego już nie potrafił odmówić; i ptaszek w perłowym pudełku śpiewał wtedy dla mnie, i okularami złotymi z rubinowym oczkiem mogłem się bawić, i jeszcze wracając ze szpitala, przynosił ojciec tak zwane „pakuny” z zabawkami. Bez żadnej przesady mogę więc powiedzieć, że trochę jak niektóre kobiety, największe zyski osiągałem leżąc w łóżku. Dzięki jednej z angin dostałem auto-giganta, drewnianą limuzynę tak dużą, że mogłem na niej jeździć, siedząc okrakiem na dachu. Zapewne, bardziej autentyczne choroby, jak kamień, który urósł mi w pęcherzu, z ich boleściami i gorączką czyniły wszelkie dary i rozrywki niedostateczną osłodą bytu. Ale tak czy owak wracałem w końcu do zdrowia.

Zdrowy, spędzałem wiele czasu tylko z samym sobą. Chętnie penetrowałem mieszkanie, chodząc na czworakach, najlepiej bowiem czułem się czemuś jako wyobrazone zwierzę; a zajmowałem się tym aktorstwem zwierzęcym tak solennie, że mi się na kolanach porobiły grube, twarde modzele i miałem je jeszcze, chodząc do wyższych klas szkoły powszechnej. Pora opisać brzydkie moje skłonności. Rujnowałem wszystkie zabawki. Najhaniańbniejszym może z moich wyczynów był akt zniszczenia prześlicznej małej pozytywki, lśniącego drewnianego pudełka, w którym pod szybką obracały się złote kółeczka zębate potracając złoty walek mosiężny z kolcami tak, że powstawały z tego kryształowe melodyjki. Niedługo się tą wspaniałością cieszyłem. W środku nocy wstałem, zdecydowany widać, ponieważ nie namyślając się prawie wcale, podniosłem szklane wieczko i nasiusiałem do środka. Nie potrafiłem później wyjaśnić zatroskanym domownikom motywów tego nihilistycznego aktu. Freudysta jakiś na pewno by dopasował mi odpowiednio brzmiący termin. W każdym razie nad zamilknięciem pozytywki bolałem nie mniej chyba szczerze aniżeli niejeden lustmorder nad świeżą swoją ofiarą.

Nie był to, niestety, czyn izolowany. Miałem młynarza maleńkiego, który po nakręceniu wnosił worek z mąką na szczyt drabiny, do spichrza, schodził po następny, znów go wnosił i tak to trwało w nieskończoność, bo wrzucone do środka worki zjeżdżały tymczasem na sam dół drabiny. Miałem nurka w skafandrze, w słoju zamkniętym gumową membraną, który przy jej naciskaniu opuszczał się coraz głębiej w wodzie. Miałem ptaszki dziobiące, karuzele, co się kręciły, auta wyścigowe, lalki fikające kozły, a wszystko to bez litości patroszyłem, wywlekając spod lśniących farb kółka i sprężyny. Lampę magiczną firmy Pathe z francuskim emaliowanym kogutem musiałem obrabiać ciężkim młotkiem, a grube soczewki obiektywu długo opierały się jego ciosom. Mieszkał we mnie jakiś bezmyślny, wstrętny demon zniszczenia; nie wiem, skąd się wziął, tak samo, jak nie wiem, co się z nim później stało. Kiedy byłem trochę, ale trochę tylko większy, nie śmiałem już tak, po prostu z niewinnością dziecięcą, bo widać ją traciłem, chwycić za narzędzie mordu i dźgać. Wyszukiwałem już sobie wtedy rozmaite preteksty. Że na przykład, coś tam trzeba w środku wyregulować, poprawić, zbadać. Był to tani pozór, bo oczywiście nie tylko bym nie umiał tego dokonać, ale nawet nie próbowałem. A przy tym wydawało mi się, że mam prawo tak postępować, i kiedy matka gwałtownie zaprotestowała, skoro zacząłem wbijać gwóźdź w kredens stołowy (potrzebowałem zaczepu dla kolejki linowej), długo i gorzko się na nią uskarżałem. Z kręgu totalnego zniszczenia wyłączona była tylko pewna lalka płci męskiej, imieniem Wicus, chłopczyzna szczuplutki, pełen trocin, rudawy blondynek, któremu szyłem garderobę, trzewiczki i który pętał się potem w mieszkaniu chyba do samej wojny. Raz, w przystępie niepohamowanej żądzy, troszeczkę go napoczałem, ale zaraz potem zaszyłem mu dziurę w brzuchu, czy może to była oderwana ręka, nie pamiętam. Rozmawiałem z nim sporo, ale o tym nigdyśmy nie mówili.

Nie miałem własnego kąta, więc panoszyłem się w powolnie rosnącym rozwydrzeniu po wszystkich pokojach. Nie dojeżdzone cukierki („hopjesy”) przyklepiałem zwykle do stołu, pod blatem, gdzie z latami utworzyły istne wzgórze geologiczne słodkiej skamieliny. Z

wyciąganych ze szaf ubrań ojca budowałem manekiny na fotelach i krzesłach, w wielkim trudzie napychając im zwiniętymi w rulony pismami rękawy, a do środka pakując, co wpadło do ręki. Próbowałem w kasztanowym sezonie robić coś z tymi pięknymi owocami, które tak mnie zachwycaly, że nigdy nie miałem ich dość; jeszcze mi się sypały zza pazuchy, a pakowałem do kieszeni, do majtek nowe. Ale przekonałem się wnet, że piękne, lśniące lusterkami są tylko kasztany na wolności, bo uwięzione w pudełku rychło marszczyły się, matowiały, brzydły. Kalejdoskopami, które rozprułem, można by chyba obdarować cały sierociniec, a przecież wiedziałem, że w nich nic nie ma oprócz garści kolorowych potłuczonych szkiełek. Wieczorem chętnie patrzałem z balkonu, jak ciemna ulica ożywa od świateł. Nie wiadomo skąd zjawiał się bezszelestny latarnik, na moment zatrzymywał się przy kolejnej latarni, podnosząc w górę swój drażek, i mały owadzik światła zaraz rozwijał się w błękitnawy płomień. Jakiś czas chciałem być latarnikiem.

Z dwu potęg, dwóch kategorii, które biorą nas we władanie, kiedy pojawiają się nie wiedzieć jak na świecie. przestrzeń jest, mimo wszystko, daleko mniej niepojęta. Owszem, i ona podlega przemianom, ale istota ich jest prosta: przestrzeń nie robi nic innego, jak tylko kurczy się z upływem lat. Dlatego zmałał powoli obszar naszego mieszkania, i Ogród Jezuicki, i boisko II Państwowego Gimnazjum imienia Karola Szajnochy, do którego chodziłem przez osiem lat. Co prawda, łatwo mi było przemian tych nie zauważyć, bo równocześnie rosła moja samodzielna aktywność, poruszałem się po Lwowie coraz śmielej, więc zbieganie się poszczególnych dobrze znanych miejsc przesłaniane było seriami eskapad coraz to bardziej dalekosiężnych. Dlatego redukcję wymiarów można sobie uświadomić stosunkowo późno. Przestrzeń jest wszakże solidna, jedyna, pozbawiona jakichkolwiek zapadni i pułapek.

Natomiast żywiołem wrogim, prawdziwie podstępny, a nawet, powiedziałbym, przeciwnym naturze ludzkiej, jest czas. Najpierw, przez lata, nadzwyczajne trudności sprawiało mi rozróżnienie sensu takich pojęć, jak „jutro” i „wczoraj”. Wyznam, czego nigdy dotąd nie zrobiłem, że oba lokowałem bardzo długo w przestrzeni. Sądziłem, że „jutro” jest powyżej sufitu, jakby na następnym piętrze, i opuszcza się na właściwy poziom nocą, kiedy wszyscy śpią. Co prawda równocześnie wiedziałem, że na trzecim piętrze nie ma żadnego jutra, a tylko pewni państwo, którzy mają dorosłą córkę i pudełko o blasku złota, pełne zielonkawych, lepiących się do palców cukierków. Cukierki te nie smakowały mi właściwie, wypełniając usta eukaliptusową arktką, a jednak lubiłem je dostawać, bodaj ze względu na okoliczności towarzyszące. Przebywały bowiem w szufladzie biurka, opatrzonego drewnianą roletą, która, zjeżdżając, aby okryć blat swym wypukłym ozebrowaniem, grzmiała jak wodospad.

Pojmowałem tedy, że idąc na górę, nie uda mi się zastać jutra na gorącym uczynku, podobnie jak nie ma „wczoraj” pod nami, bo mieszkają tam gospodarze kamienicy. Mimo to byłem jakoś przeświadczony o tym, że jutro jest nad nami, a wczoraj pod nami — przy czym to wczoraj wcale nie rozpuściło się w niebycie, lecz trwa, opustoszałe, gdzieś tam, pod moimi nogami. Była w tym obrazie niewątpliwa sprzeczność, ale jakoś mi nie przeszkadzała.

Ale to wszystko tylko uwagi wstępne i, dodajmy, elementarne. Pamiętam bramę, schody, drzwi, korytarze i pokoje tego domu na Brajerowskiej, w którym się urodziłem, pamiętam też liczne osoby, jak wspomnianych sąsiadów, ale bez twarzy, ponieważ te twarze się zmieniały, a nieświadoma nieuchronności takich zmian pamięć moja była wobec nich bezradna, jak klisza fotograficzna wobec poruszającego się przedmiotu. Zapewne, mogę sobie unaocznic ojca, ale będę ostrzej widział jego postać, ubranie niż rysy, ponieważ nałożyły się na siebie obrazy z wielu lat, i nie wiem, jakim chcę go zobaczyć, już zupełnie siwym czy jeszcze krzepkim pięćdziesięcioletnim mężczyzną, i tak jest właśnie ze wszystkimi, przy których przebywałem dostatecznie długo. Kiedy giną fotografie i portrety, objawia się ta nasza wobec czasu całkowita bezbronność; dowiedzieć się o tym, jakie jest jego działanie, można wcześniej i szybko, ale to jest wiedza teoretyczna, na nic nieprzydatna właściwie; już mając pięć lat wiedziałem przecież, co to znaczy stary i młody, bo wszak było stare masło i młoda

rzodkiewka, wiedziałem niejedno o dniach tygodnia, o latach nawet (liczby lat miały dla mnie barwy — lata dwudzieste były jasne, potem ciemniały, ku dziewiątce), a przecież w gruncie rzeczy wierzyłem w niezmiennność otoczenia. Zwłaszcza ludzi. Z tego, że osoby dorosłe nie były takie zawsze, nie umiałem zrezygnować. Raziły mnie nawet trochę zdrobnienia, jakimi zwracały się wzajemnie do siebie, to było nie na miejscu. Zdrobnienia były przecież tylko dla dzieci — wydawało mi się nonsensowne, aby starzec mógł mówić do starca „mój Stasiu”. Jeśli nie mówiłem o tym nikomu, to dlatego, bo czułem, że i tak nikt mnie nie pojmie. Był więc czas wtedy otchłanią w sobie nieruchomą, jakby bezwładną, bezaktywną. W nim działo się bardzo wiele, jak w morzu, ale on sam jakby stał. Każda godzina szkolna stanowiła rodzaj Oceanu Atlantyckiego, który należało przebyć z męstwem samozaparcia w sercu, od dzwonka do dzwonka upływały najeżone niebezpieczeństwami wieczności, cóż dopiero mówić o wakacjach, które stanowiły rodzaj epok między czerwcem a wrześniem. O tej niewiarygodnej dla mnie właściwie teraz rozległości trwania godzin czy dni opowiadam, jak gdybym to tylko od kogoś zasłyszał, a nie, jakbym sam tego doświadczył — nie potrafię sobie tego ani uzmysłwić, ani wyobrazić. Niepostrzeżenie wszystko zaczęło się potem dziać coraz szybciej i niechaj mi nikt nie mówi, że wrażenia kłamią, bo zegary odmierzają jednakowy rytm mijania; powiem, że jest wręcz przeciwnie, zegary kłamią, ponieważ czas fizyczny nie ma z biologicznym nic wspólnego. Cóż nas obchodzi, poza fizyką, czas elektronów i kół zębatych? Zawsze wydawał mi się ukryty w tym rozróżnieniu jakiś podstęp, przeczuwałem niegodziwość, zamaskowaną metodami rachuby wyrównującej wszystkie zmiany. Pojawiamy się, pełni ufności, że jest tak, jak widzimy, że dzieje się to, co poświadczają naocznie zmysły, a potem, nie wiedzieć jak ani kiedy okazuje się, że dzieci dorastają, a dorośli zaczynają umierać.

II

Nie wiem, czy jest już zupełnie jasne, że byłem tyranem. Norbert Wiener zaczął swoją autobiografię od słów *I was a child prodigy*, byłem cudownym dzieckiem; ja mógłbym tylko *I was a monster*, byłem potworem. A więc, potworem, z pewną przesadą, może; ale to, że terroryzowałem otoczenie, zwłaszcza jako zupełny malec, jest prawdą. Jadać godziłem się, kiedy ojciec stojąc na stole na przemian otwierał i zamykał parasol albo znów karmić można mnie było tylko pod stołem; tego naturalnie nie pamiętam, to były początki, spoczywające poza granicą wspomnień. Jeżeli byłem cudownym dzieckiem, to chyba tylko w oczach uprzejmych ciotek. Za to wrażliwym na pewno. Stąd moje pierwsze, bardzo wczesne zbliżenie z poezją. Kiedy czytać jeszcze nie umiejąc, deklamowałem wierszyki, często przed gośćmi, popisowego, jednego, o komarze, co z dębu spadł, nie mogłem dokończyć, ponieważ gdy dochodziłem do miejsca, w którym skutki owego upadku okazywały się zupełnie fatalne (komar złamał sobie w krzyżu gnat), zaczynałem ryczeć i desperacko osmarkanego wyprowadzano mnie sprzed zgromadzonych. Mało było wtedy istot, którym współczułem tak gorąco i zarazem tak beznadziejnie, jak temu komarowi; *in hoc signo* objawiła się moc nad mną literatury.

Nauczyłem się pisać w czwartym roku życia, niemniej, nie miałem tą drogą niczego specjalnie rewelacyjnego do zakomunikowania. Pierwszy list, jaki napisałem do ojca, ze Skolego, dokąd pojechałem z matką, był lakoniczny, donosił o samodzielnym wykupkaniu się w prawdziwym wiejskim klozecie z dziurą w desce. Nie donosiłem już, że do tejże dziury wrzuciłem wszystkie klucze naszego gospodarza—doktora. Autorstwo rzutu było zresztą sporne — był bowiem wtedy ze mną pewien tubylec, a mój rówieśnik i nie udało się ustalić, kto miał klucze ostatni. Z łowieniem ich było sporo zachodu.

W owym czasie z osobliwości i monumentów Lwowa uwagę moją przykuwała cukiernia Zalewskiego przy ulicy Akademickiej. Miałem widać dobry gust, ponieważ od tego czasu nie widziałem doprawdy nigdzie wystaw cukierniczych urządzanych z takim rozmachem. Była to zresztą właściwie scena, oprawna w metalowe ramy, na której kilkakrotnie w roku zmieniano dekoracje, stanowiące tło dla potężnych posągów i figur alegorycznych z marcepanu. Jacys wielcy naturaliści albo i Rubensowie cukiernictwa urzeczywistniali swoje wizje, a szczególnie już przed Bożym Narodzeniem i Wielkanocą działały się za szybami zakłete w masę migdałową i kakaową dziwy. Cukrowi Mikołaje powozili zaprzęgami, a z ich worów kipiały lawiny smakołyków; na lukrowych półmiskach spoczywały szynki i ryby w galarecie, też marcepanowe z tortowym nadzieniem, przy czym te moje informacje nie mają czysto teoretycznego charakteru. Nawet plastry cytryny, przeświecające spod galarety, były udaniem cukierniczego rzeźbiarstwa. Pamiętam stada różowych świnek z czekoladowymi oczętami, wszystkie możliwe rodzaje owoców, grzyby, wędliny, rośliny, jakieś knieje i wertepy: można było dojść do przeświadczenia, że Zalewski potrafiłby kosmos cały powtórzyć w cukrze i czekoladzie, słońcu przydając łuskanych migdałów, a gwiazdom lukrowego lśnienia; za każdym razem, w nowym sezonie, umiał ten mistrz nad mistrze zająć duszę moją, łaknącą, niespokojną i nie całkiem jeszcze ufną, od nowej strony, przesyć mnie wymową swych marcepanowych rzeźb, akwafortami białej czekolady, Wezuwiuszami tortów, rzygających bitą śmietaną, w których jak wulkaniczne bomby nurzały się ciężko kandyzowane owoce. Ciastka Zalewskiego kosztowały 25 groszy, straszny pieniądz, jeśli zważyć, że duża bułka kosztowała pięć, cytryna koło dziesięciu, ale trzeba było widać płacić za jego panoramy, za słodką odświeżną batalistykę, kto wie, czy gorszą od tej, jaką ukazywała Panorama Raławicka.

Była na Akademickiej druga też cukiernia, której wytwory przemawiały bardziej do żołądka niż do oka. Łączą się z nią moje niekoniecznie wesołe wspomnienia. I tak, raz starszy brat

ojca, wuj Fryderyk, wiózł mnie dwukonną dorożką, rzekomo dla niewinnych celów, odświętnie przystrojonego w biały koronkowy kołnier, a skończyła się jazda u dentysty, który wyrwał mi mleczny ząb. Wracaliśmy, ja zaryczany, z zapłutymi, poplamionymi krwią koronkami, i mój gniew sprawiedliwy na jego wiarołomstwo usiłował wuj ułagodzić we wspomnianej cukierni pistacjowymi lodami. Zdaje się, że ojciec nie miał odwagi asystować przy strasznych scenach i dlatego był wtedy nieobecny.

W pasażu Mikolascha była inna cukiernia, cukierenka raczej, z lodami włoskimi, gdzie już znacznie później pociotek mój, Stefan, chłopisko okropnie rozrośnięte, wyzywał mnie na pojedynki bardzo perfidne, ponieważ jedliśmy lody, a płacić miał ten, kto ulegnie drugiemu i zje ich mniej. Stefan był pojemniejszy; pamiętam powroty z tego miejsca, jak szedłem pasażem, przykrytym matowymi płytami szkła, a maszerowałem sztywno, mając żołądek zamieniony w rodzaj waniliowego lodowca.

Na początku Akademickiej, niedaleko hotelu George'a znajdował się inny, już niecukierniczy sklep, też bardzo ważny, Kłafteń, z zabawkami. Nic nie wiem ani o jego wystawie, ani o szczegółach wnętrza, ponieważ miejsce to, dla mnie święte, odejmowało mi dar spostrzegawczości i zbliżałem się tam w słodkim oszołomieniu, z bijącym sercem, czując, na jaką próbę zostanie zaraz wystawiona moja, niezdolna do wyboru zachłanność. Kupowało się tam rozkosznie ciężkie, płaskie pudełka ołowianych żołnierzy, armatki strzelające grochem, drewniane fortece, baki, strzelby korkowe, natomiast prawie żadnych pistoletów ani do nich amunicji, jedno i drugie było zakazane. Kiedyś, na samym początku, miałem konia, siwka na biegunach, nie widzę go już, a tylko zachowało się w opuszkach palców coś z szorstkawego dotyku jego sierści, jego ogona, z prawdziwego włosia końskiego; mówiłem mu zrazu „pan”, bo taki był wielki i wspaniały, że nie śmiało go tykać. Byłem dla niego dobry — bieguny odpadły mu same, odgryzione zębem czasu. Resztki obrazów, jakie mi się zachowały z epoki przedgimnazjalnej, zgrupowane są wokół wydarzeń przerażających i gwałtownych raczej aniżeli rozkosznych. Wiem, gdzie na Jagiellońskiej mieszkała moja ciotka, bo zaatakował mnie tam raz, w sieni, wielki indyk, pojęcia nie mam, skąd się wziął — bałem się tam chodzić długo, błyskawicznie przelatywałem przez ciemną przestrzeń między bramą drewnianą, taką podwójną, w której chodziły mniejsze drzwi, do podnóża drewnianych trzeszczących okropnie schodów. Droga do mieszkania ciotki też była straszna — po ganku oficyny, nieprzyjemnie przechylonym w stronę podwórza, sprawiającym na mnie wrażenie, że zaraz runie. W przedpokoju znów cała podłoga była skośna, niby w wieży z Pizy, za jednymi drzwiami znajdował się salon, miejsce wzbronione, pełen lustrzanych lśnień parkietu i ciężkich mebli w pokrowcach płóciennych. Nikt tam nie chodził nigdy i ciotkę satysfakcjonował chyba sam fakt istnienia tego głucho zamkniętego przybytku. Młody wszystkożerca, wdarłem się tam raz wykorzystując nieuwagę czy nieobecność chwilową ciotki, zmierzając, łajdacko i bez namysłu, do czarnego kredensu, na którym pod szklanym kloszem pyszniła się piramidka wielkich marcepanowych owoców, jakieś jabłka, banany, gruszki. Podniósłszy szkło, wpiłem w jeden z owych słodkich klejnotów zęby. Nie ułamałem sobie jakoś żadnego, lecz nawet ślad nie pozostał na lśniącej powierzchni, marcepany były skamieliną, upływ czasu przydał im pancerzy i tak uchronił przed moją żarłocznością. Było to jedno z bardziej ponurych rozczarowań.

Podobno omal nie utonąłem na Żelaznej Wodzie. Siedziałem na brzegu, a znajoma pani bawiła się ze mną, podając mi laskę — w pewnej chwili pociągnęła trochę za mocno. Poszedłem na dno jak kamień; nie zdążyłem się nawet przestraszyć. Zrobiło się zielono, potem ciemno, mokro chyba też. Potem już ktoś, trzymając mnie za nogi, wytrząsał ze mnie wodę. Jest to okryte jakby mgłą — i nie wiem, ale zdaje mi się, że kąpielisko było wtedy jeszcze rozdzielone, osobno kąpały się kobiety, osobno mężczyźni. Jeśli tak, znajdowałem się z matką, wśród kobiet.

Już tylko świadkiem byłem dwu innych przeraźliwych wydarzeń; przyjechał raz do Lwowa „człowiek–mucha”, i bodajże w śródmieściu, na ulicy Legionów, wspinał się po ścianie kilkupiętrowego domu. Ponoć posługiwał się tylko „haczykiem do zapinania bucików” — wiadomość, pochodząca od naszej służącej, o tyle prawdziwa na pewno, że takie haczyki istniały; służyły do zapinania damskich bucików na solidny guzik i pętelkę, a składały się z metalowej rączki i okrągłego haczyka. „Człowiek–mucha” spadł, był tam tłum, policja, nazajutrz widziałem, na pierwszej stronie gazety, chyba „Wieku Nowego”, fotografię podniesionego z bruku. Błądą twarz obsiadł mu jakby przegowatymi nogami olbrzymi pająk, zdaje się, że pękła mu podstawa czaszki. Nie wiem, co się z nim stało.

Raz znów zapalił się w naszej piwnicy węgiel czy tylko tlić się zaczął. Mieliśmy wówczas gości, grano w karty, gdy po energicznym dzwonku pojawiły się w korytarzu całkiem niezwykle, groźnie błyskające mosiądzem bojowe kaski strażaków. Ewakuowali cały dom, jakiś czas staliśmy na ulicy, patrząc, jak lali parcianymi węzami wodę do piwnic, potem chyba poszliśmy społem do wujka, który mieszkał blisko. Pożar zdławiono w zarodku, ale został mi po nim lęk. Pamiętam, że miewałem długo koszmarne sny, w których pożar występował jako biała rozwiana osoba, tłukąca się, dobijająca do drzwi mieszkania, zaglądnąca do okien; a na jawie, kiedy nikt na mnie nie patrzył, ukradkiem przykładałem rękę do podłogi, aby zbadać dotykiem, czy się aby parkiet nie rozgrzewa od zarzewia, po cichu rozpalającego się na niższym piętrze.

Z lęku płomieni nie zostało zresztą nic; ciekawe, dlaczego jedne przeżycia uruchamiają w dziecku mechanizm uwrażliwień aż patologicznych, a inne spływają jak woda po gęsiach piórach, nie pozostawiając śladu. Jedną z wczesnych książeczek, jakie czytałem wypełniała historia o chłopcu, który jechał windą, ta zaś zbuntowała się czy też może popsuła i przebiwszy dach kamienicy jak balon leciała z nim nad miastem. Miało to chyba być zabawne w intencji autorskiej, a mnie wystraszyło i jeszcze ćwierć wieku potem, wsiadając do windy, przypominałem sobie tę bląhą przecież historię. Nie wiem też, skąd mi się wziął lęk przed owadami — gdy moi rówieśnicy kochali się w zbieraniu chrabąszczy, ja dotknąć ich nie mogłem. To samo było z ćmami. Natomiast myszy wcale się nie bałem i nawet ciągnąłem z tego zyski. Matka tak ich się brzydziła, że to ja musiałem usuwać truchelka z łapki, a kiedy myszy nie chciały się łapać, czasem pokazywałem matce z daleka szarą gumową myszkę, aby w ten sposób otrzymać ustaloną taksę za grabarskie czynności.

Zastanawiająca jest moja niepamięć dla towarzyszy zabaw, rówieśników, przy jednoczesnym wyczuleniu na rozmaite przedmioty. Nie pamiętam dosłownie żadnych dzieci, za to kształt obręczy mojej doskonale — nawet śrubki, które łączyły fugę drzewa, i to, jak nauczyłem się puszczać obręcz tak, aby sama do mnie, tocząc się, wracała. Czy może dlatego, że przedmioty podlegały mi w sposób bezwzględny, a istoty żywe miały własną wolę, nazbyt mojej przeciwną? W końcu wszystko właściwie, co mnie otaczało, z metalu czy drzewa, stawało się moim łupem. Długo, lata bowiem, czekałem cierpliwie na śmierć gramofonu, a przynajmniej starość jego, i rzeczywiście dorwałem się w końcu do jego wnętrza. Nie była to już maszyna z wielką tubą, takie widziałem tylko na wystawie, na rycinach; gramofon nasz był duży, drewniany, miał pudło rezonujące z wewnętrznym głośnikiem i właściwie należało nazywać go bodaj patefonem. Chętnie obsługiwałem korbę; było trochę płyt „z przebojami”, jedna z nagranych śmiechem i niczym więcej, jakieś szlagiery w rodzaju „Więcej gazu, oto jest zasada ma, więcej gazu, póki młodość w żyłach gra”, arie operowe, ale mechanizm zmieniania igieł, sprężynowego regulatora, interesował mnie bardziej od treści muzycznych. Nie inaczej było z radiem. Pierwszy aparat radiowy pojawił się w naszym mieszkaniu chyba koło roku 1929, choć to data niepewna. Był długą skrzynią, z ebonitową płytą, pokrętłami, zaopatrzonymi w białe nacięcia i wskazówki, z gniazdkami dla słuchawek, bo miał wprawdzie wielki głośnik na jednej nodze, podobny trochę do wentylatora, ale odbierać można było na głośnik ledwo stację lokalną. Zasilaty ów ogromny sprzęt akumulatory

kwasowe, które trzeba było ładować, i wielka anodowa bateria. Wiem też, dziwnym trafem, że pierwszą audycją lwowskiej radiostacji, jaką złapaliśmy, była nowela Conrada *Gospoda pod trzema wiedźmami*, czytana przez mężczyznę o grobowym głosie. Wuj Mundek, mąż ciotki Hani z ulicy Wolności, nieraz przychodził, aby wspólnie z ojcem wydobywać ze szwedzkiego pudła marki Ericsson potężne gwizdy, warkoty i miauczenia elektrycznych kotów — ustawiali wspólnie w rozmaity sposób antenę, rodzaj drewnianego krzyża, na którym były czworobokiem rozpięte druty. Rzadko tylko udawało się spoza kurtyny trzasków wyłowić skrzek jakiejś muzyki, niby sygnał z innej planety, dostarczający rozkoszy dzięki temu tylko, że w ogóle tak nadzwyczajnie się powiodło, o estetycznym rozkoszowaniu się odbiorem nie mogło być mowy. Wuj notował zdaje się osiągnięcia wyjątkowe, w rodzaju złapania Mediolanu czy Berlina, gdzie podobno nadawała najpotężniejsza podówczas w Europie stacja Königswusterhausen. I ten aparat przeżywał powolny, długi zmierzch, gdy stał się nieaktualny, nadszedł czas moich obcęgów i młotka, rozparcelowałem go, mocno zawiedziony, nieatrakcyjnością jego budowy — żadnych zębatych kółek, żadnych sprężyn, nic, tylko nieprzezroczyste od sreberka lampy i kondensatory w gmatwaninie drutów. Jeżeli ojciec mój lękał się rozmaitych rzeczy — nie zgodził się nigdy na założenie anteny dachowej, pono ścierać miała pioruny, a w piecach paliło się u nas wyłącznie drzewem, ponieważ węgiel wytwarza czad, którym można się udusić — odziedziczyłem, kto wie, dyspozycję ogólną, ale nie trwóg owych adresy. Elektryczność lubiłem, byłem z nią zawsze bardzo dobrze, od czasu jeszcze, kiedy łapałem papierowe skrawki na pocierany grzebień, a gazy trujące, nie wyłączając czadu, usiłowałem produkować według możliwości. Ale manie te — elektrykarska, chemiczna, mechaniczna — na dobre rozwinęły się dopiero w następnej, gimnazjalnej epoce; w latach przedtrzydziestych zajmowałem się, na ogół przynajmniej, w sposób banalny, pozbawiony prawie całkiem oryginalności, tym, co wypełnia życie małych chłopców. A więc, najpierw, przechodziłem rozmaite metamorfozy maszynowe — bywałem statkiem, parowcem, samolotem, pracowałem tłokami, puszczałem parę, dawałem całą wstecz, i resztki nawyków tych tłukły się jeszcze we mnie niemal do samej matury; pamiętam, że kiedy się jako podrastający i umundurowany gimnazjalista kochałem, nie byłem od tego, żeby dać na ulicy kontrparę, przerzucić ster na bakburtę, rzucić kotwicę. Zamiłowania naśladowcze są chyba naturalną fazą rozwoju, może trochę irytującą obserwatora przez jej małpiarskość, bo chciałoby się, aby dzieci były dziećmi po prostu — a mniej małymi dorosłymi — mam tu na myśli zwłaszcza roje ośmioletnich mamus z maleńkimi wózeczkami — zresztą, nie zmieniłem płci i być może przemawia przeze mnie infantylnizm chłopca, a właściwie tych jego resztek, które jakoś przetrwały w moim nadpsuwającym się powoli wnętrzu. Mniejsza zresztą o takie, niezbyt mądre chyba, oceny; jakiś fachowiec uznałby, że dzieci po prostu przygotowują się, bawiąc, do kultury epoki, w jakiej przyszły na świat; w średniowieczu bawiły się chyba w konie, oblężenie twierdz, a pewno i w krucjaty. Naturalna też jest tendencja do badania własnego ciała i jego możliwości; co prawda rozmaicie z tym u mnie bywało. Przez czas pewien dosyć chętnie wieszalem się, gdzie się dało, gromadząc odpowiednie postronki, na niby oczywista i nie do końca, a także troszkę się samoudręczałem. Ot, obwiązywało się palec sznurkiem, żeby „zasnąć”, albo też przywiązywało się samego siebie do klamki jakiejś, albo wisiało głową na dół ze sznurowej drabinki (miałem taką), wdławiąło się palcem oko w głąb oczodołu, żeby widzieć podwójnie; jednego nie robiłem nigdy: nie wtykałem sobie żadnych grochów ani fasoli do ucha czy nosa, wiedziałem dobrze, jakie to może mieć smutne konsekwencje, nie na darmo ojciec mój był laryngologiem. Nie wiem, skąd mi się to wzięło, ale dość długo za najbardziej nieprzyzwoitą część ciała ludzkiego uważałem nogę, a właściwie bosą stopę. Pamiętam, że raz okropnie pobiliśmy się ze starszym o dwa lata kuzynem Mietkiem (zginął w Warszawie, podobnie jak Stefan) przez nogę właśnie; siedzieliśmy na parapecie okiennym w naszym mieszkaniu i doprowadziłem go do tego, że przyjął narzuconą przeze mnie konwencję; poszło o to, kto

komu odważy się pierwszy pokazać tę nogę, i długo, bo akurat nie było domowników, tarzaliśmy się po podłodze, szczepieni w okrutnej walce. Freudysta bardzo by się pewno tymi moimi wyznaniem ucieszył, ale nic z nogi mi nie zostało — a już fetyszystą jej nie zostałem ani trochę.

Rozwodzę się nad tymi błahymi drobiazgami, ponieważ wydają mi się jakoś ciekawsze od moich wspomnień i czynów późniejszych. Z upływem czasu dziecko staje się coraz dobitniej, w sposób coraz bardziej jednoznaczny, członkiem określonej grupy — w szkole, w gimnazjum — i zachowaniem swym upodabnia się do niej, a przynajmniej usiłuje to robić, jak umie. Aktywność jego okazuje się zatem w znacznej mierze wtórna, i jak myślą, mniej może powiedzieć o właściwościach przyrodzonych, o demonach, odziedziczonych w genotypowych garniturach, aniżeli praktyki najpierwsze, często podejmowane w samotności. Najciekawsze i najbardziej godne prześledzenia wydają mi się pierwsze preferencje i awersje, te nie wiadomo skąd się biorą, a nie późniejsze, wyuczone, będące czasem wręcz mechanicznymi naśladowaniami. Dzieci nie obawiają się przecież, jak wiadomo, najstraszliwszych nawet cielesnych ułomności osób bliskich, po prostu ich nie dostrzegają. Trzeba pewnego czasu, aby wdrożyły się do przestrzegania norm zwyczajowych otaczającego je świata. Z żadnymi więc kryteriami rozróżniania brzydoty od piękna na pewno nie przychodzimy na świat — ale to tylko mglista supozycja, nie wiadomo, czy doprawdy można by nauczyć dziecko jakiejś „odwrotnej”, w stosunku do zwykłej, estetyki codzienności.

Wracając do świata przedmiotów — odzież była z nich wyłączona, nie interesowałem się nią, co widzę stąd, że żadnego ubranka nie pamiętam, z wyjątkiem pewnych skórzanych portek tyrolskich, które nosiło się na zielonych szelkach. Miały one z przodu szeroką, na guziki rogowe zapinaną klapę, rzecz dość niebezpieczna i bardzo niewygodna, bo można było po prostu nie zdążyć; pamiętam też i to jeszcze, że zyczyłem sobie posiadać prawdziwy, na guziczki zapinany rozporek, a nie klapkę, jak zupełnie małe dzieci. Nic nie powiedziałem dotąd o dwu pokojach naszego mieszkania, ważnych przez to, że legalnie wstępu do nich nie miałem. Była to poczekalnia i ordynacja ojca. Poczekalnię zdobiły fotele w pokrowcach, hebanowe, zdaje się, drewno bowiem było zupełnie sine, co się okazało, kiedy poręcz się raz odłamała. Stała tam też stara szklana szafka, z „nipami”, ale takimi gorszymi — jakieś tace, kosze srebrne, prezenty od wdzięcznych pacjentów, także rozpadający się pseudojapoński sztylet leżał za szkłem. Był tam jeszcze na postumencie drewnianym lwowski batiar, bez imienia, bo nie mój, ale niczyj jakby, wielka lala z wytrzeszczem błękitnych oczu, w kurteczce łataniej rozmyślnie, portkach, koszulce w paski, z filcowym bananem w kieszeni. Nie wolno mi było dotknąć nawet tego batiara, dlatego długo przetrwał, bodajże do wojny, przeżył nawet jej pierwsze lata, i uległ dopiero zbiorowym, powtarzanym metodycznie atakom moli. Tych moli nie brakowało na Brajerowskiej nigdy i każdy z domowników obowiązany był na widok któregoś puszczać się za nim w pogoń, klaszcząc przeraźliwie, aby go zmiażdżyć między palcami, ja zaś, brzydząc się tego, klaskałem zawsze obok.

Ordynacja ojca była miejscem niedostępnym, w teorii przynajmniej, dlatego badałem ją sumiennie, kiedy tylko mogłem. Ściany były wyklejone tapetą, imitującą kafle porcelanowe, stała tam chuda twarda kanapka, drewniana szafka z lekarstwami i niewielką ilością książek, lekarskie małe biurko, lampa grzejna, pantostat, metalowy stolik z narzędziami, także białe krzesło dla chorych i okrągły na śrubie taboret ojca. Urządzenie więcej niż ascetyczne, z jedynym wyjątkiem; na szafce stała bowiem czarna skrzynka, w środku podzielona na małe przedziałki, a w niej spoczywały starannie porozkładane eksponaty — wszystko, co ojciec przy pomocy wielkich rur laryngoskopu Brüninga wydobył z tchawic, przełyków, oskrzeli — rzeczy te, same w sobie niewinne, przerażały dopiero, kiedy się pomyślało, gdzie też tkwiły. Była tam szczeka sztuczna z czterema zębami i haczykiem, otwarta agrafka, wyłowiona z tchawicy dziecka, szpilki różne, fasole, co trochę zakiełkować już zdążyły, jakby w swej roślinnej niewinności naprawdę zamierzały osiedlić się na stałe w czyimś nosie, zaśniedziały

monety, a także spory kawałek taśmy filmowej. Kiedy byłem już większy, ojciec opowiadał czasem o okolicznościach i warunkach, w jakich zdobył te trofea, o polowaniach z pistoletowym uchwytem tracheoskopu Brüninga w dłoni, pokazywał mi specjalne zestawy długachnych haczyków i zmyślnych kleszczy czy sond. Bardzo była niezwykła historia pewnego chorego, którego przywieziono, gdy się dusił, co chwila mdlał i siniał, a lusterko krtaniowe ukazywało z pozoru wolną, szeroko otwartą szparę głosową, aż dopiero po szczególnym lśnieniu ojciec zorientował się, że jednak coś, niby szkiełko, ją zakrywa. Był to kawałek filmowej taśmy, który ów pan, filmowy operator, zjadł z naleśnikami (z serem! i to pamiętam); nie wiedzieć, jak się do nadziewki zawieruszyła jedna klatka taśmy, i osiadłszy na krtani, dusiła go działając jak wentyl, kiedy oddychał. Przedmiotów banalnych, których mnóstwo ojciec wciąż wydobywał z pacjentów, w czarnym pudle nie było wcale; ości na przykład. Bo też nigdy w święta nie mogliśmy zjeść w komplecie kolacji — zawsze odzywał się przy drzwiach gwałtowny dzwonek, a ojciec przebierał się zaraz w biały płaszcz i ze swym lustrzanym, jakby wielkim trzecim okiem na czole, znikał w ordynacji. Pozazdrościwszy ojcu takich laurów, których sportowy, a nie medyczny charakter do mnie przemawiał, w największej tajemnicy dobieierałem się do całej skomplikowanej aparatury Briininga, zestawiałem długie niklowe rury, włączałem, jak było trzeba, żaróweczki oświetlające, i podejmowałem śmiałe próby ekstrakcji ciał obcych z rury elektrycznego odkurzacza, uprzednio je tam umieściwszy. Na białym śrubowym stołku ojca kręciłem się też nieraz do siódmych potów i zawrotu głowy, włączałem wielki sollux, który nie tylko grzał, ale i świecił (raz jakiejś pacjentce pono zapaliły się włosy, bo miała w nich ukrytą celuloidową zapinkę czy grzebień, ale tego nie pamiętam, to było jeszcze podczas mego niebytu). Gdy zaś już nic całkiem nie byłem zdolny wymyślić, napełniałem półlitrową szprycę, służącą do wypłukiwania wodą tak zwanych woszczyn z ucha i sikałem sobie przez uchylone na podwórze okno to w górę, na piętro wyższe, to znów na dół, na ganek państwa gospodarzy.

Powiedziałem już, jak wczesnie nauczyłem się czytać i pisać. Preparowałem piękne, ozdobne laurki dla ojca i matki, ozdobione mnóstwem kwiatuśzków rysowanych, a i pierwsze lektury były typowe, zwyczajne — wierszy, takich jak o komarze, bajek; kiedy już po wojnie wpadł mi w rękę jakiś zbiór wierszyków dla dzieci, w których rozpoznałem lekturę sprzed trzydziestu kilku lat, zdumiewało mnie, czego też w nich nie odkrywałem jako sześciolatek chłopiec. Jakieś dramaty nieprawdopodobne i niewyraźne, emocje, już teraz wcale we mnie z sobą nie sąsiadujące, zadziwienia i strachy, ale też i śmieszności, czały się dla mnie wtedy w zbiegu najniewinniejszych słów. Dlaczego historia płamy na podłodze, której miotła nie mogła dać rady, pełna była ponurości, grozy nawet? Dlaczego wyliczanie kolejnych wron bez ogona stanowiło inkantację jakoś aż magiczną, niby ryzykowne wzywianie skrytych jakichś sił, kuszenie niewiadomego licha? Tym dziwniejsze to, że się z takich emocji, strachów, przeczuć dramatycznych nikomu nie spowiadałem, nikomu o nich nie mówiłem. Nie umiałbym chyba owych stanów wyrazić, nazwać, zapewne; ale także — jeślibym może zdolny był o tym wtedy pomyśleć w ogóle — uważałem chyba, że reakcja taka jak moja jest jedyną możliwą i całkiem zwyczajną. W każdym razie byłem wtedy podatniejszym niż dziś instrumentem, nie trzeba było wielu bodźców, uderzeń, aby wydobyć ze mnie czy raczej, aby w głowie mojej wznieść całe gmachy uczuć i przeżyć; doprawdy, autorzy książeczek dla dzieci sami nie wiedzą, co czynią, z jak zapalnym, prawda, że psychicznie tylko, materiałem zonglują bezustannie. Im się zdaje, że opowiadają pouczającą historyjkę, a tymczasem w odbiorze zamienia się ona w zagadkę albo w powikłany dramat; chcąc rozśmieszyć, nauczają misteryjnych tajemnic, rymują po częstochowsku, a rodzi się z tego w jakiejś głowie siedmioletniej wzniosła katharsis. Najniezwyklejsze były te początki, te najpierwsze lektury. Potem, zwyczajnie i po cichu utonąłem sobie w książkach.

Byłem, rzecz jasna, Mowglim, Winnetou, i kapitanem Nemo, zapadły mi w pamięć okruszyny tekstów najbardziej nieoczekiwane; kupując po wojnie książkę Umińskiego *Podróż bez pieniędzy*, starannie ją przekartkowałem, aby odkryć jedno z piękniejszych jej zdań — „Kula, przeleciawszy z charakterystycznym grzotem przestrzeń” — chodziło o polowanie na krokodyla czy na nosorożca, ale niestety było to wydanie zrewidowane i owa wspaniała kula z jej grzotem znikła z niego, ku memu wielkiemu rozczarowaniu. A *Dolina bez wyjścia!* Okropne działały się ze mną rzeczy, kiedy ją czytałem. Cóż dopiero mówić o *Duchu puszczy*; takie lektury nie pozwalały na nonszalancką swobodę, na wylegiwanie się pod oknem, z nogą krzesła zręcznie podrzucaną stopami, ani na klęczenie u stołu, z łokciami na blacie — musiałem być bardzo blisko osób zupełnie pewnych i dorosłych, a i tak bywało straszno. Dickensa czytać nie chciałem, był jak deszczowa beznadziejna jesień, zaś w Dumasię po prostu zginałem, zgubiłem się — zaczęło się niewinnie, od *Trzech Muszkieterów*, a po jakimś czasie wyglądało na to, że dla przeczytania wszystkich jego książek życia nie starczy. Potem, w gimnazjum, czytałem już wszystko, co tylko wpadło w rękę, Fredrę z Mayem, Sienkiewicza z Vernem i Wellsem, Słowackiego z Pitigrillim; był to prawdziwy groch z kapustą.

Czytając, zwykle coś jadłem, bo już chyba dałem do zrozumienia, że byłem żarłokiem, ale kochliwym — godzi się wspomnieć tutaj o pierwszych kobietach. Dziwnym to szło zygzakiem. Na początku była Mila, nasza praczka, miałem może pięć lat i, jak zwykle wtedy, żenić się zaraz chciałem. Cierpiała, biedaczka, na okropne żylaki. Pralek elektrycznych nie było, pranie zamieniało dom w rodzaj parnego piekła, przynajmniej kuchnię z przyległościami, na środek wyjeżdżała ogromna balia, bulgotało wulkanicznie w baniakach, potem pojawiała się maglownica drewniana, z wypełniającym pół domu rumorem; tkwiłem w tym wszystkim, rozgardiasz wcale mi nie przeszkadzał.

Później kochałem się w nauczycielce ze szkoły powszechnej, nie wiem, jak wyglądała; zbiła raz mego sąsiada z ławki — w szkole powszechnej na ogół można było dostać tylko „pacę” linią, w otwartą i wyciągniętą dłoń, ale ten chłopak był twardy, zimny, okropnie krnąbrny i arogancki, ukochana moja wytrzepała mu ze spodenek chmary kurzu. Nawet nie pisnął ani łzy nie uрониł, niesłuchanie mi tym imponując.

Powoli specjalnością moją stawała się miłość nieszczęśliwa. Zakochałem się do szaleństwa w dziewczynce, starszej ode mnie o jakieś cztery lata, a więc pannie prawie dorastającej, gdy ja miałem koło dziesięciu lat. Dziewczę to obserwowałem z dala, w Ogrodzie Jezuickim, w sposób kontemplacyjny, mało się ruszając. Byłem już porządnie tłusty, postacią zaczynałem przypominać gruszkę, chociaż dokładniej formę jej, najszerszą poniżej środka, imitowałem później w gimnazjum. Twarz miałem puciołowatą, oczy zwykle dość wytrzeszczone, bo z natury byłem ciekawy, a i gębę często rozdziawiałem, zdaje się, sądziłem, że dodaje mi to uroku. Nie miałem wtedy zbyt wielu szans, zresztą nie wyobrażałem sobie żadnych ziszczeń, nie wiedziałem bowiem, co można robić z dziewczynkami innego, aniżeli biegać za nimi wieczorem, w ogrodzie, od krzaka do krzaka i straszyć je latarką. Miłość moja do dziewczynki z Ogrodu Jezuickiego nie miała więc żadnej akcji, nie nosiła piętna rozwoju, a jednak była niezwykle intensywna. Zdaje się, że wyznał ją rodzicom, inaczej nie udawałoby mi się przebywać dostatecznie często w tym doskonałym punkcie, z którego mogłem ją obserwować. Chyba nic o mnie nie wiedziała, nie zamieniłem z nią jednego słowa, a jednak linia jej profilu, podbródka, warg wypaliła mi się w pamięci tak dokładnie, że pozostał tego ślad do dzisiaj.

Ciekawe, że gwałtowność takich platonicznych zakochań wcale nie przeszkadzała w miłościach (jeżeli to były miłości) bardziej, jakby powiedzieć — gminnych? Bodajże ośmioletniego ojciec, wchodząc do kuchni, zastał mnie raz przy trywialnym zajęciu szczypania służącej w zadek. Zmieszany, powiedział coś w rodzaju „ach, tak” lub „ach, przepraszam” i zaraz wyszedł. Ciekawe też, że mogę przypomnieć sobie nieco z ówczesnych

moich czynów, a nawet emocji, natomiast żadnych myśli; bardzo możliwe, że w ogóle nie wybiegałem nimi poza krąg danych bezpośrednio, zmysłowych doświadczeń. Na ulicy Słowackiego znajdowało się naprzeciw Poczty Głównej biuro Cunard Line, towarzystwa okrętowego, a w każdym z jego okien stał wielki model oceanicznego parowca. Chodziły za mną, śniły mi się te wspaniałe statki, miały wszystko, jak się należy, nawet mosiężne śruby u sterów, olinowania, maszty, niezliczone okna w szeregach, pokłady, mostki, miniaturowe szalupy, schodki i koła ratunkowe. Marzyłem o nich beznadziejnie i żarliwie, prawdopodobnie w sposób równie idealny marzył Kuba Rozpruwacz o dziewczynkach, które nie powpadały mu w ręce. Jego rojenia były pewno tak samo niewinne jak moje, u szyb Cunard Line, dopiero urzeczywistnienie stawało się drogą wiodącą do zbrodni. Może więc i dobrze się stało, że żadnego z owych dwumetrowych cudów nie udało mi się nigdy przybliżyć na odległość ręki — albowiem prędzej czy później sięgnąłbym po młotek.

Dziecko, którym byłem, interesuje mnie i zarazem niepokoi. Zapewne, nie mordowałem nikogo, oprócz lalek i gramofonów, niemniej należy wziąć pod uwagę, że byłem słaby fizycznie i obawiałem się represji ze strony dorosłych. Ojciec nie bił mnie nigdy, matka czasem kuksała, to wszystko, ale było wszak wiele innych, mniej bezpośrednich środków i sposobów od reprymendy słownej po obostrzenia leguminowe. Gdyby czteroletnie dzieci dorównywały wszakże siłą rodzicom, świat nasz wyglądałby inaczej. Tworzą doprawdy gatunek wcale odmienny, na pewno nie są mniej skomplikowane od ludzi dojrzałych — a tylko ta komplikacja tkwi u nich w innym miejscu. Czy bowiem nie z rozpaczą w sercu rozwaliałem zabawki? Czy nie żałowałem potem (niezależnie od nakładanych kar) ich utraty? Dlaczego, taki strachliwy, smakowałem w sytuacjach ryzykownych — naprawdę? Coś ciągnęło wszak, aby wychylać się z okna możliwie daleko, a dobrze wiedziałem, choćby dzięki historii „człowieka–muchy”, czym grozi upadek z drugiego piętra. Pamiętam też, jak przeraziłem wuja, kiedy zimą na wakacjach w Tatarowie wlałem naraz pod lokomotywę pociągu, który miał właśnie ruszyć, żeby czym prędzej odłamać zwisający spod cylindrów sopel lodu. Bałem się bardzo, że pociąg ruszy i obetnie mi nogi, ale widocznie ów sopel był mi nadzwyczaj potrzebny. Czyżby to miała być tak zwana przez psychologów czynność przymusowa, rodzaj natręctwa? Są to zjawiska znane, przechodziłem przez okresy liczenia okien, drzwi, przez fazy skomplikowanych rytuałów, musiałem chodzić tak, aby stąpać tylko po płytach chodnika, nie zbliżając się stopą do ich złączeń, a już z oddychaniem miałem niesamowite kłopoty. Próbowałem nie oddychać, jak długo się dało, albo znów robić to jakoś specjalnie, były tam jakieś wdechy i wydechy, szczególnie przed zaśnięciem, jakieś osobliwe formowanie jaśka i poduszki pod głową, budowanie kojca z kołdry i tak dalej. Zdarzały mi się także, czasem w chorobie, a czasem i kiedy byłem całkiem zdrowy, osobliwe sensacje, zwane — jak się o tym dowiedziałem trzydzieści lat później — zaburzeniami schematu ciała. Leżałem sobie w łóżeczku, z rękami na piersiach, i naraz dłonie zaczynały rosnać, natomiast ja sam spoczywałem pod ich ogromem nieprawdopodobnym coraz to mniejszy — powtarzało się to, zawsze w sposób dość podobny, i na pewno na jawie. Pięści urastały mi do rozmiarów istic górskich, palce przemieniały się w jakieś zamknięte, ogromne łuki, wszystko w nich ulegało zmonstrualnieniu, elefantiazie, lękałem się tego trochę, ale znów nie zanadto, było to bardzo dziwne — i nikomu o tym nie mówiłem.

III

Widzę teraz, że byłem dzieckiem samotnym raczej, ale wcale o tym nie wiedziałem. Bardzo chciałem mieć braciszka lub siostrzyczkę, a właściwie — obawiam się — małego niewolnika. Czytywałem chętnie ogłoszenia w gazetach, tam gdzie była mowa o odstępowaniu dzieci na własność. Zdarzały się takie anonsy wcale często. Marzyło mi się, że gdyby takie dziecko wziąć do nas, byłoby to doskonałe; ogólnikowość tej chętki wydaje mi się dziś raczej podejrzana. Inne dzieci nie przychodziły do mnie zbyt często. Nie znaczy to, aby wcale ich nie było, ale stanowiły margines, odstępstwo od reguły, jeśli nie rzadkość. W niedzielę latem czy jesienią, jeździło się zwykle za miasto, zawsze w to samo miejsce, mianowicie do restauracyjnego ogródka miejskiego pana Ruckiego, który znajdował się przy szosie stryjskiej, koło rogatek. Płacenie myta było interesującą i zabawną przerwą jazdy, podczas której siedziałem oczywiście na koźle. Woźnica, dorożkarz właściwie, zawsze ten sam, nazywał się naprawdę Kramer czy Kremer, ale ja nazwałem go Grubasem, i przy tym już zostało. Był krępy, czerwony na gębie i okazywał mi wiele cierpliwości. Od niego to dowiedziałem się podstawowych rzeczy o koniach, między innymi tego, że koń szanuje, słucha i boi się człowieka, ponieważ ma takie wielkie oczy, które wszystko powiększają, więc człowiek wydaje mu się daleko większy od niego samego. Z tego też powodu konie są takie lękliwe — wszystko wszak mają za ogromne! Musiałem wynajdywać sobie zajęcia na długie godziny, gdy ojciec, wuj Fryc i reszta towarzystwa siedziała pod owocowymi drzewami grając w karty; była u Ruckiego kręgielnia, ale długo nie miałem dość sił, aby rzucać wielką drewnianą kulą — w końcu i do wagi tych kul jednak dorosłem. Czasem udawało mi się nie tylko teoretycznie rozmawiać z Grubasem, ale i nakłaniać go, aby wyprzągnął konia, na którym trochę jeździłem; a kiedy odmawiał, w sposób zresztą uprzejmy; albo po prostu spał w dorożce z nogami na koźle, włożyłem w maliny, gdzie było sporo okrutnych pokrzyw, w ostateczności zaś podkradałem się do grających. Wuj miał melonik, który mnie intrygował, ponieważ taki był twardy. Próbowałem z całych sił załamać denko, ale opierało się, jakby tkwiła pod czarnym filcem stalowa blacha. Jakoś umiałem sobie wystarczyć, bo, żebym się nudzić miał, tego nie pamiętam. Miałem przecież wszystko, zabawki, książki, plastelinę — lepiłem z niej słonie, konie (te gorzej zawsze się udawały), wyrabiałem z niej serdelki, kiełbaski albo i lale. Tym wybierałem plastelinę z brzucha i wkładałem do środka kiszeczek, wątróbki, płucka, też plastelinowe, bo już trochę wiedziałem, jak to tam w środku wszystko wygląda. Najlepiej się to udawało, kiedy plastelina była różnych kolorów, ponieważ potem można było zalepić brzuch pacjentowi i kulać go rękami, aż się zrobiła ze wszystkiego zabawna klucha z przemieszаныmi porozmazywanymi warstwicami różnobarwnej plasteliny; z takiego gnieciucha sporządzało się następnego delikwenta, i tak prawie w nieskończoność. Do czasów gimnazjalnych mało samodzielny, poza najbliższą okolicą bardzo słabo znałem Lwów; trochę ulicę Kazimierzowską, okolicę więzienia Brygidek, ponurego gmachu o grubych murach, bo niedaleko odchodziła tam boczna ulica Bernsteina, gdzie wuj Fryc miał adwokacką kancelarię. Także jeszcze Gródecką, którą jechało się na wakacje, to znaczy na dworzec, wspaniały i olbrzymi u końca alei Focha.

Wuj Fryc mieszkał przy ulicy Kościuszki, niezbyt daleko od Brajerowskiej, i potrafiłem zajść tam sam, co się zresztą w praktyce nie zdarzało. Mieszkania tego zrazu się nieco bałem, a to z powodu skóry niedźwiedziej, leżącej pośrodku salonu, o głowie z rozwartą paszczą i wyszczerzonymi zębami. Dużo wody upłynęło w Pełtwi, nim ważyłem się wtykać temu niedźwiedziowi palce do paszczki. Wuja bardzo lubiłem, chociaż zażartował raz ze mnie w okrutny sposób. Przyniósł mi jako prezent olbrzymi pakunek, na który zaraz rzuciłem się, aby rozdzierać opakowanie, trwało to długo, bodaj kwadrans, aż, spocony, drżący, zostałem

pośród potarganych na wsze strony papierów — z mniejszą od fasolki laleczką w rękę; wuj zaśmiewał się z tego kawału, którym zranił mi serce.

Jeśli godziłem się w ogóle chodzić na ulicę Kościuszki, to chyba ze względu na fortepian, czarny, wielki, na którym bodajże nikt nie grał. Lubiłem okazje szybkiego wyznęcania się nad klawiaturą, bo gustowałem w silnym uderzeniu, w kakofoniach łomotliwych i gwałtownych; ze słuchem moim nie było nigdy dobrze i całe szczęście, że rodzice nie usiłowali nawet mej muzykalności, dębowej z natury, poddać rygorowi nauk gry na jakimś instrumencie. Oprócz licznych portier ciężkich a długich, w których lubowała się druga żona wujka, ciocia Niunia, znajdowały się na Kościuszki meble bardzo odświeżone — pewno fałszywe Ludwiki, pamiętam lustro złożone na czyichś nogach (lwa jakiegoś bodajże), gryfa na postumencie, drewnianego i malowanego, z małym, oklep jadącym murzynkiem, świecznik z tysiąca kawałków szkła tęczującego oraz ciekawy przedmiot: była nim stojąca w bezokiennej niży wielka beczka z czerwonej miedzi, dokładnie bezużyteczna i dlatego intrygująca.

Temu wujkowi zawdzięczam sporo, pozwalał mi bowiem prznosić na Brajerowską encyklopedię z lat osiemdziesiątych, Brockhousa i Meyera, która piętrzyła się w jego kancelarii. Znosiłem te ogromne tomy pojedynczo, takie były ciężkie. Oczywiście nie mogłem ich czytać, nie znałem przecież niemieckiego, pełne były wszakże tablic kolorowych i jednobarwnych rycin, drzeworytowych — spędzałem nad tymi ciężkimi i zakurzonymi tomiskami sporo czasu. Świat, jaki ukazywała owa encyklopedia, był już wtedy, w latach dwudziestych, po trosze skamieliną, wszystko nieomal pobrzmiwało anachronizmem, ale ani o tym wiedziałem, ani też mi to szkodziło. Pociągi lat osiemdziesiątych, żelazne mosty z girlandami żeliwnymi, lokomotywy o suto koronowanych kominach, jak również powożące nimi osoby, panowie brodaci i wąsaci, wszystko to wydawało mi się wspaniałe i przepojone nienazwalnym czarem. Także ówczesne dynamomaszyny, urządzenia archaiczne o kołach ze szprychami, rozumie się, rzeźbionymi, motory elektryczne oraz rozmaite najnowsze wynalazki, w rodzaju dorożek bez koni, napędzanych akumulatorami, które mieścił w sobie ostatni tom, suplementowy; najzabawniejsze zaś było to, że w owych tomiszczach tkwiło wszystko, ale to wszystko naraz obok siebie, słonie, ptaki, rośliny, rekonstrukcje mamutów, ordery pruskie na barwnych tablicach, portrety władców, fizjonomie murzyńskie, dzbany, klejnoty. Ze smakiem tonąłem w encyklopedii; każdy kolejny tom wertowałem sumiennie od deski do deski, starając się niczego nie pominąć. Nie pamiętam, czy wiedziałem w ogóle, co też to za wydawnictwo i do czego właściwie winno służyć. Chyba mnie to nie obchodziło. Jeśli więc nawet nie pojmowałem, że to jest pewien świat cały, skatalogowany i opisany, czy też przekrój jego, poprowadzony wzdłuż lat osiemdziesiątych dziewiętnastego stulecia, odbierałem jednak chyba rzecz prawidłowo: wszystko tam było dla mnie jednakowo dobre, chociaż, naturalnie, nie wszystko tak samo ciekawe. Było to doskonałym uzupełnieniem sondowań przeprowadzanych w ojcowskiej bibliotece. Niejedna też grawiura stała się zapewne natchnieniem moim później, gdy opętała mnie namiętność robienia wynalazków, a nadto encyklopedia zyskawszy sobie w naszym mieszkaniu prawo obywatelstwa, poustawiana w starej białej szafce, w pokoju przy kuchni, posłużyła mi za osobliwy schowek. Za poszczególnymi tomami było bowiem sporo miejsca, dosyć, abym mógł tam ustawiać flaszeczki z tajnymi miksturami — albo po prostu z alkoholami, w największym sekrecie zlewanyymi ze stojących w kredensie butelek.

O ileż łatwiej jest mi opowiadać o przedmiotach wczesnego dzieciństwa aniżeli o ludziach. Ale też tylko przedmioty, jeśli można tak powiedzieć, były wtedy wobec mnie szczerze. Oddawały mi się w zupełności, niczego nie ukrywając, zarówno te, które, zdane na moją łaskę, niszczyłem, jak i takie, wobec których byłem bezsilny. Zapewne — rodzice, bliscy, mieli swoje bardzo naturalne powody, dla których ani chcieli, ani mogli zwierzać się dziecku ze swych problemów i spraw. To konieczne, inaczej być nie mogło. Ale i tak sprawy ich

docierały czasem do mnie, w sposób fragmentaryczny, niepełny, niezrozumiały, albo w odległych konsekwencjach; o niczyjej złej woli nie może być nawet mowy. Niejednego dowiedziałem się potem i mógłbym tę narrację uzupełniać, opatrywać wyjaśnieniami i głosami, których proporcje właściwe — to znaczy, proporcje dorosłych — wprowadziłyby ład do opowieści jednostronnej wskutek ich braku i w wielu miejscach pozbawionej kluczy. Ale nie chcę właśnie tego robić, ponieważ nie zależy mi na tworzeniu takiej podwójnej perspektywy. Nie spisuję bowiem ani historii mojej rodziny, ani losu poszczególnych jej przedstawicieli. Mój zamiar jest daleko skromniejszy. Chodzi mi tylko o dziecko, którym byłem. Dziecko nie uważa przecież swojego świata za niepełny, pełen luk, wymagający wstecznych, retrospektywnych uzupełnień w jakiejś trudnej do określenia przyszłości — a postępuje tak, rzecz jasna, instynktownie, nie z wyboru, ponieważ sobie swej wyjątkowej w świecie dorosłych sytuacji, w takim świetle zwłaszcza, nie uświadamia. Ten, kto opisuje społeczność praktykującą magię, nie musi co krok korygować jej wierzeń, podając rozmaite dementi, odtłumaczenia, wyjaśnienia racjonalne, zaprzeczać nieustannie przesądom, podważać prawomocność zaklęć i skuteczność czarów. Jeśli nie mają one wpływu realnego na świat materialny, na pewno mają, i to ogromny, jedyny, decydujący, na tych, którzy w nie wierzą. To samo z dzieckiem; w tej subiektywnej perspektywie liczą się przeżycia, a nie właściwe interpretacje faktów i selekcja oddziela nie — wersje prawdziwe od fałszywych, ale staje się milczącą wykonawczynią nakazów pamięci, która zarejestrowała to, co zarejestrowała — bez żadnej możliwości apelacji.

IV

Spisywanie wspomnień z dzieciństwa stanowi — szczególnie dla kogoś takiego jak ja, obdarzonego kiepską pamięcią — zajęcie dość ryzykowne, zwłaszcza że muszę jeszcze trzymać na wodzy profesjonalizm fantazjowania, to znaczy grupowania odosobnionych szczegółów, niechby i wiernych faktom, w spójne całości. Mając zaś za sobą, oprócz książek fantastycznych, jedną współczesną, tyle już razy układałem biografie postaci fikcyjnych, że powrót do osoby własnej, a jeszcze sprzed wielu lat, musi się dokonywać pod możliwie surową samokontrolą. Bardzo literacki, w zawodowym rozumieniu, jest nawyk dążenia do budowy całości właśnie, to znaczy określonych porządków, sekwencji wypadków, które by się w jakiś sposób zamykały i tłumaczyły, zresztą, jak czasem myślę, skłonność ta jest w ogóle jednym z podstawowych dążeń natury ludzkiej, zarówno w jej bardziej jednostkowych, jak i społeczno—zbiorowych przejawach. I to od czasów najdawniejszych, bo czymże innym są mity, jeśli nie narzucaniem ładu takim nawet zjawiskom, które go — w sobie — nie posiadają; wszystkie też mity, jakkolwiek byłyby różne od filozoficznych systemów czy teorii naukowych, schodzą się z nimi w tym, że negują możliwość powszechnego, a przynajmniej dość pospolitego panowania chaosu jako reguły wydarzeń. A jeśli chaos w postaci czystej, niezakłóconej żadnymi rodzajami porządku, najpewniej nigdzie w świecie materialnym nie istnieje, to znów nie na każdy typ dającego się obiektywnie wyróżniać w zjawiskach ładu jesteśmy skłonni wyrazić zgodę. Ani powieściopisarz, ani biograf nawet nie mogą zadowolić się stosowaniem prawidłowości tylko statystycznych, typu wielkiej liczby, brownowskich ruchów molekuł; tam więc, gdzie panują jedynie łądy takie właśnie, określające kierunek przebiegu zjawisk ledwo w pewien sposób ogólnikowy, i pozostawiają mnóstwo luzów dla działania ślepego trafu, najłatwiej wciska się, nie całkiem nawet świadomie wprowadzana przez autora, nadwyżka porządku, taki jego nadmiar, któremu w realnym świecie nic nie odpowiada, który jest wyrazem już to życzeń pobożnych, już to jednostronności widzenia, już to wreszcie uległości wobec panującej metodologii czy estetyki. Ten, kto w przedstawianą rzeczywistość wprawia nadmiar nieobecnego w niej ładu, ukazuje nam jej obraz najczęściej — uwznioślony. A więc, podkreślając, powiedzmy, sielskość, niewinność lat dziecięcych, konstruuje „bezgrzeszne lata”, albo na odwrót, pragnąc się podobnemu ujęciu przeciwstawić, stworzy świat dzieci — potworów małych — żeby ograniczyć się jedynie do ujęć biograficznych, bo te nas tu interesują. O tym, aby ktoś, o żadne reguły nie dbając, powiedział „wszystko”, nie może być mowy, ponieważ selekcja zachodzi zawsze i różni się od siebie tylko stosowane do odsiewu zestawy kryteriów. W końcu, jeśli staram się polegać na pamięci, zawierzam jej samej jako czynnikowi selekcyonującemu, uzależniam się od tego, co zdołałem zapamiętać; sądzę zatem, że granica zdolności zapamiętywania jest barierą szczerości, której przewyciężyć nie można.

Dość niepokojące wydawało mi się przy pisaniu tych kilkudziesięciu stron wspomnień, jak często odnosiłem wrażenie, że nie wypadki przedstawiam, ale ich — już gdzieś, jakoś literacko przetrawestowane — wersje. W samej rzeczy *Czas nieutracony* zaczynałem od dzieciństwa bohatera, i tę część wstępną książki, którą wielokrotnie przepisywałem i opracowywałem, w końcu zdecydowałem się w całości odrzucić. Tam właśnie znajdowało się maksimum materiałów wspomnieniowych z wczesnego dzieciństwa. Poza tym rozmaite jego okruciny rozproszyły mi się i po innych książkach, jestem więc w niewdzięcznej sytuacji człowieka, który nie może po prostu sięgać do zbiornicy niechby i całkiem chaotycznie przemieszanych kronikarskich faktów, ale musi je, siłą niejako, wyrwać z najrozmaitszych konstrukcji, w których obrosły możliwie doskonałymi imitacjami prawdy. Ironiczny wariant losów ucznia czarnoksiężnika czy całkiem już po prostu kłamecy, który zaczyna płatać się we własnych zmyśleniach.

Rzecz zrozumiała, że dotyczy to w wyższym stopniu relacji o przeżyciach, o reakcjach psychicznych aniżeli o doznaniach czysto sensualnych; mówiąc to, podważam, i zdaję sobie z tego sprawę, samą koncepcję, która miała patronować wspomnianemu: ażeby izolować interpretacje i wersje przeżyć od nich samych, aby wypreparować te ostatnie w postaci czystej. Jest to niemożliwe, gdy zechcemy żądać, aby spisywana była cała prawda i tylko prawda. Dziecko, którym byłem, staje się wtedy już jakąś kantowską „rzeczą w sobie” — mogę je tropić, mogę się go domyślać, nigdy nie wiedząc, w jakim stopniu to mi się udaje, kiedy odtwarzam tylko, rekonstruuje, a kiedy przekraczam tak nakreśloną granicę i buduję z domysłów fragmenty rzeczywistości, która w ogóle nie istniała.

Dosyć zabawne jest, że na bardzo podobne kłopoty natykają się ludzkie dążenia w dziedzinach pozornie od próby powrotu w „kraj lat dziecińczych” nieskończenie dalekich. Okazuje się bowiem, że jeśli tylko żądać dokładności i pewności bardzo wielkiej, jeśli ścisłość posuwać nadmiernie daleko, nie można już właściwie faktów obiektywnych oddzielać od ich interpretacji, skoro na samym dnie języka jego elementy pierwsze, poszczególne słowa, na równi z regułami gramatyki czy składni, są interpretacjami a nie doskonale wiernymi fotografiami przedmiotów czy zjawisk psychicznych. Nie jest, naturalnie, konstatacja taka jakimś pocieszeniem, chociaż może przynajmniej rozgrzeszyć. Nadmiar wiedzy okazuje się nieraz brzemieniem, balastem zakłócającym działanie, ten bowiem, kto wie dobrze, jakie mnóstwo istnieje „teorii dziecka” w psychologii czy antropologii, musi zdawać sobie sprawę z tego, że chcąc, choćby nie wiedzieć jak starał się ograniczać, być prostym, szczerym, autentycznym — mimo woli ku jakiejś z owych teoretycznych postaw będzie dryfował, że go ku którejś zniosą predylekcje intelektualne, charakterologiczne, bo widzi dziecko, którym był, przez zestaw szkieł, jakie mu na nos włożyły wszystkie lata późniejsze, i na to nie ma rady.

Tyle o „teorii dziecka” jako istoty nieznannej; staje się nią ono z latami w stopniu coraz mniejszym; ale też, jak mi się zdaje, zachodzi równocześnie proces swoistego banalnienia, pod postacią normalizacji, czyli upodobniania się do grupy, w której i wraz z którą się dorasta. Odwieczny spór o to, co stanowi w człowieku zespół czynników wrodzonych, a co jest nabyte dzięki wpływom środowiskowym, gorzej już tylko wokół pierwszych lat dzieciństwa i możemy, kto wie, oczekiwać tu nie tylko rewelacji teoretycznych, ale i pedagogicznej rewolucji, jeśli naprawdę okaże się, że granicę kształcenia, wdrażania do kultury i jej nawyków, także intelektualnych, można przesunąć bardzo znacznie w kierunku najpierwszej młodości. Co by podobno mogło uczynić z kilkuletnich dzieci osoby władające elementami wyższej nawet matematyki.

Mniejsza jednak o przyszłość, skoro tym razem mówię o przeszłości. Zajmując się nią polegać mogę wyłącznie na pamięci. Daremnie bowiem próbowałem uzupełnić jej luki, jej dyktat anarchiczny, przeglądając stare książki i albumy. Zapewne, obrazy ulic, placów, kościołów były w nich dla mnie swojskie, ale chyba tak raczej, jak zaułki mieszkania są bardziej swojskie dla myszy aniżeli dla prawowitych jego rezydentów. Zastanowiło zaś to, że najwięcej jeszcze mówił mi plan miasta, rysunek wysoce przecież abstrakcyjny, suchy wykres przebiegu ulic. Zdaje się, że pamięć z jej mechanizmami, tak wytrwale urągającymi rozszyfrowaniu przez naukę, jest wieloraka i jakby wielowarstwowa. Drogę z domu do gimnazjum mógłbym przejść chyba z zamkniętymi oczami jeszcze dzisiaj — tak utrwaliła się, w ciągu lat, nieustannym powtarzaniem, że stała się jakby melodią — tym, co psycholog nazywa „melodią kinetyczną”. Stąd porównanie do myszy, która orientując się doskonale w otoczeniu, na pewno nie jest zdolna do jego estetycznej oceny — podobnie jak ja nie byłem jako lwowski gimnazjalista. Niewątpliwie mijalem pomniki architektury, katedrę ormiańską, stare kamieniczki Rynku, ze słynną Czarną Kamienicą na czele, lecz nic o tym nie wiem. O pół do ósmej rano dolewałem wody do kawy, by ją ostudzić, i szedłem przez Moniuszki, Szopena, plac Smółki z kamiennym Smółką pośrodku, Jagiellońską, mijając kino

„Marysiénka”, ku ulicy Legionów. W głębi, z lewej strony, majaczyła perspektywa teatru, lecz jak latarnia morska żeglarza, wabił mnie budynek daleko mniej okazały, stojący na rogu placu Ducha — kiosk z wytworami pana Kawurasa.

Produkował on chałwę w dwu rodzajach opakowań, po 10 i po 20 groszy. Dostawałem zwykle 50 groszy tygodniowo i w taki sposób mogłem w poniedziałki tarzać się w chałwie, od środy natomiast było źle. Nękał mnie też problem trudny, z pogranicza geometrii brył i algebry — co się lepiej opłaca, jedna paczka za 20 czy dwie po 10 groszy? Perfidny Kawuras utrudniał rozwiązanie, nadając paczkom kształty nieporównywalne, i nie wiedziałem nigdy do ostatka, na co się zdecyduję.

Dalsza droga wiodła w poprzek Runku, pod ogromnym pudłem magistrackim, z wieżą Ratusza, obok studni z Neptunem i lwów kamiennie kuczających u bramy, przez ciasną ulicę Ruską na Podwale, gdzie stał dwupiętrowy, otoczony drzewami, budynek gimnazjalny.

Kiedy nie miałem ani grosza przy duszy, szedłem raczej obok tak zwanej kawiarni „Wiedeńskiej” może, aby widok tłustych murów chałwy za szybą kiosku nie ranił mi serca. Przy kawiarni znajdował się pierwszy punkt orientacyjny, zegar elektryczny, następny był w Rynku, wysoko na wieży ratuszowej. Wyjawiały, czy można jeszcze stanąć przy jakim oknie sklepowym, czy też koniecznie trzeba już wyciągać nogi. To właściwie wszystko, co zapamiętało oko, jak i wiele z tego, czym zajęty był duch. Doprawdy byłem jak mysz, a społeczeństwo robiło co mogło, aby za pomocą ciała pedagogicznego przerobić mnie na człowieka. Czy się opierałem? W pojedynkę nie bardzo nawet — już raczej jako część uczniowskiej wspólnoty. Zapewne — najwybitniejsi pisarze świata powiedzieli już tutaj rzeczy nieprześcignione. Ukazali gimnazjum jako skomplikowaną grę, więc walkę sprzecznych interesów, w której strona profesorska stojąc na pozycjach autorytetu i władzy usiłuje wtłoczyć uczniom do głów maximum informacji, a ta druga strona, z natury rzeczy słabsza, unika owej informacji, jak umie. Nie udaje się to jej w zupełności — ale bez—rozumny, wysilony do rozpaczliwości opór klasowy, mieszanina małych łotrów z powszechną inercją, stara się przynajmniej wedle sił deprawować, kłaść, a choćby tylko skomentować poniżające to wszystko, co jest pomocą naukową, materialnymi środkami procesu nauczania. Bogaty nie jest mikropejzaż pedagogicznej batalistyki. Stanowi jednak pole dla pojedynków egzaminacyjnych, masowych rzezi, czyli klasówek, wszelkich kluczeń, przypadków, forteli i ucieczek, gdzie redutą jest każda ławka, kreda stać się może czasem pociskiem, a ostatnią przystanią zbawienia okazuje się, jakże często, klozet.

W ten sposób, z mrówczego mozołu powstaje swoista subkultura gimnazjalna, we wszystkich szparach i szczelinach oficjalnej, ponieważ klasa, znęcając się nad pulpitemi, ryjąc na ścianach ustępu sgrafitti, topiąc w atramencie muchy, moczając kredę i drąc gąbki, dorysowując żeńskim bohaterom narodowym wąsy, a ich męskim odpowiednikom biusty, tylko z pozoru odpowiada wytwarzaniem chaosu na imperatyw ładu. W rzeczywistości i ona buduje porządek, taki jednak, który unieszkodliwia, przez oblepienie bzdurą, materialne pomoce nauki — dlatego z piór czyni przedmioty igraszki towarzyskiej albo zezwierzęca zeszyty, przydając im oślich uszu. Jest więc w pozornym szaleństwie rykliwej hordy uczniowskiej metoda, a nawet religia, ponieważ nie na darmo wzywa bóstwa Wielkiego Wygłupu klasa, okopana w ławkach przeciwko katedrze.

Dokonywano na mnie eksperymentów. Wstąpiłem do pierwszej klasy starego gimnazjum w roku bodajże 1932, i kołnierz, zapinany pod szyją na haftki, ozdobiłem jednym paskiem srebrnym, do którego miały przyłączać się następne, aż w piątej klasie srebro ustąpić winno było złotu. Ale z drugiej klasy przeszedłem na powrót do pierwszej, nowego typu. Sztywne rogatywki z żółtym otokiem aksamitowym, od których zwano nas kanarkami, zastąpiły miękkie maciejówki, a postępowanie zaznaczył się także w nowym kroju mundurków, granatowych, o spodniach z niebieską w niższym gimnazjum wypustką, o bluzie otwartej u kołnierza, jak marynarka cywilna; naznaczono też nas tarczami. Drugie gimnazjum stało się pięćset

sześdziesiątym. Podjęło się wtedy walkę z owymi tarczami; dyrektor, w asystencji któregoś z gospodarzy klas, krążył przed ósmą wokół gmachu, pośród gorliwie czapkujących mu uczniów. Niekiedy wzywał któregoś, by sprawdzić, czy tarcza jest przyszyta zgodnie z przepisami, czy tylko łajdacko przyszpilona. Niejeden nosił więc w kieszeni przybory do szycia i uprzedzony przez znajomych, gdzieś w bramie ulicy Ruskiej gorączkowym krawiectwem zacierał ślady występnego życia. Co do mnie tarczę miałem solidnie przyszytą przez matkę, czego się wstydziłem — iż czym walczyłem okólnie, ponieważ w końcu wpadłem na to, co można z nią zrobić, w ramach wspomnianej przed chwilą subkultury. Ale to będzie wymagało osobnego miejsca.

Wraz ze zniknięciem starego gimnazjum przeżyłem skon ławek — zastąpiły je niemal we wszystkich klasach nowoczesne stoły z szufladami i krzesła. Ławki są dla mnie czymś archaicznym, reliktem minionej epoki, zetknąłem się z nią tylko przelotnie, na schyłku, i myślę o nich nie bez szczerego wzruszenia. Mniejsza zresztą o uczucia — wydaje mi się, że należałoby zebrać ostatnie ich okazy, jeśli w ogóle jeszcze gdzieś istnieją, i powstawić do muzeów, na równych prawach z relikami kultury oryniackiej czy mustierskiej. Człowiek paleolityczny rył w kamieniu, gimnazjalny — w ławce. Wdzięczne to było tworzywo. Jacyś pełni mądrości stolarze musieli je projektować, z myślą o tysięcznych falach uczniowskich, które będą próbowały wciąż ponawianym przybojem skruszyć drewniane okowy. Brzegi pulpity stały się z czasem gładkie, jak kość słoniowa, bo je tam ujmowały rozpaczliwym skurczem dłonie niezliczonych pokoleń wyrwanych do odpowiedzi. Pot i atrament wsiąkł w grube deski, że zyskały z wolna swą nieopisaną, szaro-buro-sinawą barwę; stalówki, ostrza scyzoryków czy po prostu paznokcie, a kto wie, może i zęby, poryły je girlandami tajemnych znaków, rządkami hieroglificznego pisma, którego warstwy kładły się na warstwach, bo każda generacja następna pogłębiała trud poprzedniej, i tak powstały głębokie, rozmyślnie nawierceni, niezrównaną zaś gładkość dziurom po sękach przydał syzyfowy trud lekcyjnych godzin, ale i to jeszcze nie wszystko. Kiedy obostrzenia dochodziły szczytu i trzeba było siedzieć z założonymi rękami, oczy, te sługi duszy, nad którymi ciało pedagogiczne już nie miało władzy, w ostatniej próbie uniku i ucieczki spoczywały na rysunku słoików drzewnych; przy odpowiedniej koncentracji można było ogłuchnąć na słowa profesorskie. Jak Hamlet, który, zamknięty w skorupie orzecha, czułby się panem bezkresnych przestrzeni, każdy mógł dzięki ławce, zespalając się z abstrakcyjnymi meandrami jej powierzchni, ogarnięty słodkim zesłupieniem, odetchnąć w tym przewrotnym rodzaju eskapizmu. Zapewne — wyrzynać różności można także w blacie polituowanego stołu, ale to nie jest to samo. Robiło się to bez przekonania, a więc i bez artyzmu, raczej z bezwładności. Uczciwa ławka miała dwa niezbyt płytkie otwory na kałamarze — używaliśmy specjalnej ich odmiany, były to szklane naczynka z lejkowatym otworem, dość głęboko wchodzącym do środka, przez co atrament miał się nie wylewać przy wywróceniu. Zapewniam, że się wylewał, a gdy nie chciał od razu, pomagało mu się. Długopisy nie istniały, wieczne pióra były źle widziane, pisało się stalówkami, którymi można i do celu rzucać, i pokłuwać sąsiadów w ramach subkultury. Dowodziliśmy czynami, że nie ma takiego przedmiotu, którego by nie można wprząc w służbę celów, sprzecznych z intencją jego twórców. Kulturę, jak wiadomo, dziedziczą pokolenia po pokoleniach, wiadomo było od wieków, do czego są ławki, wobec stołów jednak *obstupuant* zrazu *omnes*. Ale nie dało się za wygraną, z takim skutkiem, że krzesłom poodpadały nogi. Pospolicie nazywano to wandalizmem. Był to, zapewne, wandalizm, ale co właściwie robili światli skrybowie klasztorni średniowiecza, kiedy wydrapywali cenne treści z pergaminów, by umieszczać na nich swoje nieciekawe teksty?

Tym, czym jest dla chrześcijanina niebo, był dla każdego z nas Wysoki Zamek. Chodziło się tam, kiedy wypadła jakaś lekcja, wskutek nagłej niedyspozycji profesora — stanowiącej jedną z najradośniejszych niespodzianek, jakie z rzadka przynosi los. Nie było to miejsce dla wagarujących, jako nazbyt niebezpieczne, w alejkach, między ławkami i drzewami można by

spotkać któregoś z wychowawców — dezertrom służyły raczej wykroty Kaiserwaldu, okolice za Górą Piaskową, tam zapadali ‘bezpiecznie w chaszczach pałac do syta rarytasy śląskie lub junaki — natomiast na Wysokim Zamku przechadzaliśmy się głośno, hałaśliwie, w słodkiej aureoli legalnego próżniaczenia, opici nadmiarem otwartej z nagłą swobody. Bodajże dwa przystanki dzieliły gimnazjum od tego urocznego miejsca; nie jechało się tam jednak nigdy tramwajem, stanowił zbyt kosztowny środek lokomocji. Szliśmy zwyczajnie ulicą Teatyńską pod górę, a kilkadziesiąt kroków za miejscem, gdzie kończyły się szyny tramwajowe, zbocze leciało w dół i otwierał się widok na ogromną panoramę miasta, z prawej strony obramowaną kończystym wzniesieniem Góry Piaskowej, a z lewej — parkowymi gąszczami, za którymi krył się Kopiec Unii Lubelskiej. W dole, daleko, czerniała plecionka torów dworca kolejowego Podzamcze z małymi lokomotywkami — a za tym pierwszym planem oddychała przestrzeń powietrzna błękitną mgiełką aż po zielony horyzont.

Na Wysokim Zamku znajdował się ułomek muru, ruiny, którą ledwo że pamiętam. Musiało upłynąć trzydzieści lat, abym zdołał się nad nim zastanowić i dowiedzieć tego, że Wysoki Zamek był nazwą wspaniałej ongi budowli, a nazywał się tak, ponieważ istniał też kiedyś Niski, wewnątrz miasta. Ale wtedy ruiny i inne czcigodne pamiątki wieków zupełnie mnie nie obchodziły. Co się zatem właściwie robiło? Tyle co nic. Zapewne, parę razy do roku szło się z ojcem na Kopiec Unii albo na Górę Piaskową, ale nigdy w czasie wypadów pośrodku dnia nauki. W takich godzinach wystarczyły tylko nagle otwarte możliwości. Przez osiem lat gimnazjalnych byłem tam niezliczoną ilość razy, a oprócz niskich żywopłotów, za którymi błękitniała panorama miasta, i cienia wielkich kasztanów nic z tego miejsca nie pamiętam. Bo też nie było to właściwie miejsce, ale stan doskonały, dający się w swej intensywności zestawić chyba tylko z pierwszym dniem wakacji — jeszcze nie tkniętym, nie napoczętym, przed którym serce zamierało w słodkim oszołomieniu, ponieważ wszystko miało się dopiero stać, ale zarazem pojawiała się skłonność do trwonienia czasu, rozpostartego oceanicznie na cały lipiec i sierpień. Natomiast Wysoki Zamek otwierał się przed nami na jedną tylko godzinę, każdą więc minutą należało się nasycić, wyssać ją do ostatka, wypełnić sumienną bezczynnością, pilnym nieróbstwem, tonęliśmy w nim, dawaliśmy się mu nieść, jak ciepłej rzece, pod niebem w chmurach, to nie był rozmodlony, skromny raj chrześcijański, ale raczej nirwana — żadnych pokus, zachceń, błogość, dziejąca się sama przez się — nawet nasze gardła, zdarte w porykiwaniu na przerwach, ogarniał widać ów wiew nie z tego świata, bośmy wprawdzie wrzeszczeli trochę, ale doprawdy z nawyku tylko, nie z przekonania.

Chodziliśmy tam, właśnie po wzgórzystym terenie za Piaskową Górą, także na lekcjach przyrody, ale to było coś zupełnie innego, dla mnie zwłaszcza, który miałem zawsze na pieńku z roślinami. Przyrodnik nasz, Noskiewicz, nadziwić się nie mógł, jak to mi przy klasyfikowaniu z kluczem Rostafińskiego w rękę, trawy i bodiaki zmieniały się nieomal w rododendrony. Okrytozależkowe, nagozależkowe — same te nazwy są mi wstrętne, nie wiem czemu; przyparty do muru, wybełkotałbym, że rośliny denerwują mnie. Są to przecież jakby krewniacy nasi, zawsze i ze wszystkiego zadowoleni czy gorzej jeszcze: tacy, którym jest zupełnie wszystko jedno. Z myszami, z lwami, z mrówkami nawet dzielimy masę kłopotów, boimy się, pożądamy, wysilamy, a roślinna obojętność na los wydaje mi się zdradą wspólnej sprawy. Czyżbym tak osobliwe poglądy żywił w dwunastym roku życia? Chyba nie, a jednak niechęć — nic doprawdy nie mającą wspólnego z przymusem jedzenia szpinaku — żywiłem dla tych zielonych pobratymców naszych od niepamiętnych lat.

Wracając do gimnazjum z podobnej sjesty, dostrzegało się dopiero, jak małe jest boisko szkolne, teren wydeptany do upadłego, poziomo zniwelowany, bo wcięty w pochyłość zbocza Wałów. Ogrodzony był tylko kamiennymi niskimi pachółkami, połączonymi grubymi sztabami z żelaza — żadna przeszkoda, ale nie wolno było tej granicy przekraczać. Trzeba więc było wykorzystywać przestrzeń zamkniętą, i to nie pomijając ani centymetra. Od strony wolnego świata przychodził przekupień ciastek i wraz z nimi dostarczał nam słodczy

hazardu. Dwu z nas wpłacało mu po pięć groszy, on zaś, pobrzękawszy znacząco miedziakami w kieszeni brudnawego fartucha, wyjmował ich garść i liczył para — nie para; ten, kto wybrał właściwie, wygrywał i zjadał natychmiast dziesięciogroszowe ciastko. Mnie jeść ich nie było wolno nigdy. Można się było zatruć — tak twierdził ojciec. Nie przeciwstawiłem mu się, chociaż koledzy jakoś wszyscy pozostawali przy najlepszym zdrowiu. Pod samym murem budynku biegła ze zbocza kilkumetrowa obetonowana rynna, ścieraliśmy na niej obcasy i zelówki, ześlizgując się, wślaząc, zjeżdżając i wślaząc bez końca, to znaczy od dzwonka do dzwonka. Poza tym obluzowaliśmy wszystkie sztaby, głucho w cementowane w betonowe pacholki, otarliśmy omal nie powiedziałem — obgryźliśmy) korę z okalających boisko drzew, byliśmy więc jakby zbiorowym opatem Farią z powieści Dumasa. Gdyby można skoncentrować jakoś energię wszystkich gimnazjalistów świata, dałoby się pewno ziemię przewiercić i wysuszyć oceany, ale najpierw trzeba by tego najsurowiej zabronić.

Nakreśliłem tu coś w rodzaju propozycji esejów pod tytułami „Gimnazjum jako subkultura” i „Gimnazjum jako żywioł”. Ale było jeszcze czymś innym, bo wszak społecznością. Zapewne. I, jak każda społeczność, rządziłem się zarówno prawem legalnym mając demokratycznie wybierany samorząd, z wójtem na czele, ze skarbem i skarbnikiem (którym byłem czas jakiś) i dyżurnymi na lekcjach, jak i tym innym rodzajem prawidłowości, autonomicznych już, które powstawały jakoś i działały same. W hierarchii tych ostatnich dwa były wyraźne stanowiska; ofermy i klasowego wesołka. Ofermą zostawało się z klasowego wyroku, nieoficjalnego, ale i bezapelacyjnego. Kandydatem idealnym był ktoś tłusty, niezgrabny, kogo można by z lekka maltretować, w sposób nieokrutny zresztą — tak tylko, aby pamiętał, kim jest; jeśli godził się z nominacją, mógł sobie żyć zupełnie możliwie. Klasa miała zazwyczaj jedną tylko oferwę, zupełnie jakby ich liczba mnoga na nią samą rzuciła jakieś niekorzystne światło. W naszej przez długie lata stanowisko to było obsadzone podwójnie, wyjątek potwierdzał jednak regułę, szło bowiem o bliźniaków, braci F., przedstawiali tedy jedną jak gdyby osobę, w dwu chodzącą ciałach, byli więc jednym oferwą, tylko powtórzonym. Ta nasza postawa prowadziła do ciekawej emulacji braterskiej, ponieważ jątrzyła ich wzajem przeciwko sobie. Nieraz też, po długim rodzinnym naszeptowaniu w kącie, naraz zaczynali się tłuc, jak ofermy, rozumie się, to jest młócąc na oślep kułakami, z darciem włosów i łzawym rykiem. Gdy bracia chorowali, per procura funkcję ofermy spełniał gruby Z. Był szalenie obraźliwy, miał świetne do szczypania policzki, a jako zarazem gruby i nieufny, wybornie nadawał się do wyciskania. Zabieg polegał na tym, że do ofiary, nie podejrzewającej niczego, przysiadało się z dwu stron ławki (ławka jest do wyciskania konieczna) paru osiłków, i na dany znak, zapierając się nogami o podłogę, a rękami o pulpity, póty ściskali między sobą nieszczęśnika, aż mu żebra zaskrzypiały, a oczy na wierzch wylazły. Zresztą oferwa nie jest bijana zbyt natarczywie — zajmowanie się nią nie uchodzi za przejaw dobrego smaku.

Biorąc pod lupę społeczność klasową można by zauważyć, że osobliwy niepokój panował wśród uczniów, którzy, wiedzeni instynktem, dorozumiewali się tego, że stanowią kandydatów na stanowisko ofermy i pewno zostaną na nie zepchnięci, gdy się tylko opróżni. Tacy to właśnie zajmowali się patentowanymi ofermami, a to, by wyraźnie odgrodzić się od nich mnóstwem wlepianych im bojowo kuksów i docinków. Chcieli się drastycznie przeciwstawić własnej, potencjalnej ofermowatości, bardzo naiwnie zresztą, ponieważ godni przedstawiciele klasy wcale się o jej pariasów nie troszczyli.

Ofermą zostawało się z wyroku i osądu powszechnego, wesołkiem natomiast dzięki zasługom bardzo własnym i aktywnym, kiedy wrodzony talent łączył się z odpowiednimi po temu ambicjami. Wesołek to był ten, kto potrafił rozbawić klasę jednym trafnie rzuconym słowem, ukuć celne porzekadło, a przede wszystkim — wygłupiać się odpowiadając. Pozycja była trudna, wymagała bowiem balansowania między klasą a obozem przeciwnym; nie można

było stać się wesołkiem obojga, więc na dłuższą metę akrobacja taka stanowiła kunszt nie lada jaki.

W naszej klasie był przez jakiś czas rodzajem wesołka Miecio P., o ciężkim dowcipie i jeszcze cięższej ręce. Pytany, grał zwykle idiotę, tak aby wychodziło na natrząsanie się z egzaminatora. Bezlitosny był zwłaszcza wobec młodych pań, które pełniły funkcję asystentek przy profesorach i nieraz same prowadziły lekcje. Miecio był wulgarny i nie lubiłem go; siedział w ostatniej ławce, udawał często przygłuchego, że trzeba mu było powtarzać pytania, a kłamał w specjalny sposób, bo patrząc z bezwstydną szczerością w oczy przedstawiał dokładnie wydarzenia całkiem nieprawdopodobne, jakie udaremniły mu przygotowanie lekcji. Im jawniej były te eksplikacje kłamliwe, tym dokładniej je prezentował. Wzbudzał śmiech, ale nie z własnej osoby — taką próbę ucinął napomkliwym powołaniem się na sitwę, do której należał. Było w niej paru innych repetentów, osiłków, stanowiących z punktu widzenia pedagogiki wypadki beznadziejne. On był ich *porte-parole*, ich intelektualistą nawet, chociaż nie przywódcą, bo nie gustowali ani w dowcipie, ani w bliższych z nami kontaktach. Czuło się w nich gości z innego, pozagimnazjalnego świata, z odmiennej zupełnie sfery. Byliśmy przy nich dziećmiakami — taki W. na przykład pozwalał, aby ten czy ów próbował go udusić — chwycony rękami za gardło, opierał się samym tylko deskowatym napięciem mięśni szyi. Gdy myśmy w średnim gimnazjum zaczęli interesować się sprawami seksu, rywalizując z sobą w owej werbalnej pornografii i skatomanii, która elokwencją teoretyczną zastąpić usiłuje doświadczenie, oni w takie rozmowy w ogóle się nie wdawali. Był to wszak dla nich chleb codzienny, rutyna, niemal zawód — z rozpaczy najokropniejsze wyrazy wyrzaskiwaliśmy możliwie wiele razy, czując jednak, jak spod nóg usuwa się nam grunt upragnionej męskości. Ciekawe, że lepiej od twarzy pamiętani ich ręce i teczki — ręce dorosłych mężczyzn, ciężkie i nieruchawe, osmalone na żółtawo nikotyną, z nieruchomiejącymi już z wolna żyłami na grzbietach dłoni, z bliznami nie po skaleczeniach jakimś scyzorykiem w zabawie, blizny ich rąk nie miały nic wspólnego z zabawą, a teczki, z wyszłizganej na brudną czerń skóry, w pół rozpadające się, bez obdartych dawno uchwytów, z wyrwami po skuwkach, o bokach zapadłych, bo nie mieściło się w nich wiele ponad śniadanie, wyjawiały, że od lat zmuszano je do najsurowszej służby — bywały i bramkami improwizowanego na wagarach meczu, i poduszkami pod głowę na Kaiserwaldzie, i pociskami nawet; taką teczkę-weterana należałoby, sędzę, umieścić pod gablotą muzealną obok ławki.

Miałem wielu kolegów, także dosyć bliskich, ale właściwie żadnego przyjaciela, komu zwierzyłbym się ze spraw najintymniejszych. Lubiałem Józka F., któremu wąż zaczął się sypać bodajże czy nie już w pierwszej gimnazjalnej nowego typu; był to doskonały matematyk; zabili go Niemcy. Imponował mi inny celer, Zygmunt E., zwany Puńcią, pamiętam go, ciekawa rzecz, nie z ławki, nie z klasy, ale z boiska. Syn ubogich rodziców, wywalczył sobie drogę przez gimnazjum korepetycjami. Nauka kosztowała wiele — chesne półroczne wynosiło 110 złotych, więc cenę ubrania lub pięciu par bucików, a zwolnienie zyskać nie było rzeczą łatwą. A więc, owe chwile dramatyczne, kiedy strzelało się karnego pod bramką przeciwnika... Puńcia był ich bohaterem — jakbym go widział; najpierw kładł piłkę na właściwym miejscu pola karnego, tych jedenaście kroków od bramki, w której nerwowo oblizywał wargi bramkarz, skulony, z szeroko otwartymi oczami — cofał się potem na odległość rozbiegu i w milczącym, ponurym niemal namyśle, zmrużonymi oczami mocował się jakby sam na sam ze swym przeciwnikiem, a jego dotąd rozluźnione ciało lekko się napinało, aż ruszał ku piłce, biegnąc najpierw powoli, kołyszac się kaczkowato, bo miał trochę krzywe nogi, a zawijał jeszcze nimi w szczególny sposób, żeby bramkarz nie mógł się zorientować, z której nogi Puńcia strzeli. Co prawda wszyscyśmy wiedzieli, że zawsze strzela z lewej, niemniej on tę grę pozorowanej niepewności powtarzał zawsze, i co dziwniejsza, z dobrym skutkiem. Na ostatnich metrach rozbiegu nabierał szybkości, że tylko mu nogi

migały, rozlegał się tępy odgłos kopnięcia i piłka szła precyzyjnie w sam róg bramki; w triumfalnej naszej wrzawie Puńcia odwracał się powoli i ukazywał twarz grzecznie uśmiechniętą, niewinną, tę z ławki, z klasy, trochę jakby słodko–łagodną i całkiem nieciekawą.

Dwóch miałem długoletnich sąsiadów na ławce. Jednym był Julek Ch., syn policjanta, chłopak dosyć rozrośnięty, blondyn z zadartym nosem i wyrazem niepewności w oczach; dokonałem z nim poważnej transakcji, która długo ciągnęła się do sfinalizowania — dał mi jednostrzałowy pistolecik kalibru 6 mm za mój straszak–browning dziewiątkę, który mi się już znudził. Gorzałem oczywiście chęcią natychmiastowego wypróbowania tej broni, więc że każda chwila była droga, natychmiast po powrocie do domu załadowałem pistolet tak zwanym „groszkim”. Jakoś nie bardzo chciał się zmieścić w komorze nabojoyej, ale w końcu poszło. Otworzyłem okno w pokoju przy kuchni, wymierzyłem przez długość ganku w drzwi klozetu, znajdujące się u jego końca i wygarnąłem. Huk był nadszpiewanie silny, powiedziałbym, potworny nawet. Zanim zdążyłem pobiec na ganek, aby przekonać się, co się stało z kulką, do pokoju wpadła matka, a za nią ojciec, którego strzał wywabił z ordynacji, przybiegł więc w białym płaszczu i z laryngologicznym lustrem na czole. Dymiący jeszcze pistolet natychmiast mi skonfiskowano i powędrował do zamkniętej na cztery spusty szuflady biurka jako broń wielce niebezpieczna. Dużo później przekonałem się, obejrawszy go, że doprawdy miałem trochę szczęścia, ponieważ komora nabojoya została wywiercona w metalu nazbyt cienkim, a część łuski, która z niej wystawała, rozdeło gazami prochowymi — na szczęście ciągliwa miedź wytrzymała i wszystko razem nie poleciało mi w oczy. Kulki szukałem długo, daremnie, lufa nie była gwintowana — zdaje się, że Julek zrobił jednak lepszy ode mnie interes. Może to było u niego rodzinne, dosyć. że dużo mówiliśmy o broni; Julek brał nawet raz udział w polowaniu, bodaj na dziki, i jeden z kolegów paskudnie go postrzelił w udo, ale dlatego tylko, ponieważ mierzył na wysokość domniemanego w krzakach dzika; Julek chodził długo z opatrunkiem, co było dobitnym wywyższeniem. Działo się to zresztą później, w liceum. Wtedy i Julek D. miał wspaniałe flower–repetier wielostrzałowy, a ja nie wyszedłem poza wiatrówkowy pistolet; odczuwałem to bardzo boleśnie. Gdyby to ode mnie zależało, prawdopodobnie chodziłbym do gimnazjum cały obwieszony rewolwerami; tak jednak mogłem najwyżej wystawiać sobie różne myśliwskie świadectwa, zresztą niechętnie, bo czułem, że w tej sferze fikcja nazbyt już dobitnie ustępuje rzeczywistości.

Wcześniej jeszcze moim sąsiadem z ławki był Jurek G.; przystojny i kochliwy; miał zawsze mnóstwo naplątanych afer z panienkami, a poza tymi romansowymi historyjkami, także — podobno — jakąś zuchwałą erotyczną sprawą z kobietą całkiem dorosłą, chyba wdową jakąś. Spotykał się z nią bodaj czy nie w parku Stryjskim, i nawet zdaje się ktoś z kolegów miał tam obserwować namiętność jego działań, ale nie było mowy o tym, abym mógł wziąć udział w takich obserwacjach, ponieważ dobrze mnie pilnowano. Nie mogłem popołudniami ruszyć się z domu, miałem bowiem przydanego mi anioła—stróża, to jest po prostu korepetytora, pana Wilka, studenta, a potem magistra praw; czuwał nade mną, to jest, dbał o to, bym sumiennie odrabiał lekcje. Tak więc owa klasyczna wymówka — że idę do kolegi, aby się z nim uczyć — dla mnie nie istniała; musiałem uczyć się naprawdę. Na dobitkę uczyłem się jeszcze w domu francuskiego, od pewnej Mademoiselle, osoby dość przykrej, z olbrzymim, porowatym jak pod powiększającym szkłem, czerwonym nosem. Jakoś ją jednak obłaskiwałem, wymyśliwszy cały system wybiegów, ratujących przed arkanami straszliwej gramatyki. Na szczęście Mademoiselle była bardzo ciekawa z natury, więc chętnie wypytywała mnie o to, co się dzieje w naszej rodzinie, czy kto za mąż nie wychodzi albo na odwrót, ja zaś, nie wiedząc właściwie nic o tych matrymonialnych sprawach, plotłem i łągałem, co mi ślina na język przynosiła, więc mimo wszystko nauczyłem się trochę parlować, ale tajniki *temps défini*, *indéfini*, i wszystkich okropnych *subjonctif*’ów pozostały dla mnie na zawsze tajemnicą. W

owym czasie produkowałem już własne alkoholowe napitki, z myślą o jakichś niespodziewanych gościach męskich, którzy zresztą wcale się nie zjawiali, dosyć, że za tomami encyklopedii Brockhousa i Meyera w brudnobiałej szafce ukrywałem flaszeczki, pełne zlewki i mieszanek własnej receptury. Korzystałem z kredensu matki; podstawą owych ingrediencji był alasz, kminkówka, którą ojciec czasem pijał do obiadu. Gdy wysychały plotki rodzinne, traktowałem Francuzkę mymi spirytualiami, a ona jakoś wcale nie była od tego, żeby wychylić jeden i drugi kieliszek. Na małych znów, porcelanowych miseczkach od doświadczeń chemicznych mieszałem ściągane z bielizniarki matki perfumy; i znów maściłem nimi moją Francuzkę. Doprawdy dziwne, że po tym wszystkim potrafię przeczytać książkę w języku Moliere.

Pomiędzy lekcjami, panem Wilkiem i Francuzką nie miałem dla siebie zbyt wiele czasu i życie moje byłoby całkiem chyba jałowe, gdybym go nie urozmaicał tajnymi sposobami, o których niebawem. Pewną atrakcją były w „budzie” przedstawienia szkolne; chodziło się na różne straszne piły, na przykład Wyzwolenie Wyspiańskiego (nie wypowiadam się tu o dramaturgii Wyspiańskiego, a jedynie o jej ówczesnej recepcji przez czternastolatków). Bilety rozdawano nam w klasie, numerowane, i natychmiast rozpoczynała się żwawa dyskusja nad tym, gdzie będą siedziały żeńskie gimnazja. Jakimiś tajnymi kanałami ściągano się niezbędne wiadomości, aby przejść do targów i wymian, bo każdy albo prawie każdy chciał siedzieć tam, gdzie można było liczyć na rozkoszne sąsiedztwo. Mnie to nie dotyczyło, byłem infantylną cielęcina i mogłem tylko słuchać rozdziewając z lekka usta o przewagach Jurka G., o randkach i tym wszystkim, co się na nich działo. Zresztą na przedstawieniach szkolnych korzyści sąsiedztwa z żeńskimi gimnazjami były dość iluzoryczne, ponieważ strategicznie uplasowani przedstawiciele ciała pedagogicznego dokładali wysiłków, aby do najsłabszego nawet kontaktu nie dopuścić.

Bywały niekiedy potańcówki, urządzone w naszej budzie przez komitet rodzicielski, ale znów nie umiałem wtedy jeszcze tańczyć i mogłem najwyżej ścianę podpierać, a właściwie drabinę, bo tańczyło się w sali gimnastycznej. Niejeden z młodszych profesorów nie był od tego, aby puścić się w tany z naszymi gośćmi płci pięknej — co, mówiąc prawdę, wydawało mi się przeciwne naturze. Nie wyobrażałem sobie, aby Atylla interesował się choreografią. Żeby uwyżnić trochę moją pozycję w klasie, muszę odnieść ją do innych; chociaż niezgrabny i wcale otyły, jakoś nie uchodziłem za ofermę, a przynajmniej nie byłem takim patentowanym, z ogólnoklasową aprobatą. Może dlatego, że od większości trzymałem się z daleka, uczyłem się dobrze i miałem dużo własnych spraw na głowie — nie wiem zresztą. Chyba na przełomie gimnazjum i liceum zetknąłem się z Proustem, a to w ten sposób, że dowiedziałem się o jego istnieniu dzięki Jeremiemu R. i Jankowi Ch. Jeremi uczył się angielskiego, nosił jakieś słowniki, i w ogóle był niesłychanie inteligentny. Ponieważ czytałem absolutnie wszystko, co wpadło w rękę, ujrzawszy, że Janek i Jeremi obnoszą się z tomami o niezłych tytułach, jak *W cieniu zakwitających dziewcząt*, zaraz sobie pożyczyłem pierwszy tom cyklu i ugrzązłem już na wstępnych kartkach. Bardzo tym zdziwiony, jak zawodowy skoczek odstępowałem parę razy dla nabrania rozpędu i rzucałem się na przeszkodę, ale za każdym razem odpadałem jak od ściany. Kto wie, czy nie wtedy załęgły mi się w duszy pierwsze ślady kompleksu mniejszej wartości. Czytać Prousta próbowałem, ale nie umiałem jakoś, chodzenia z pannami nawet próbować nie mogłem, bo jak i kiedy, musiałem więc udawać, że z tym wszystkim mi właśnie najlepiej, także przed przyjaciółmi, do których zaliczałem Janka Ch. Okropnie mu w skrytości zazdrościłem. Był synem znanego lwowskiego adwokata, mieszkał niedaleko nas, przy Mickiewicza, w pobliżu placu Smółki, w dużym mieszkaniu, gdzie wchodzącego witało popiersie jego ojca, istic rzymska, potężna głowa na masywnym karku, o nieregularnej rzeźbie twarzy, z szerokimi nozdrzami. Matka jego była nienormalna. Janek nigdy o niej nie mówił; przebywała stale w tymże mieszkaniu, w pokoju osobnym, prawie zawsze za zamkniętymi drzwiami — było tam sino od dymu,

kiedy ją parokrotnie widziałem przez chwilę, trzymała w palcach palącego się papierosa. Janek nie miał korepetytora, traktowany był w ogóle przez ojca jak dorosły, nie musiał mówić, dokąd idzie, co chce robić, czy przygotował lekcje, czytał sobie tego Prousta w okularach z drucianą oprawą, a kiedy przychodziłem, zamykał książkę i zdejmował szkła razem z papierkiem, podkładanym pod ich ramiączko, zdaje się, żeby drut nie pozostawił odcisniętego śladu. Doskonale pływał, sto metrów stylem dowolnym w minutę i szesnaście sekund, kiedy ja zachowywałem się w wodzie jak siekiera, grał w tenisa, w siatkówkę, a w liceum chodził z piękną Wandą P., przy czym w ogóle o tym nie mówił. Żadnymi przewagami się nie przechwalał. Ale najbardziej chyba imponowało mi w nim to, że, dosyć sobie średni uczeń, nie przejmował się szkołą, dwóje wcale go nie przerażały, jakby patrzył gdzieś dalej, jak gdyby miał już własny system wartości i spokojnie go praktykował. Odprowadzaliśmy się wzajem, krążąc pomiędzy Brajerowską i Mickiewicza, był to dobry, uczynny chłopak o nieco sennym z pozoru, flegmatycznym jakby usposobieniu, z wielkim poczuciem humoru; o ile wiem, i jego zabili Niemcy.

Dużo wtedy robiłem, w gimnazjum, rzeczy już nie wcale dla przyjemności, ale (bezwiednie naśladowując w tym dorosłych) dlatego, ponieważ tym, a nie czym innym zajmowali się moi rówieśnicy. Jeszcze przed liceum co mędrsi koledzy zaczęli grać w bridża, który wydawał mi się gorszy od nieregularnych czasowników łacińskich. Nigdy nie mogłem zapamiętać, co zeszło ze stołu, co jest właściwie z ręką, czym bić i jak wychodzić — uznany za niedorozwiniętego umysłowo, dałem bridżowi spokój raz na zawsze.

Co się szachów tyczy, raz jeden wygrałem z pewnym młodocianym jak ja, ale wybitnym pono szachistą, i to tak, że go przypawił o totalne osłupienie. Sukcesu tego ani potem, ani przedtem nie udało mi się powtórzyć. Jeśli się nie mylę, zaszedł przypadek, jeden z tych, o których mówił Napoleon bodajże — jakoby najbardziej niebezpiecznymi na polu bitwy byli skończony geniusz strategiczny oraz zupełny kretyn — z niejaką czasem przewagą kretyna, ponieważ jego pociągnięcia są już najzupełniej i zawsze nieobliczalne.

Jakiś czas grywałem w guziki, ściągając matce pewne cenne okazy z szuflady, rzucałem w sufit klasy namoczone śliną tutki papierosów — wszyscy to robili, bo gdy ślina wyschła, tutki podczas lekcji zaczynały jak deszcz tajemniczy spadać, ku oburzeniu profesorskiemu — studiowałem pod przewodem Janka Ch. Dziu-dżitsu, najczęściej w przedsionku klozetowym drugiego piętra naszej „budy”, rzucałem w tablicę specjalnym pociskiem z korka, w który z przodu była wbita szpilka, z tyłu zaś znajdowało się upierzenie lotne i mikroskopijny balaścik, nauczyłem się spluwać na pięć i nawet sześć metrów — ale nigdy gwizdać na palcach, co było jednym z powodów szczerzej troski. Jeśli wiele mi się nie udawało w owej edukacji, będąc niepojętym często, byłem jednak gorliwy. Usiłowałem się przystosować, zbierałem, a raczej udawałem, że zbieram znaczki, które nic a nic mnie nie obchodziły, z kolegami zaś, którzy odwiedzali mnie, bawiłem się w wojny, w żołnierzy, a do zeszytów moich zaglądałem tylko, kiedy byłem sam. Nie musiałem sobie zresztą zadawać przymusu, kiedy chodziliśmy na przykład hurmą na Targi Wschodnie, i poty zbieraliśmy bezpłatne druki reklamowe, poty piliśmy darmowy rosół Maggieo, aż nas wreszcie odpędzali od stoisk zniecierpliwieni ich kierownicy. Nawet znaczna moja tusza okazywała się w pewnych okolicznościach dosyć korzystna, mianowicie grywałem trochę na obronie w piłkę nożną i trudno mnie było odeprzeć i pokonać w walce „ciałem”, bo miałem poważną masę. Z rzadka odbywały się we Lwowie także pasjonujące nas wyścigi samochodowe, na pętli zamkniętej, którą tworzyły ulice Stryjska, Kadecka i Pełczyńska. Na tej ostatniej zalewano nawet szyny gipsem, a naroża chodników okładano workami z piaskiem; czuło się wtedy, że Lwów jest miastem niezwykle europejskim, poświadczały to ogromne wyścigowe maszyny, wydające piekielne ryki.

Na węgry, wyznam z niejakim wstydem, nie śmiałem chodzić, niemniej, wypadały nieraz lekcje, i w takie godziny chodziło się na pobliski Wysoki Zamek, na Korturnową Górę, na

Kaiserwald; okoliczne tereny poznałem potem lepiej jeszcze zimą, na nartach, a także jako junak Przystosowania Wojskowego; pełne były wykrotów, wąwozów, wzgórz, ale najpiękniejszy widok roztaczał się z Kopca Unii Lubelskiej.

V

Dyrektorem naszego gimnazjum był Stanisław Buzath, nieduży, o potężnym, władczym głosie, zresztą bardzo dobry człowiek i historyk; geografii uczył długoletni gospodarz klasy, profesor Nawrocki, zwany Motorowym, ponieważ uciszał nas dźwiękiem specjalnego dzwonka z przyciskiem, w swym gabinecie; fizyki uczyli, w różnych latach, Lewicki na zmianę z Bleibergiem. Od tego pierwszego dostałem raz porządnie po łbie, a to dlatego, ponieważ siedząc w pierwszej ławce, podczas lekcji, na której wykladał nam własności rtęci, w nieopanowanej chęci zabłyśnięcia systematycznie mu podpowiadałem, i za to, że zaaplikowałem mu parokrotnie informację o temperaturze zamarzania rtęci, palnął mnie, wyprowadzony z równowagi, aż gwiazdy zobaczyłem. Okropnie się rozczarowałem, bo liczyłem na inny rodzaj wyróżnienia. Imienniczka, ale żadna krewna Lewickiego, pani Maria Lewicka, uczyła polskiego. Byłem tam zawsze prymusem, wypracowania klasowe pisywałem sążniste, nigdy ich niemal nie mogłem skończyć w ciągu 45 minut lekcji, wiele też pięknych rzeczy wypisywała mi polonistka czerwonym atramentem w zeszycie — zwłaszcza, kiedy temat był wolny; takie najbardziej sobie ceniłem. Niestety, nadużywałem brzydko mojej ustalonej pozycji, ponieważ prawie nie uczyłem się, nie przygotowywałem, to znaczy — z obowiązkowych lektur czytałem to, co mi się po prostu podobało, natomiast Szymonowieze czy Kasprowicze nie mogli liczyć na moje łaski; stąd w wykształceniu z zakresu historii literatury pozostały mi nie zawsze i później powypełniane luki. Korzystałem z tego, że mnie Lewicka nigdy sama nie wyrывała, i przedstawiam zasmucający okaz człowieka, który choć zdał maturę, przecież nie ma o gramatyce zielonego prawie wyobrażenia, bo i w tej dziedzinie opuszczałem się, popsuty pokładany we mnie zaufaniem. Pamiętam, że dopuściłem się raz, pisząc zadanie domowe, czynu haniebnego — nie wiem, w jaki sposób powiązawszy wymagania stawiane przez temat z własnymi zainteresowaniami, wjechałem aż na planetę Wenus i oderznąłem spory kawałek z grubej książki profesora Wyrobka o dziwach natury; był tam przedstawiony, w szacie beletrystycznie frapującej, opis Wenery, z jej dżunglami pierwotnymi i gęstymi chmurami. Tak więc, sięgające lat gimnazjalnych, początki mojej kariery literackiej miały za punkt startu najzwyczajniejszy w świecie plagiat. Próbowalem zdaje się dodać coś, już na własną rękę bredząc o Wenusjanach (jakże mszczą się w późniejszym wieku błędy młodości), ale czułem sam, że to, co moje, ustępuje ekspresją i malowniczością wizji profesora Wyrobka. Polonistka nasza prowadziła lekcje w sposób nowoczesny, starając się nawiązać z klasą nieprzymuszoną dyskusję; skoro powyżej przyznałem się do brzydkich postępów, pragnę dla zrównoważenia obrazu dodać, że nie wszystko było mi w polskim obojętne i nie tylko na tematy „wenusowe” miałem czasem coś do powiedzenia; poza tym sam sposób prowadzenia lekcji przez Lewicką rzeczywiście wdrażał do pewnej samodzielności — inna rzecz, że należało okazać trochę dobrej woli albo i pilności, na co znów nie każdego było stać.

Matematyki uczył profesor Zarycki, jedna z bardziej niezwykłych postaci ciała pedagogicznego, Ukrainiec, którego córka była wmieszana w sprawę zamachu na ministra Pierackiego. Był to mężczyzna może pięćdziesięcioletni, postawny, o twarzy smagłej, ciemnawej nawet, zbrudzonej, z jeszcze ciemniejszymi powiekami, ostrym nieforemnym nosem, o głębokich oczach, łysy jak kolano, bo golił starannie całą czaszkę. Baliśmy się go okropnie, ja także, matematyka zawsze bowiem była moją piętą achillesową. Nasz matematyk poczynał sobie z nami w sposób dosyć niezwykły, albowiem miewał fantazje. Czasem nagradzał za dobrą odpowiedź w ten sposób, że kazał wyróżnionemu opuścić klasę i spacerować sobie po mieście; to znów zaczynał lekcję od tego, że wyrwanych z ławek uczniów rozsyłał pod rozmaite adresy, ażeby mu pozalałowiali to i owo. Było to wyróżnieniem, bo wszak w sposób wyjątkowo bezpieczny wyłączało z kręgu

niebezpieczeństw, czających się przy zapaskudzonej kredą tablicy. W przystępie humoru Zarycki, który przypominał trochę popularnego aktora filmowego Borysa Karloffa tyrn, że nigdy się nie uśmiechał i żadne emocje nie poruszały jego maskowatej twarzy, zadawał czasem jakieś specjalnie trudne pytanie całej klasie, ofiarowując temu, kto odpowie dobrze, papierosa. Sam raz zdobyłem, dzięki niespodziewanemu natchnieniu, taką nagrodę i zaniósłem ją triumfalnie do domu. Papierosa tego rzecz oczywista nie wypaliłem, ale przechowywałem starannie, dopóki tytoń nie wykruszył się z tutki. Zarycki był groźny, bo zagadkowy — nie umieliśmy nigdy zorientować się, kiedy żartuje, a kiedy czegoś żąda serio; gdy jeden z nowo przybyłych uczniów po usłyszeniu, że ma za dobrą odpowiedź wyjść sobie na miasto, nie usłuchał i wrócił na miejsce, Zarycki ryknął na chłopaka tak strasznie, że wymiotło go momentalnie z klasy. Jaki był ten człowiek naprawdę, nie mam zielonego pojęcia. Cóż zresztą wiedzieliśmy o naszych wychowawcach? Przecież uczył nas, co prawda dość krótko, także matematyki, profesor Ingarden, już podówczas filozof o europejskim imieniu, o czym bodajże nikt z nas chyba nie słyszał. Ingarden zresztą nie bardzo się nam poświęcał, w czym nic dziwnego, wystawialiśmy bowiem zbiorową odpornością na matematykę najteższe nawet pedagogiczne talenty na próbę.

Zdaje się, że gatunek wielkich dziwaków—nauczycieli z wolna wymiera, być może, nie sprzyjają już powstawaniu ich warunki. Nawrockiego—Motorowego zastąpił raz, na krótko zresztą, przybysz obcy z innego gimnazjum, Babyn, Ten w ciągu jednej godziny zniszczył całą klasę, i to przy pomocy jednego pytanko, odpowiednio przykrojonego. Pytał mianowicie, wiele też jest kontynentów, a za odpowiedź; że istnieje pięć części świata, walił „baniaka” za „baniakiem”. Należało, jak później wyjaśnił wreszcie, mówić „części ziemi”, ponieważ „świat” — to cały Kosmos. Dyskusji, rzecz jasna, żadnej być na ów temat nie mogło i miałem wtedy, zresztą w licznym towarzystwie, niedostateczny stopień z geografii na wywiadówce. Babyn był postrachem naszym, przy czym bali się go wszyscy, bo ten, kto się lekcji nauczył, znajdował się niemal w takiej samej sytuacji losowej, jak ostatni nieuk. Nic o nim nie wiem; pojawił się jak niszcząca kometa i niedługo potem znikł z naszego małego horyzontu, na parę miesięcy uczyniwszy godziny geografii seansami grozy. Myślę sobie, że musiał mieć niedobrze w głowie, ponieważ zwycięstwa, które nad nami odnosił bezapelacyjnie, były już nazbyt tanie.

Łaciny uczył w niższych klasach profesor Rappaport, stary, schorowany, żółtawy na twarzy, usposobienia zrzędliviego, ale dosyć łagodnego; z katedry mało co się ruszał, więc technika nielegalnego przekazywania niezbędnych przy odpowiedzi informacji rozkwitała za jego czasów bujnie. Ale już wtedy dochodziła nas, w postaci pogłosek i przeraźliwych opowieści, straszna fama drugiego łacinnika, Auerbacha, aż wreszcie w jednej z wyższych klas pojawił się u nas we własnej osobie.

Małego wzrostu, zabawnego wyglądu, przychodził w ogromnych kaloszach, które strącał ze stóp zajadłymi kopnięciami tuż po wejściu do klasy, po czym, aby lepiej nad całą jej przestrzenią panować, wskakiwał na stół katedry, zwieszając nogi, i w śmiertelnej, zaległej ciszy przyglądał się nam uważnie przez bardzo grube, soczewkowe szkła okularów. Wyrывał, po jakimś czasie hipnotycznego wpatrywania się, tego, kto akurat najmniej się niebezpieczeństwa spodziewał i paraliżował ofiarę, jeśli usiłowała najdrobniejszym gestem wzywać pomocy sąsiadów, bo tygrysim skokiem znajdował się natychmiast tuż przed upatrzonym, uważnie oglądając jego pulpit, książkę, ręce — w wynajdywaniu grzeszników okazywał wprawę istic detektywistyczną. W czasie klasówek też nie zadowalał się bierną obroną fortu katedry, lecz krążył cicho po klasie; straszliwe jego „A hi!”, bojowy okrzyk, dźwięk nosowy nieco, wraz z całą specyfiką wymowy oraz zwrotów, którymi przyszpilał delikwentów, stanowiły wprawdzie przedmiot, nieustających naśladowań, małpowania ironicznego, ale zabiegi te nie odczyniały groźnego uroku naszego malutkiego łacinnika. Jeśli dobrze rozumiem, a jest to mój domysł, na samym już wstępie swojej kariery nauczycielskiej

uznał, że musi w jakiś zdecydowany, wyrazisty sposób skompensować fizyczne niedostatki postaci, nie tylko śmiesznej, ale i bezbronnej, bo czyż nie była taka jego nadzwyczajna krótkowzroczność w połączeniu z karzełkowatością. Wypracował sobie tedy cały ów system zaczajeń, wypadów, skoków, huknięć, który był mu i puklerzem, i bronią ataku. W gruncie rzeczy był to człowiek rozumny i łagodny. Pamiętam, jak przeraził go na „małej maturze”, po czwartej klasie (nowego typu), kolega nasz, wyrosnięty z mundurka U., który, ujrawszy otrzymano 2 rąk władzy gimnazjalnej świadectwo pełne „cwajerów”, jednym energicznym ruchem dobył z kieszeni flaszkę, przytknął ją do ust i wychylił dwoma łykami całą zawartość, a wokół rozeszła się woń jodiny... Wszyscy zdrętwieli, a z ciała profesorskiego najbardziej bodaj — Auerbach, którego dwóją miała być pono gwoździem do trumny U. Rychło, po paru minutach rozgardiaszu wyjawilo się, że ciecz, którą wypił, nie była zabójcza — stanowiła ją bowiem woda z kilkoma kroplami jodowej nalewki. U., któremu już było zupełnie wszystko jedno, tym malowniczym sposobem zakończył pobyt w naszej budzie. W języku Rzymian starożytnych nie byłem szczególnie mocny, ale miałem spore wyczucie rytmu i mogłem bez większego trudu, bo bez przygotowania, czytać heksametr także mi nie znany, notabene nic lub prawie nic często nie rozumiejąc. Być może, płynność mojej wymowy, prawidłowość rozkładanych akcentów łagodziła nieco rany, jakie uszom łacinników naszych zadawali mniej elokwentni koledzy, i przez to usposabiałem do siebie profesorów nieco życzliwiej. Poza tym nie ważyłem się nigdy korzystać z wszelkich ściągawek. Koledzy moi, rzecz jasna, nie wszyscy uważali, że przygotowanie w domu lekcji jest pierwszym ich obowiązkiem. Toteż wiele nowego wnieśli bez wątpienia do skarbnicy owych wynalazków i sposobów, którymi od wieków uczniowie usiłują walczyć z pedagogami; szmugiel informacji, jak można by nazwać całokształt takich procederów, był właściwie bazą rozwojową dla przemysłów rozmaitych. A więc, najpierw, rzemiosła i rękodzieła wielce mozolnego; mam na myśli te sposoby chałupnicze, którymi pomiędzy rządki druku w książce, łacińskiej na przykład, nanosiło się tekst tłumaczenia, a także ewentualnie cezury wiersza, znacząc sylaby długie i krótkie, daktyle, trocheje w ten sposób, że się kładło na stronicy kartkę papieru i pisało na niej ołówkiem, a litery i słowa wytłaczały się jedynie pod postacią wklęsłości niezabarwionych, na właściwych miejscach, między liniami tekstu. Przy odpowiednim trzymaniu książki skośnie padające światło pozwalało, młodemu zwłaszcza oczom, odczytać w ten sposób zbawcze wiadomości. Kto nie chciał się zmęczyć taką robotą przygotowawczą, korzystać mógł z przemysłowych już wyrobów, albowiem wydawca złoczowski, bodajże Zuckerkandpl, masowo drukował małe, żółto oprawne książeczki bryków, którymi posługiwały się wszystkie gimnazja Lwowa, a pewnie i całej Polski. Były to tłumaczenia łacińskie i rozbiory lektur przymusowych, poematów, dramatów, drukowane na podłym papierze drobną czcionką. Posiadanie bryków było występkiem straszliwym, więc roztropniejsi przepisywali potrzebne fragmenty łacińskich tłumaczeń ręcznie, na przykład na malutkich paskach papieru, które chowało się w rękawie, w kieszeni, ale nie brakło i leniwych, co zwyczajnie wydzielali potrzebną stronę z Zuckerkandla i wkładali ją do podręcznika. Niejeden liczył na swój wzrost, którym górował wszak, razem z trzymanym wysoko podręcznikiem, nad osobą Auerbacha. Naiwny, źle kończył! Niezrównany tropiciel jakoś cudownie, z samego sposobu drgania gałek ocznych wyrwanego może, potrafił bezbłędnie odgadnąć, że dzieje się przed nim oszukaństwo, a konsekwencją był natychmiastowy okrzyk paraliżujący „A hii!” — skok z katedry, capnięcie za książkę suchą profesorską rączką i wydana tajemnica objawiona zostawała klasie pod postacią kartki bryka, którą, jak w jądzie umoczoną chustą, Auerbach tyleż z obrzydzeniem, co z gorzkim jakby tryumfem potrząsał na wsze strony. A gdy czasem udało się kartkę jakoś zeskamotować, podać ją koledze, mały profesor pospiesznie nakazywał opróżnienie całej ławki i po kolei wyciągał z pulpitów, co tylko w nich było: rewizje takie smutno się na ogół kończyły.

Zapewne, podejmowało się próby kontraktacji przeróżnych, wprowadzania nowych metod — czasem można było przeczytać kawałek tłumaczenia z tekstu, który trzymał pod odpowiednim kątem siedzący o rząd naprzód kolega, kryjąc go przed Auerbachem rozłożonymi książkami, ale niezmożony tropiciel, mistrz nad mistrze, z łatwością utraçał i takie szacherki; gadało się potem cuda o rzucaniu lusterkiem na ścianę napisów, niby w kinematografie, w kąć jakiś, za plecy profesora, o sygnalizacji Morseem, ale nic z tego nigdy nie wyszło, bo bez wątpienia łatwiej było w końcu zwyczajnie nauczyć się tłumaczenia anizeli trudnej sztuki posługiwania się alfabetem telegraficznym.

Pisząc o moich profesorach, czułem, coraz wyraźniej, z rosnącym niezadowoleniem, że wpadam w koleinę, jedną z wielu, wyźłobionych przez pokolenia mniej lub bardziej profesjonalnych wspominaaczy. Mówi się o gimnazjum jak o domku lalek — więc z wysoka, na daleki dystans, przez uśmiech z łezką, karykaturując z lekka, bo wyrozumiale, postaci pedagogów, Wytarte, fałszywe chwytysię tysięjącego pamiętnikarza! Tym perfidniejsze, że nieświadome, styl zamieniają w słodką papkę niemowlęcą, w lukrecję zalatujące błotko, które okleja i paraliżuje myśl. O gimnazjum, z wysoka, to gorsze od występku — to błąd. Należy pisać o nim jako o Absolutcie. Wspomagany murami i kredą, trwał zasadniczo w ciele pedagogicznym — taka byłaby pierwsza, przybliżona diagnoza. To nie żarty. Do profesorów innych szkół, a spotykało się ich choćby w teatrze, mieliśmy stosunek ortodoksy do innowierców, do ich ołtarzy i praktyk: żadnych wątpliwości, po prostu zażenowane z lekka zdziwienie — przecież w tym zupełnie Nic nie ma; jak można tak się zaślepić!? Każdego obcego belfra mogłem jednym spojrzeniem rozłożyć na czynniki pierwsze, od kaloszy poprzez urzędnicze zaaferowanie po cwikier; był nudną sumą owych elementów, niczym więcej. Tego natomiast, że Motorowy miał spory brzuch, nie przyjmowałem do wiadomości. Był bowiem absolutny, on i notesik jego, i maleńki, w mocy skapany ołoweczek, i ruch powolny palców, kartkujących zawsze tajemne stroniczki; w jednej chwili były puste jak świat przed stworzeniem, w następnej uderzał cichy grom. Wróżbici z pierwszej ławki usiłowali wyczytać z mikroskopijnego drobienia ołoweczka los, już nieodwracalny. Nieraz nosiłem do sali konferencyjnej zeszyty po klasówce. Musiał tam być jakiś stół, może nawet krzesła, ale nic o tym nie wiem. Co się zaś tyczy gabinetu samego dyrektora, ani mowy o jakimś opisanu i niewiedzy tej nie da się wyjaśnić samymi okolicznościami, jakie mnie tam wzywały — że, na przykład, rozbiłem kolegą Ł. umywalkę klasową. Upieram się przy tym, że nie strach mnie oślepił, lecz Absolut. Był tam na pewno. Czułem to. Szukałem go nawet po latach, kiedy, jako literat mający spotkać się z młodzieżą, w jednym i drugim gimnazjum czekałem przy jakiejś kawie w dyrektorskim gabinecie. Nie znalazłem nic, znikł jak kamfora, ulotnił się pozostawiając ostygłe biurka, fotele, godła i portrety właściwe na ścianach — ale tylko dla mnie. Obecność jego odnajdywałem nagle odbitą w twarzach uczniów, kiedy przekraczali tam próg. Od razu wpadali w ów lekki, tak dobrze znany mi trans, rozpoznawałem na pierwszy rzut oka owo nieznaczne zdrętwienie, skostnienie, suche zimno, blask groźnej euforii w oczach, zapaść wszystkich naraz zmysłów — pewno, nie mówili całkiem od rzeczy i nawet szastali gorliwie nogą, ale ja też to robiłem. Że się bali? Że i ja się bałem, dwunastoletni? Cóż za spłyciarstwo! Podczas wrześniowego ostrzeliwania Lwowa przez Niemców biegałem po Ogrodzie Jezuickim, szukając gorących jeszcze szrapnelowych zegarów, w okropnym strachu, bo kanonada trwała, i rzecz nie tylko w tym, że byłem głupi, ale i w tym, że niebezpieczeństwo było trywialnie wyraźne: pocisk mógł zabić. Dyrektor zaś nie tylko nie zabijał, ale nieraz nie podnosił nawet głosu. Zapewne, są próby przedstawienia rzeczy kwadraturą koła, póki bowiem trwa wiara, wyznawcy ani chcą, ani mogą o niej mówić, stanu jej nie komunikuje się innym, jak stanu posiadania ucha lub nogi; ateusz zaś maskuje mistykę dawnych wspomnień dociekliwym krytykanctwem bądź pobłażliwą wyższością przebudzonego wobec dramatu snów. A zresztą, proszę bardzo, analizujcie, uśmiechajcie się przez łezki, snujcie nić wspomnień pogodną, ale ja pozostanę przy swoim.

Mistyka? Tak, ale szczególnego rodzaju, absolut wszechobecny, a zarazem totalnie zmaterializowany; plemiona gimnazjalne nie hołdują zabobonom, nie wierzą w telepatię ani w psychokinezę, opanowałyby się oboje, gdyby świat na to zezwalał. Żadne medium nie jest tak wyczulone na cudzą myśl czy wiew zza grobu, jak my byliśmy na krople wiedzy, oko w oko, u tablicy, z Absolutem i rozżarzoną w głowie Saharą ignorancji. Co do psychokinezy, to było nas czterdziestu zespolonych duchem i prędeż, niż da się przeczytać to zdanie, katedrę, profesora i notes pochłonełaby otchłań niższych pięt, gdyby wyteżona do ostatka myśl mogła ruszyć z posad materią. Styl zmienił się mi w ostatnich zdaniach, zbilibijniał, bo chyba tak tylko można mówić o tych sprawach. A może homerowym? Pokpiwali wszak Grecy starożytni ze swych bogów, znali ich małe słabości i grzeszki. Chociaż i Żydzi Starego Testamentu, ledwo Pan odwrócił głowę, już naszeptywali się po kątach, wagarowali z cielcami, tracili wiarę w katedrę, to jest, arkę przymierza, chciałem powiedzieć — myślę, że dusze ich były pokrewne gimnazjalnym. Jezajasz albo Ezechiel potrafiliby przedstawić lekcję algebry numerowanymi wersetami, z których każdy ma w sobie szpiku sięgający piorun; ja się o to nie pokuszę. Wszystkim, czego mógłbym dopiąć, byłby rozwodniony retoryką żart, groteska, a przecież spiritus, który *flot ubi vult*, ładował wtedy wysokim do transcendencji napięciem krede, ujmowaną zgrabiałymi palcami, w oczekiwaniu Słowa. Czyżbym przesadzał? A więc, istotnie nie uważałem naszego matematyka za bóstwo ani dyrektora za Zeusa; niemniej, po tylu latach i wojnach niejednemu z moich kolegów śni się do dziś matura, nie gorsza od Sądu Ostatecznego, chociaż żaden Goya nie wyraził jej eschatologii pędzlem. Mielibyśmy wszystkie takie świadectwa jawy i snów upartych skwitować słowami „trema”, „strach”, „autorytet”? Wiem tyle — zmuszano nas do wiedzy, broniliśmy się przed nią jak przed zarazą, okoliczności zaś sprawiały, że zarazem podlegaliśmy wtajemniczeniu w przeżycia graniczne, z unisono nastrojonych umysłów wydobywano najwyższe i najniższe tony, jakimi może jeszcze zawibrować człowiek. Była, zapewne, starotestamentowa trema przed krzakiem ognistym, strach przed siarkowym deszczem dwój, z niejednym profesorem wyklócaliśmy się na lekcji jak Mojżesz na górze Synaj, wyrwany nieoczekiwanie przez Jehowę, lecz uczucia te, przekraczając dotychczas znane granice, stawiały nas dojmująco, sam na sam z Nienazwalnym, z owym pierwiastkiem boskim, z upiorną ekstazą, którą, wyzwolony od tylu lat, usiłuję widmowo przywołać wzywaniem Absolutu. Każdy z nas wyrasta w ciągu życia z kolejnych wiar, porzuca ich świątynie, lecz strącanym z piedestałów przedmiotom wczorajszego kultu wzgarda nie należy się tak samo jak pobłażliwość. Więcej powiem — wtedy tego nie wiedziałem, ale profesorowie byłiby bez nas niczym; w oprawie czarnych katalogów i gąbek, na zoranych ławkach, z nas i z nich, z międzyludzia owego wyłaniało się po trosze to, co uświęcało i potęgowało okulary ich, dewizki, śniegowce i ołóweczki, a kiedy wszystko prysło i znikło za murami gimnazjalnymi, jak za przekroczonym kręgiem magicznym, pozostało mętne wrażenie, owa nadwyżka niewysłowiona, którą daremnie usiłują ukazać wspomnienia, że prócz godzin nauki i warcholstwa przerw poznałem stan pewien, urodzony za związków szczególnych, na poły tylko widzialnych, stan, może i zmalaty do błahości w perspektywie czasu, może pokracyjny trochę, do bezbronności śmieszny — po ocknięciu — pierwszego wtajemniczenia w tragifarsę egzystencji, ponieważ przeżyłem wschód, kulminację i zmierzch potęg, które okazały się z upływem lat, jak w każdej, wielkiej czy małej historii, zwykłymi sobie ludźmi. Piorun, który dzierżył Zeus w podręczniku historii starożytnej, przypominał mi oszczypek góralski; widziałem go bez złudzeń, jak dzisiaj — precyzyjnie temperowany ołówczek z ochraniaczem, Motorowego. Olimp jest dla trzeźwego górą, potrzebne mu tam wibracje, a nie ofiarne zwierzęta; niczego, prócz krzesel i biurka, nie ma już dla mnie w gabinetach dyrektorów gimnazjalnych; mówię to bez żalu, ale i bez uśmiechu, bo taki jest porządek rzeczy. Po tej pieśni wracam do Lwowa lat trzydziestych, do jego cienistych pasaży, pagórzastych ulic, zielonej, leśnej jakby Akademickiej, ulicy Legionów, z kłamrą Teatru Wielkiego i —

pośrodku — placem Mariackim, pysznym nocą, gdy z dachów jaśniały — jeleń mydła Schicht oraz skaczące po drabince neonowej czekolady Sucharda, Milka, Velma Bitra. Koło 35 roku przyszedł film dźwiękowy, z Al Jolsonem i jego piosenką Sonny Boy, którą podchwycili zaraz podwórkowi śpiewacy. Trzeba wiedzieć, że krążyli wtedy po podwórzach niezliczeni sztukmistrze, poły—kacze ognia, akrobaci, śpiewacy i grajkowie oraz najprawdziwsi w świecie katarzyniarze, niejeden miał nawet ciągnącą wróżebne losy papugę. Nie wiem, czy to działa skryty w duszy wyrzut sumienia za moją zniszczoną haniebnie pozytywkę, ale kuśtykającą brzdąkliwie, nieporadną, o włos od kiksów polatującą muzykę wszelkich katarynek i innych anachronicznych mechanizmów mam w wielkim poszanowaniu. Jest w niej słodko—naiwna powaga, dziewiętnastowieczna ufność w perfekcję kólek i walców zębatych, uczciwość mechaniczna materii wydającej głos własny, a nie naśladowanie ludzkiego. Lecz utonęły w heraklitowej rzece wszystkie korbiaste owe brząkadła. Byłem też entuzjastą cyrkowej sztuki od schodów kuchennych; nieraz wydawały swe przedstawienia całe rodziny, wędrujące z podniszczoną fibrową walizką, mieszczącą żagwie, ciężary, miecz do łykania i inne osobliwości, jak i dywanikiem zrolowanym; wykonywano na nim popisy akrobatyczne. Gdy głowa rodziny łykała szpady lub ogień, matka przygrywała na harmonii, a dzieci budowały z siebie wygibaśne piramidy i biegały po podwórzu, zbierając zawinięte w papier miedziaki — jeśli rzucano je z okien. Bo też były to czasy niemałej nędzy, wyprowadzające na ulicę nie tylko sztukę, ale handel i przemysł. Mnóstwo kręciło się handlarzy z grzebykami i lusterkami, często gęsto słyszało się dzwonienie szlifierzy wędrownych i wołanie „gaarnki lutować!”, sporo krążyło Cyganek—wróżbiarek czy zwykłych całkiem żebraków, którzy za jedyny towar mieli własną biedę. Wszystkie te postacie stanowiły wtedy w moich oczach naturalne uzupełnienie miejskiego krajobrazu — jakby inaczej wcale być nie mogło.

Z filmów epoki dźwiękowej pamiętam właściwie tylko te o potworach: o King Kongu, małpie czteropiętrowej, co, rozkochana w pewnej pani, przez okno drapacza chmur wybrała ją sobie i obierała z szat, trzymając w garści jak banana, o Mumii, Czarnej Komnacie, Wilkołaku — w Mumii, gdy z martwych wstawała, Borys Karloff, grający postać tytułową, kładł rękę na ramieniu młodego egiptologa; straszny był ów rupieć pięciopalczasty prosto z grobu, w jaki zmienili mu fachowcy dłoń; Karloff był w ogóle nieprześcigniony w rolach zeprzałych nieboszczyków (*Frankenstein, Syn Frankensteina*). Rodzinami jakoś chodziły tematy, bo zaraz po tam widziałem też *Syna Kinga Konga*; porządna małpa, sprzyjał ludziom na pewnej wyspie wulkanicznej, a gdy ją ocean pochłonął, ujął w garść bohaterów i poty trzymał ponad wodą, póki ich na statek nie wciągnięto, sam zaś, pobulgotawszy, poszedł po tak pięknym uczynku na dno.

Miałem okrutny dość zwyczaj poszturchiwania ojca łokciem w kinie podczas scen co silniejszych, a już na wyliczonych filmach niepohamowanie tłukłem go omal bez przerwy; zakazy nie skutkowały, było to silniejsze ode mnie.

Im więcej się bałem, tym bardziej mi się podobało i na odwrót; czemu właściwie lubimy, gdy nas (byłe w miarę) straszą, nie wiadomo, więc i po mnie trudno się spodziewać tu wyjaśnień.

Jak każde lwowskie dziecko chodziłem, rozumie się, co jakiś czas do Panoramy Raclawickiej. Było to wielką atrakcją. Najpierw, samo już wejście nastrajało podniosłe i niezwykle, ponieważ przechodziło się przez strefę półmroku i po schodkach wydostawało na pomost, który kojarzył mi się nieodparcie z gondolą bardzo wielkiego, zawieszzonego nieruchomo balonu. Z tego pomostu oglądało się panoramę bitwy jak żywą, przy czym wiele sporów obudził problem, w którym miejscu płot autentyczny z nasadzonymi na żerdki garnkami przechodzi w malowany. Wobec naturalistycznej szkoły malarskiej nie miałem podówczas najmniejszych zastrzeżeń. Owszem, lubiłem nawet do teatru przychodzić bardzo wcześnie, kiedy jeszcze nie była uniesiona olbrzymia żelazna kurtyna pędzla Siemiradzkiego, tyle się na

niej działało różnych a zabawnych rzeczy. W ogóle nasz Teatr Wielki wydawał mi się miejscem niesłychanie wprost luksusowym, *comme il faut*, w najlepszym smaku, ze swymi czerwonymi aksamitnymi obiciami, wielością piéter, kandelabrow, swiateł na nich, salą-palarnią i — *last not least* — bufetem, gdzie ojciec kupował nam, to jest matce i mnie, po sztanglu z cienko pokrajaną szynką. Nie pamiętam, jakie wybitne utwory dramaturgiczne widziałem w teatrze, pamiętam za to doskonale, że taki sztangiel kosztował aż 50 groszy.

Cywilizowałem się coraz bardziej, na miarę własnych możliwości, a jednak skrycie, gdzieś w głębi ducha, byłem widocznie po stronie wszystkich sił, z którymi cywilizacja walczy, jak umie. Świadczą o tym moje reakcje na srogie zimy czy inne, bardziej chwilowe kataklizmy. Klimat Lwowa był raczej kontynentalny, coś takiego jak styczniowa szaruga było tam po prostu niemożliwe. W roku 1930 chyba, przy niebie czystym jak błękitny lodowiec, temperatura spadła do minus 36 stopni; ceny opału skoczyły przeraźliwie, za każdym wozem, wiozącym węgiel, biegły skulone figurki dzieci, czatujących na każdy spadający okruch, a kiedy wyszliśmy z ojcem na małą przechadzkę, ja zakutany w różne zimowe wołjoki i nauszniki do niemożliwości, spotkaliśmy po drodze kilka dużych żelaznych koszów, w których palił się miejski węgiel. Nad każdym grzało się trochę zmarzniętych biedaków; otóż, rzecz może horrendalna, ale mnie wydało się to wszystko razem wspaniałe, a jeszcze więcej nadziei na jakieś zmiany katastroficzne i w niepojęty sposób radykalnie odczuwałem, gdy przyszły potem ogromne śniegi. Jakże marzyłem o tym, że śnieg zasypie cały nasz dom, że staną tramwaje i auta, że będzie można z balkonu drugiego piętra wyjść prosto na przekształconą w lodowcowy wawóz ulicę. I podobnie, kiedy, bardzo zresztą rzadko, gasła elektryczność, z nabożeństwem pomagałem szukać świec, obnosiłem ich chwiejne i niepewne swiatełka po nagle ociemniałym, o tajemnicze obszary poszerzonym jakby mieszkaniu, i jak szczerze troskałem się, kiedy trywialne żarówki ponownym rozbłyśnięciem kończyły ową słodką feerię średniowiecznych mroków!

Jakkolwiek tyle już powiedziałem o rzeczach, co wypełniały moje dzieciństwo, nadal czuję, że nie wywiązałem się z zaciągniętego u nich długu. „Zagruntowaniem duszy” nazywam na własny użytek ową pierwszą warstwę doświadczenia, ze światem komunikującego, które okazuje się z czasem niewymienne — na żadne inne. To „zagruntowanie” sprawia potem, że można sobie dwadzieścia razy być materialistą i ateistą, a zarazem odczuwać słodkie ściskanie w dołku, kiedy się słyszy dźwięk muzyki organowej albo bicie dzwonów, podczas kiedy głos, jakim muezin nawołuje wiernych do modlitwy, jest tylko obcą, choć może i pociągającą — egzotyką. Jest to, zapewne, wtajemniczenie w pewną konkretną postać kultury, trwalsze niż wiara w jej jedyność, ponieważ można dobrze wiedzieć o tym, że różne bywają na świecie cmentarze, lecz za „prawdziwy cmentarz” przecież będzie się już zawsze miało taki z tonącymi w macierzance grobami o pochyłonych jak od wiatru kamiennych i brzoźowych krzyżach. Ale jest to też nawiązanie najczulszych, ponieważ pierwszych związków z trzeźwymi produktami cywilizacji. Bo jakaż w końcu poezja tkwiła w długich wozach Habermuscha, rozwożących piwo, w beczkach podczepionych hakami do ramy, z zaprzęgiem ciężkich perszeronów, błyszczących wspaniale od owsa? Albo w starych autach, które, wyjeżdżając na górę Kadecką czy na Stryjską, nadrywały się wyciem, tak że nie tylko czuło się ich rozpaczliwy wysiłek, ale koniecznie trzeba mu było asystować pomocnym napięciem wszystkich władz ducha? Zawodność owych gratów wymagała stałego zainteresowania, sympatii, a nawet, ośmielę się powiedzieć, czynnego miłosierdzia, którego ani nie żądają od nas, ani nie potrzebują dzisiejsze auta, z woli konstruktorów dumnie skrywające przed użytkownikiem rozmiary swego wysiłku. Te — dziś starodawne — wehikuły właśnie przez swoją niepewną zawodność były prawdziwymi indywidualnościami. Pamiętam pierwsze wtajemniczenia w sztukę samochodową, kiedy na rok przed maturą dostałem się pod władzę miłkiwego instruktora, wyglądającego, jakby żywił się wyłącznie

czarnym olejem. Wstępna była lekcja kręcenia korbą, a że znarowione silniki złośliwie kopały, pokazywał na początku, jak mam trzymać rękojeść, aby niespodziane wierzgnięcie nie zламаło mi nadgarstka. A kiedy wybladły z emocji usadowiłem się na pachnących benzyną skórzanych poduszkach, ów maż, podobny w tej chwili do kapitana Nemo, kiedy prowadził „Nautilusa” przez straszliwy „Arabian Tunnel”, kazał mi — jedyneką i pełnym gazem — jechać prosto na ceglany mur podwórza. Zamierając ze wspaniałego przerażenia, musiałem go usłuchać i pognaliśmy z obłądną chyżością piechura prosto na czerwony mur, aż o metr przed nim preceptor mój użył swojego, osobnego hamulca. Nie tylko synchronizacja biegów uchodziła wówczas za rodzaj niezdrowej rozpusty, wymyślonej przez jakichś fanfaronów zamorskich: ręcznie ustawiało się także zapłon, trąbiło się gumową gruszką, podobna do hegarowej, a do założenia na obręcz opony potrzebne były siły Herkulesa. Zresztą także domowe dziedziny życia, nie tknięte bakcylem rozleniwiającej automatyzacji, prezentowały mi się w całym bogactwie liturgicznego rozczłonkowania. Chociażby wspomniany już kataklizm, zwany Wielkim Praniem, podzielony na fazę mydlinowych bulgotów z zaduchem pary, na katorgę praczek i balii i wreszcie na maglowanie, z jego drewnianymi rumorami, co wstrząsały jestestwem całego mieszkania. A maratońskie biegi w miejscu na szczotkach, które obracały posadzki w lustra? A prasowanie, w aurze powszechnego zaszadzenia, kiedy to prasowaczka co chwila wybiegała na ganek i mocarnie huśtając żelazkiem, rozpalala jego węglowy żar, aż iskry leciały z bocznych półksiężycowatych szczelin jak z brzucha lokomotywy? A okresowe wprowadzanie się do nas szwaczki, która terkotała na maszynie od rana do wieczora, gdy ja porywałem wiele się dało skrawków płóciennych, ponieważ było mi to wzbronione! A smażenie konfitur i moje natarczywe prośby, by mnie awansowano do rangi zbieracza — wielką łyżką drewnianą — „szumów” z wulkaniczno—malinowej topieli, których to „szumów” miejsce przeznaczenia znajdowało się, podług matki, na talerzu, a podług moich chytrych obliczeń w ociekającej słodkościami gębie? Mniejsza o to wszystko, co było w takich ciężkich robotach — ich racjonalnym pożytkiem. Prymitywizm ich pożerał, zapewne, mnóstwo czasu i sił — zarazem jednak czynił dzieciństwo terminatorką u nieposłusznych zasadniczo żywiołów. Gdyż wypalały się w bielinie dziurki czarne od iskier, a konfitury w spiżarni chętnie cukrzyły albo pleśniały na odmianę, dzięki czemu zapoznawałem się z krnąbrnością tylko na poły oswojonej Natury, co na blasze kipiała lub w piecach buzowała. A jeśli nawet nic katastrofalnego nie zachodziło, przecież, kręcąc się po odmienionym mieszkaniu, żyłem w intymnym pobliżu kłęski, bo widziałem, wiele trzeba baczości dla kielznięcia procesów, rozpętanych w rondlach i ‘baliach. Zdawały się nieobliczalne przede wszystkim, niczym żegluga po nieznanym morzu, i cała moc zawarta w pożółkłych babcinych receptach, co wzywana ‘była po to, żeby bielizna zyskała piękny, białobłękitny blask, żeby owoce zachowały swój kształt, a unoszący je syrop nabrał barwy starego wina — całe to doświadczenie nie wystarczało czasem, nic się tu nie spełniało na pewno i samoczynnie, lecz wszystko tylko być mogło, niezmiennie ożenione z ryzykiem. Róże przebywały w koszach, potem każdemu płatkowi wycinało się przy pomocy małych nożyczek białawy koniuszek, potem szły dalsze przedkonfiturowe czynności, i danaidowe „szumowanie”, i magia raczej niż chemia sterylizacji „wecków” — aż wreszcie góra trudu rodziła szklany ordynek słoików z ponalepianymi etykietami, co zamieniał spiżarnię w chlubnie prezentujące się muzeum. Toteż rozumiem doskonale mieszanie pogardy i rozpaczy, goszcząca w sercach bywałych gospodyń domowych (ale gdzież one dzisiaj?), kiedy przekonują się o tym, że przemysł potrafi im dorównać w warzeniu kompotów czy konfitur. Zapewne: szalony byłby ten, kto by pragnął powrotu tak prymitywnej mordęgi. Lecz krajobraz owych robót, podgryzanych zwątpieniem i urzeczywistnianych z uporem godnym bardziej bohaterskiej sprawy, zrósł mi się we wspomnieniu ze szkolnymi czasami, a razem z nim utraciłem jakąś cierpką, ale przecież cenną wartość, ponieważ z ułomnymi rzeczami miało się wówczas do czynienia i

właśnie ich ułomność czyniła je przedmiotami trosk, a czy nie troski bywają źródłem podobnego do miłości przywiązania? Toteż w owym zamierzczłym czasie wycieczka za miasto nie była wycieczką od wygod, stanowiła nie tyle utrudnienie zabawowe egzystencji, ile raczej zawieszenie jednego rodzaju prac na rzecz innych. A zarazem starsi nie bez zgorzienia przypatrywali się nowaliom technicznym i wspominali własną, podobno sroższą, a przez to i zdrowszą rzekomo młodość, co zresztą, naturalnie, puszczało się mimo ucha. Podobnie jak przez choroby dziecięce przeszedłem także przez rozmaite mniej lub bardziej banalne manie — wieku albo i epoki. Najpierw, rzecz jasna, zbierałem Anglasy — to jest podobizny flag państwowych w czekoladkach tego zawołania. Potem — małe fotografie miast dalekich, w (znów) czekoladkach Sucharda, aż zbierałem ich tyle, że dostałem za to od firmy stereoskop — do ich dwu—ocznego oglądania. Znaczki zbierałem, jak się przedtem rzekło, pozornie tylko. Jakoś nie byłem za zbieractwem całkiem bezinteresownym. Ojciec namawiał mnie najpierw, bym grosz odkładał do grosza, kupił mi w tym celu świnę glinianą — jedną rozbiłem, drugą wyplądrowałem za pomocą noża. Wtedy przyniósł uroczyście do domu skarbonkę Kasy Oszczędności. Można do niej było wrzucać monety, ale nie można było ich już wyjąć, to potrafiła jedynie sama Kasa, gdzie miałem własne oszczędności na książeczce. Teoretycznie tylko, ponieważ po zbadaniu mechanizmu przekonałem się, że potrząsając bardzo uparcie i bardzo długo odwróconą do góry nogami skarbonką można w końcu przymusić ją do wyplucia jednej—drugiej złotówki, co doprowadziło wreszcie do całkowitego opróżnienia jej wnętrza. Ojciec machnął wtedy ręką na system oszczędzania, do jakiego tak skwapliwie usiłował mnie wdrożyć. A przecież potrzebowałem pieniędzy nie na żarty. Nikt nie rozdawał ani drutu do induktorów, ani staniolu na kondensatory i butelki lejdejskie, ani klejów, ani gum do procy. Z innych zaś artykułów pierwszej potrzeby chałwa, której używałem wiele, wcale była droga. Poza tym — wycinanki. Dziwne się wtedy wycinało i kleiło rzeczy, bo oprócz zwyczajnych czołgów i samolotów, także maski gazowe, które można było nawet nosić, póki od śliny i oddychania przez dziurkowane denko papierowego pochłaniacza dokumentnie się nie porozklejały. A baloniki? Nie wiem czemu nie ma już dzisiaj prawdziwych, to znaczy żywych — najpierw dostawałem je, podobnie jak małe wiatraczki z kolorowego papieru, przyszpilone do drewnienek, które ‘znów trzymał, wetknięte zawsze, jako w rękojeść, w duży surowy ziemniak, pewien sprzedawca pod Uniwersytetem. Ale sam Uniwersytet nazywał się jeszcze wtedy Sejmem, nie wiedziałem, że wskutek bezwładności, po epoce austriackiej, kiedy to mieścił w sobie galicyjski sejm. Więc oprócz tych wiatraczków miał ów sprzedawca baloniki na sznurkach konopnych, kolorowe i wypełnione gazem. Było dla mnie coś niezwykle w nich pociągającego i zarazem smutnego. Nie można było uwolnić balonika, bo uciekał do nieba — pamiętam te rozpacz dzieci, którym się taka przygoda zdarzyła w Jezuickim Ogrodzie! Ale w mieszkaniu balonik także nie był szczęśliwy, bo wypływał od razu pod sufit i pozostawał już tam, głupio, uparcie i jakby rozpaczliwie trykając go swoją nadymaną głową; ale najgorszy był następny ranek, zastawałem go bowiem w konaniu. Zmarszczony, zgrzybiały w ciągu jednej nocy, wychudły i nieszczęśliwy, nie mając już nawet tyle siły, aby skoczyć pod sufit, ledwo że unosił się nad podłogą, melancholijnie ciągnąc za sobą tu i tam sznurek. Wspominam o tym tutaj dopiero, ponieważ przedziwny sentyment do baloników został mi na długie lata — kupowałem je i kryłem się z tym, aby mnie nie wyśmiewano. Niby dorabiałem im gondole, robiłem jakieś Zeppeliny, ale to było samooszukiwanie się. Potrzebowałem ich krótkotrwałego towarzystwa, ich egzystencji jednodniowej, niby jakiego *memento mori*, modelu, unaoczniającego nieuchronność przemijania każdej świetności. Pojawiały się nieraz baloniki nadymane powietrzem, na giętkich miedzianych drutach, ale te umarłe, te nieżywe od powicia imitacje, te nędzne naśladownictwa nic mnie nie obchodziły, gardziłem nimi, ponieważ udawały coś, czym nie były. Nie wdając się w ryzyko autentyczniejszej egzystencji, godne były tylko głupców. Nie chciałem mieć z nimi nic wspólnego.

Było wszakże coś, co kolekcjonowałem bezinteresownie, długo, uporczywie — wszelakie rupiecie elektryczno–mechaniczne. Został mi do dzisiaj osobliwy sentyment do wszelkich zgruchotanych dzwonek, budzików, starych cewek, telefonowych mikrofonów czy w ogóle przedmiotów, które wykolejone z torów swego bytu, zużyte, tułają się gdzieś porzucone — miejscem, w którym po raz ostatni dawano im jeszcze jakąś, mizerną choćby, szansę poistnienia względnie przyzwoitego, była tandeta za teatrem. Chodziłem tam nieraz, trochę chyba jak jakiś dobry jałmużnik, zwiedzający dzielnice nędzy, albo jak miłośnik zwierząt, ukradkiem dożywający co bardziej wynędzniałe psy lub koty. Ja byłem filantropem dla starych iskierników, kupowałem zdezelowane magneta samochodowe, jakieś mutry, nikomu na nic potrzebne komutatory, fragmenty niepojętych urządzeń, znosiłem je do domu, chowałem do pudła po bucikach w szufladzie, wtykałem, gdzie się dało, nawet nad książkami na wyższe półki biblioteczne (miałem już własny księgozbiór), czasem wyjmowałem je, odkurzałem, palcami oczywiście, pokręciłem jakąś korbką, żeby im sprawić przyjemność, i znów ukrywałem pieczołowicie. Nie wiem, czemu to robiłem. Oczywiście, zagadnięty, odpowiedziałbym natychmiast, że to czy owo zawsze może mi się przydać w jakichś planach, ale nie była to ani cała, ani szczerza prawda.

Za terenem Targów Wschodnich rozpościerało się jedno z najpiękniejszych dla mnie miejsc świata — Wesole Miasteczko. Były tam karuzele, kolejka górską, pałac duchów, beczka śmiechu i atrakcje ciekawsze nawet. Na przykład skórzany bałwanek, którego waliło się w głowę, a siłomierz od razu pokazywał w odpowiednich stopniach potęgę ciosu. Albo cyrk pcheł, gdzie ciągnęły one, chcąc nie chcąc, miniaturowe powozy i karety. Albo tajemnicze kioski i gabinety; w jednym, kiedy wszedłem tam z ojcem, rozbierała się niezwykle tęga pani, nie w celach strip–teasowych, ale by ukazać nam bogactwo fenomenalnych tatuaży, jakie ją zdobiły. Przy demonstrowaniu ciekawych scen na brzuchu ojciec zaniepokoił się, a kiedy przeszła dalej, zdążyłem obejrzeć ledwo rąbek jakiegoś oryginalnego pejzażu, ponieważ siłą wyciągnął mnie za drzwi. W pewnym miejscu znajdowało się stoisko odgródzone od widzów barierką. Rozpościerał się za nią rodzaj niskiego, a rozległego stołu, na którym leżały czekolady, pudełka z cukierkami, solidne bomboniere, rzecz zaś polegała na tym, że należało rzucać monetę w kierunku owych eksponatów. Jeśli zatrzymała się na którymkolwiek, stawał się on własnością szczęśliwego gracza. Zauważyłem rychło, że co większe pudełka czekoladek mają lekko wypukłe pokrywki oklejone nadto bardzo śliskim celofanem i moneta zawsze ześlizgiwała się na stół. Od czegoż jednak roztropność? Sporządziłem sobie w domu, z rozłożonych na podłodze książek i piórników, poligon doświadczalny i nauczyłem się po niedługim czasie rzucać monetą tak, żeby wznosząc się najpierw w górę, padała potem zupełnie pionowo i martwa, bez tendencji do bocznych poślizgów. Potem spokojnie udałem się do Wesołego Miasteczka. Jakoż wygrałem wielką bombonierę, ale prawie natychmiast zbliżył się do mnie z boku jakiś mężczyzna o imponujących barach i syknął mi do ucha „zmiataj, gówniarzu”. Zastosowałem się rozsądnie do tej prośby — a zawartość bomboniere okazała się w domu niejadalna — wszystko było w niej już to śmiertelnie scukrzałe, już to skamieniałe od starości.

Jak widać z tych drobnych historyjek, lata mijały, lecz pewien typ moich zainteresowań opierał się upływowi czasu. Nadal gustowałem w chałwie Piaseckiego, także Wedla (w małych łupkowych pudełkach), nadto zaś odkryłem w pobliżu Teatru Wielkiego cukiernię pod nazwą „Jugosławia”, gdzie były najwspanialsze we Lwowie słodkie specjały Wschodu: rozmaite rachatlukumy, makagigi, egzotyczne nugaty, kwas chlebowy i dużo innych dobrych rzeczy; ważyłem, notabene, w tym czasie kilka kilogramów więcej niż dziś.

Wspomniałem o Targach Wschodnich. Lubiłem chodzić na ich teren, kiedy stał pusty, bezludny — dziwne były wtedy wielkie hale o zbrudzonych szybach, a szczególnym miejscem stało się dla mnie wielkie zakole, utworzone przez najdłuższy, półokrągły pawilon, który obejmował połowę łuku pawilon Baczewskiego (ten wykładany butelkami likierów).

Kiedy stanęło się pod wieżą Baczewskiego, można było obudzić echo śpiące w przestrzeni; klaśnięcie w dłonie, jeżeli dość silne, powtarzało się cztery, pięć, a nawet sześć razy, podobnie jak każdy okrzyk. A przy tym niezwykle dużo jakby czasu upływało między tymi coraz to słabszymi i słabszymi powrotami głosu, który zdawał się zamierać, przybywając z coraz większej odległości, z coraz większym trudem; stałem tam, w chłodnych dniach pogodnej jesieni, skwapliwie nasłuchując ostatnich, agonalnych już odzywek echa, w których było coś przejmującego, tajemniczego i zarazem fascynująco żalosego; wiedziałem, rozumie się, na czym polega mechanizm powrotów odbijającej się fali dźwiękowej, ale nie miało to nic wspólnego ze szczególnym urokiem owego miejsca.

Trzy lata przed wojną zetknąłem się tam po raz pierwszy, jakoś nagle i całkiem z bliska, z Niemcami hitlerowskimi. Na jednym z pawilonów pojawiła się czerwona flaga ze swastyką, a wewnątrz było wiele nieciekawych maszyn, oraz na jakimś miejscu wyróżnionym — kilka ni to zabawek, ni to modeli mechanicznych czołgów, najwierniej skopiowanych, z pancierzami, ich plamistością jak gdyby jaszczurczą, gąsienicami, wieżami i uzbrojeniem całym; pyszniły się na nich wyraźnie wymalowane, w miniaturze dokładne znaki rozpoznawcze Wehrmachtu, które miałem niedługo później oglądać w rzeczywistej już wielkości, na płytach pancernych tych samych nawet czołgów Mark IV; wtedy jednak były tylko zabawkami, chociaż wiedziałem już to i owo o hitlerowskich Niemczech i było dla mnie, już podówczas, w skądinąd ciągnących oko zabawkach, coś z niewyraźnej zapowiedzi przyszłego czasu czy nawet zwiastuna groźby, ale takiego, który pomniejszeniem udaje niewinność. Te piękne zabawki miały w sobie coś odstręczającego trochę, jakby nie były tylko i po prostu sobą, jakby miało się z nich wykluczyć coś czy wyniknąć. Zresztą, dla uczciwości dodam, że nie jestem tego całkiem pewny; późniejsze wypadki mogły rzucić to jakby przedburzowe światło wstecz, i zabarwić nim, z lekka niesamowicie, zdarzenia całkiem niewinne.

VI

Czas już najwyższy zdać sprawę z tego, o czym wspomniałem niejasnym napomknieniem, z owych zajęć pilnych, szczególnych i przede wszystkim intymnych, którym poświęciłem się zarówno w gimnazjum, jak i w domu. To, że w ogóle mogłem robić tak wiele (a pokaże się za chwilę, że istotnie mnóstwo miałem pracochłonnej roboty), zdumiewa mnie dziś, gdy doprawdy na nic omal nie starcza czasu. Widocznie jest ta substancja naszego trwania szczególnie rozciągliwa w młodości i przy właściwie ulokowanym wysiłku stwarza w sobie niespodziewane całkiem, dodatkowe jakby obszary, wypychana, jak kieszenie mego mundurka, w których zgodnie z tradycją nosiłem więcej niżby dopuszczało prozaiczne zmierzenie ich pojemności. Byłażby i przestrzeń bardziej z natury swojej przychylna dzieciom? To chyba niemożliwe, a jednak oprócz zwojów sznura (na węzły marynarskie, jak i na wszelki wypadek), gromadki ulubionych szczególnie śrubek, scyzoryka, gum, zwanych raderkami (znikały w oczach, czyżbym je zjadał?), mosiężnego łańcuszka klozetowego, szpilek, gumek, kątomierza, małego cyrkla (nie tyle dla celów geometrycznych, ile przeciwko siedzącemu przede mną grubemu Z.), szklanej rurki po tabletkach pełnej sproszkowanych zapalczanych główek (jad, a zarazem środek wybuchowy), szkła powiększającego, zmętniałego przez porysowanie, pularesu—podkówki, stale robiącego bokami, jak i tych płodów, których w danym okresie dostarczała Natura (żołędzie, kasztany), połówki krążka jo-jo, nieużytecznej, lecz jakoś cennej, małej łamigłówki z przesuwanymi kwadracikami cyfr, zwanej „piętnastką”, oraz innej, z trzema prosiętami (to była gra zręczności, pod okrągłym szkiełkiem), nosiłem z domu do szkoły i ze szkoły do domu całe biuro. Sam nie wiem bowiem, jak ani kiedy wpadłem na koncepcję dosyć oryginalną — legitymacji. Produkowałem je na lekcjach, niby to zajęty notowaniem słów profesorskich, osłonięty uniesioną nieco w lewej ręce okładką otwartego zeszytu, spokojnie, masowo, wyłącznie dla siebie, nikomu nie pokazując ani rąbka. Okres terminatorski pomiję; rzecz więc będzie o osiągniętym w drugiej i trzeciej klasie mistrzostwie. Najpierw wycinałem z gładkiego koniecznie papieru zeszytowego małe arkusiki, składałem je we dwoje, w postaci książeczek i zeszywałem specjalnym sposobem i materiałem. Cyfry numeru 560 na tarczy gimnazjalnej haftowane były z miniaturowych spiralek srebrnego, jak włos cienkiego drutu. On był mi introligatorskim przedziwem. Mając pewien zapas książeczek niejednakowego formatu, co się okaże istotne, przydawałem im okładek z najlepszych surowców — brystolu, papieru rysunkowego, a pewne specjalne blankiety zamykałem w kartonie wysokiej próby, wycinanym z okładek brulionów lekcyjnych. Na dźwięk dzwonka, ogłaszającego przerwę, chowałem to wszystko do teczki, aby na następnej godzinie rozpocząć powolne, akuratne wypełnianie pustych stroniczek. Używałem atramentu, tuszu, kolorowych ołówków chemicznych i monet, którymi wyciskałem pieczęcie we właściwych miejscach. Co to były za legitymacje? Wszelkiego rodzaju — obdarzające określoną władzą terytorialną, mniej lub bardziej ograniczoną, drukowałem też ręcznie nadania, tytuły, specjalne uprawnienia i przywileje, a na blankietach wydłużonych — różne rodzaje książeczek czekowych czy też obligacji, równoważne kilogramom kruszcu, przeważnie platyny i złota, lub asygnaty na kamienie szlachetne. Stwarzałem dowody osobiste wielkorządców, poświadczałem tożsamość cesarzy i monarchów, przydawałem im dostojników, kanclerzy, z których każdy mógł się na pierwsze żądanie wylegitymować, rysowałem w znoju herby, wystawiałem przepustki nadzwyczajne, zaopatrywałem je w klauzule prawomocne, a ponieważ miałem dużo czasu, legitymacja ukazała mi kryjącą się w sobie otchłań. Zacząłem przynosić do szkoły stare znaczki pocztowe, modyfikowałem je na stemple, opatrywałem pieczęciami, układającymi się w hierarchię coraz to wyższą, od malutkich trójkątnych, poprzez czworoboczne, do najtajniejszych, doskonałej okrągłości, z symbolicznym znakiem w centrum, którego

okazanie łamało każdego na kolana. Rozsmakowując się w tej żmudnej pracy, udzielałem już zezwoleń na podejmowanie brylantów jak głowa ludzka, przy czym doprawdy daleko zaszedłem, skoro legitymacje opatrywałem załącznikami, załączniki — aneksami, wdrażając się w sfery coraz to potężniejszej władczości aż tam, gdzie ważne były już tylko dowody osobiste tajne, szyfrowane, z systemem haseł i symboli, wymagającym ścisłych kodów; pewne więc dokumenty miały własne książeczki deszyfrujące ich rzeczywiste, przerażającej potęgi znaczenie, stanowiąc bez nich tylko szereg numerowanych stroniczek pokrytych całkowicie niepojętą kaligrafią. Przeczytałem gdzieś wtedy opowiadanie, które zrobiło na mnie wrażenie całkiem niezwykle. Była to historia wyprawy do „białej plamy” serca Afryki. Członkowie ekspedycji natknęli się po przebyciu gór i dżungli na nie znane plemię dzikusów, którzy znali pewne słowo straszne, wymawiane tylko *in extremis*, bo każdy, kto je usłyszał, zamieniał się w stożek galarety, mniej więcej metrowej wysokości. Stożki te były w książce dokładniej przedstawione, jak i prosty sposób, dzięki któremu dzicy sami nie zamieniali się w nie — prosty naprawdę, bo wykrzykując transmutujące hasło, zatykali sobie porządnie uszy. Zapamiętałem okropne słowo i nie od razu ośmieliłem się głośno je wypowiedzieć, pouczony losem pewnego uczzonego, niedowiarka, który, drwiąc sobie lekkomyślnie z relacji ostatniego ocalałego uczestnika wyprawy, zawołał je, z tragicznym, galaretowym skutkiem. Słowo to, zdolne człowieka w kisiel obrócić, brzmiało EMELLEN.

Spieszę wyjaśnić, że nie wierzyłem wtedy w bajki, choć chętnie je czytałem. Historii z „Emelennem” nie potraktowałem wszakże jak bajki. Patrząc na rzecz ze współczesności, zastanawiam się, czy nie była to aby fantastyczna humoreska — jeśli tak, intencje autora dokładnie do mnie nie dotarły. Nie wierzyłem, zapewne, w prawdziwość owej historii, niemniej pozostało we mnie dosyć niejasne a ponure przeczucie, iż istnieją słowa, wywołujące skutki jakoś — jeśli nie tak właśnie — fatalne. Od razu też sobie rzecz na poczekaniu racjonalizowałem: jeśli pewne dźwięki mogą wprowadzić człowieka w trans hipnotyczny, dlaczego jakieś bardzo specjalne ich złączenia nie miały mieć mocy większej jeszcze, nie przez magię, ale przez to, że szereg fal powietrza, działając na ucho... i tak dalej. „Emellen” domagał się wyraźnie przetransponowania w sferę bytu legitymacyjnego, gdzie stałem się już zaawansowanym specjalistą. Okazał się mianowicie bodźcem działalności hasłotwórczej. Ponieważ uczyłem się nieźle, nikt mi do teczki, do książek, zeszytów nie zaglądał, i dobrze się stało, wytrząsłby bowiem z nich co niemiara małych książeczek już zadrukowanych, a także pustych blankietów, jak i tych egzemplarzy eksperymentalnych, w których usiłowałem, bez powodzenia niestety, potęgować wymowę dokumentów tłoczeniem znaków wodnych. Ta pożądlivość realistycznego szczegółu nie dała się, mimo niezliczonych prób, urzeczywistnić.

Muszę zaznaczyć, że chociaż budowałem królestwo wszechmocy legitymacyjnej, słowo takie w ogóle w mej twórczości nie występowało. Za słusznym podszeptem biurokratycznej transcendencji nie ufałem bowiem pojęciom nieskończonym i posługiwałem się z reguły systemem Centymetr–Gram–Sekunda, to jest podawałem dokładnie, co może okaziciel niniejszego w uczciwych jednostkach miary i wagi. Jeśli zaś szło o książeczki blankietowe, każdy blankiet musiał mieć numer kolejny, wyższość numer serii, do której należał, podpisy uwierzytelniające i pieczęcie, nadające pełną już prawomocność. Te ostatnie kładłem na samym końcu, aby nie marnować ich na papierach, splamionych najmniejszą chociażby omyłką czy niedokładnością wystawienia. Miały też oczywiście blankiety brzezną perforację, żeby każdy naprawdę można było wyrwać z książeczki dla okazania. Tę perforację, po szeregu doświadczeń, urzeczywistniłem przy pomocy małego kółka zębatego z budzika, które nosiłem stale w piórniku do szkoły. Była też w owym piórniku dobra jeszcze żyłotka ojca do ścisłego przycinania stroniczek, przy czym raz koło razu pokroiłem blat mego pulpitu podczas takiej intrologiki, co uchodziło mi jakoś na sucho.

Może wyda się dziwne, że nikomu z kolegów nie pokazywałem owych uprawnień władania i dysponowania pakami rubinów bądź losami cesarstw zamorskich. Ale dla kolegów mogły to być żarciki, a dla mnie sprawa osobliwie poważna. Przeczuałem, że gotowi mnie wyśmiać, co byłoby niedopuszczalne. Odczuwałem chyba — nic o tym nie wiedząc — ów z lękiem pomieszany wstyd artysty wobec człowieka domagającego się przed dziełem sztuki wyjaśnień normalnych, więc rzeczowych: co to właściwie jest i do czego ma służyć. Odpowiadając, że do zabawy tylko, kłamałbym, częściowo przynajmniej, bo szło o coś więcej. O co? Nie wiem i teraz, ale miałem chyba rację. Utyskuje się dziś na powszechne obniżenie lotu sztuki, tkniętej trądem bezideowości, skazanej niewiadomymi wyrokami na miałość przemijających eksperymentów i jednodniowej mody. Czujemy to zwłaszcza wobec trwających w potęgde dzieł przeszłości, katedr Florencji i Sieny, misteriów starego dramatu chińskiego, uwędzonych w dymie bożków murzyńskich, opuszczamy wystawy sztuki wieku kamiennego czy kaplicę Sykstyńską pełni niespokojnego pytania, co się stało właściwie takiego z duchem, że przestał być zdolny do koncentracji tak erupcyjnych i zniewalających zarazem, które mają w sobie moc konieczności jakby naturalnej, domagając się przyjęcia nie inaczej aniżeli drzewa, chmury, ciała zwierząt i ludzi — więc w sposób bezapelacyjny i ostateczny. Odpowiadają nam, że artysta przestał być przewodnikiem, konduktorem sił piorunowych, przychodzących z zewnątrz, które kumulował w sobie, ale których nie rodził. że sztukę zabija swoboda nieograniczonego wyboru, wiedza o umowności konwencji — ten, kto wie, że można napisać książkę dowolnym sposobem na każdy temat, nie napisze żadnej wielkiej. Kto pojął, że wolno malować, co i jak się tego zechce, znajdzie w tak odkrytej wolności grób potencji twórczych.

Proszę popatrzeć na fotografie kosmonautów, którzy opuszczają statek swój w nieskończonej przestrzeni. Jakże nie nadaje się ciało ludzkie do nieskończoności, jakie bezradne się w niej staje, każdym poruszeniem objawia swój bezsens, pozbawione zbawczych ograniczeń i usprawiedliwiającego oporu ziemi, ścian, stropów. Nieprzypadkowo też przyjmują pozycję płodu w łonie matki, kurcząc grzbiet, z podgiętymi kolanami i przyciągniętymi rękami, nie przypadkiem upodabnia się lina ratunkowa do łączącej z łożyskiem pępowiny. Sprężyści, skierowani, żwawo podążający do celu możemy być tylko w niewoli grawitacji, w obrębie jej władzy ciało nasze zyskuje swój sens i wyraz, tłumaczy się każdym stawem i nerwem, doskonale użyteczne i przez to piękne. Takie samo wrażenie konieczności jakby naturalnej, poczucie, że obcujemy z rozwiązaniem problemu, jedynie możliwym, budzi w nas każde wielkie dzieło sztuki. Pan Bóg Michała Anioła, z potężną brodą kędzierzawą, w fałdzistej szacie, o bosych stopach porysowanych żyłami, nie wyniknął ze swobodnej spekulacji artysty. Musiał się malarz podporządkować bezwzględnej literaturze nakazów, biorących początek w Księgach Objawienia. Na miejscu Michała Anioła współczesny artysta, z duszą rozmiękną od sceptycyzmu, tego wyziewu wiedzy, co krok zderzałby się z paradoksami, dylematami, nonsensami, tam gdzie mistrz Odrodzenia żadnych nie miał wątpliwości. Paznokcie stóp Boga są krótkie. Jeśli Bóg jest ciałem podobny do człowieka, paznokcie winny rosnać. Skoro trwa od wieczności, rozrosłyby się w węże rogowe, tryskające z bosych palców ku wszystkim naraz galaktykom, wypełniłyby niebo strumieniami wijącej się, poskręcanej rogowiny. Możliweż to, trzebaż tak malować? A jeśli rzec sobie, że nie tędy droga, pojawia się problem boskiego pedicuru. Paznokcie krótkie albo dlatego, że obcinane, albo dzięki interwencji cudu — ten, kto może słońca wstrzymywać, może wszak zatrzymać i wzrost paznokci. Oba wyjścia niedopuszczalne, pierwsze trąci fryzjernią, drugie niesmacznym konceptem ateusza, oba — bluźnierstwem. Paznokcie mają być krótkie bez żadnych dociekań i analiz.

Spotykamy tu zbawienne ograniczenie, umożliwiające powstawanie wielkiej sztuki, która odpowiedź na potencjalnie bezkresny ciąg pytań ucina aktem wiary. Rzecz jasna, srogi rygor, narzucony przez liturgię, musi zostać uwewnętrzniony, stać się z dobrowoli wdzianą,

plomienną włosienicą duszy, granicą, wyznawaną gorącym sercem, a niestrzeżoną przez policję. Istnieją wszak ograniczenia mistyczne i policyjne, lecz jeśli te drugie nie poczynają dzieł znakomitych, to tylko dlatego, że policjant innych kontroluje, nie jest natchnionym funkcjonariuszem własnej sztuki, rozmodlonym w służbowych regulaminach. Zakaz musi zatem pochodzić z wysoka, granica — być objawioną, a przyjętą żarliwym i o żadne racje ani pełnomocnictwa nie pytającym sercem, nie do zakwestionowania, jak nie kwestionuje się liści, gwiazd ani piasku pod stopami. Wiara musi się zmaterializować w realność całkowicie nieelastyczną, bezwzględną, a duch, w takim dopiero skrępowaniu, pokorny, lecz usiłujący w ciągłym posłuchu wyrazić świat i siebie, mając do dyspozycji jakże niewiele luzu inwencyjnego, w najwęższym paśmie swobody kreuje rzecz wielką. Dotyczy to wszelkich form sztuki, którym patronuje śmiertelna powaga, udaremniających dystans, ironię, drwinę — czy można drwić ze żwiru, z ptasich skrzydeł, z zachodów księżyca i słońca? Tak na przykład taniec jest swobodą tylko pozorowaną — tancerz udaje ją, w istocie najidealniej podporządkowany tyranii partytury, która reguluje każde jego z góry zakomponowane poruszenie, wyraz zaś indywidualny powstaje w największych szczelinach interpretacyjnego marginesu.

Zapewne, można znaleźć tak wzniosłe ograniczenie i poza religią, ale trzeba wtedy nadać im rangę aż sakralną, uwierzyć w to, że są konieczne, a nie wymyślone. Wiedza o tym, że można całkiem inaczej, odrzucenie konieczności nieodpartej na rzecz oceanu uświadomionych technik, stylów, chwytów, sposobów — skuwa myśl i ręce wolnością wyboru. Artysta, jak kosmonauta w przestrzeni bezgrawitacyjnej, wije się bezsilnie — bez zbawczego oporu pobliza, bez ratowniczych granic.

W owej wczesnej, biurokratycznej fazie mej twórczości jakże blisko doszedłem do tych źródeł sakralnych, z których bije sztuka! Za punkt wyjścia, więcej, za podstawę niewzruszoną przyjąłem legitymację, tak jak Michał Anioł przyjmował Trony, Raje i Serafyny. Myliłby się okrutnie ten, kto by sądził, że ja sobie wtedy swobodnie fantazjowałem. Byłem ochoczym niewolnikiem kancelaryjnej liturgii, niższym urzędnikiem Genesis, z pyzatego uczniaka stałem się przepisywaczem dekalogu, współczesnionego w kodeks postępowania, biurokrata, reglamentującym w administracyjnym natchnieniu Łaskę Służbową. Dzisiaj, w ponurej fazie twórczości świadomej, zapewne doprowadziłbym zaraz rzecz i temat do absurdu, wymyślając pozwolenia na dopuszczenie do ruchu galaktyk, a epokom geologicznym wystawiając świadectwo dojrzałości. Ale wtedy, gdy jak Michał Anioł o paznokcie, nie pytałem o to, skąd Organa biorą prawo przydzielania noworodkom papierów tożsamości, w tym stanie bezgrzesznym, w którym mi to w ogóle do głowy nie przychodziło, zrównałem niechcący Legitymację z Absolutem, i tak stanąłem na progu sztuki. Pilnując litery i pieczęci, strzegąc porządku numeracji blankietów uprawniających, akuratności podpisów nadających moc wykonawczą, byłem w harmonii przedustawnej z legitymacyjną ortodoksją, której wszelkie wątpliwości i wahania, jak pojęcia pozaskończone, muszą być doskonale obce. Pierwsze kroki moje były drobne, niepewne, ale we właściwym wiodły kierunku. Nigdy nie przekraczałem swych uprawnień, chociaż, a może właśnie dlatego, że nie wiedziałem, kim — to jest Czyją ręką — jestem. A więc, najpierw, nie wypełniałem imiennie gotowych już legitymacji — dowodów osobistych królów i kanclerzy. To nie należało do mnie, pozostawiałem puste miejsca na fotografie, nazwiska i podpisy przyszłych właścicieli. Dokumenty zaś, wystawione na okaziciela, trzymałem w osobnej, na dwa guziki zapinanej przegródce tornistra, żeby nie wpadły w niepowołane ręce. W kwestiach skarbowych byłem wyjątkowo przezorny, aby udaremnić w zarodku samą możliwość nadużyć czy malwersacji. Precyzowałem tedy sumę, ilość, siłę płatniczą środków monetarnych, od nieokreślonego zrazu, aż ogólnikowego złota przeszedłem do cegieł, płyt, sztab (asygnaty prezentowały rodzaj rysopisu sztaby złota, którą znormalizowałem zgodnie z podręcznikiem fizyki — wzorem była mi owa sztaba platynowo-irydowa, przechowywana w Sèvres pod Paryżem,

stanowiąca wzorzec metra) — określałem nawet rozmiary nuggettów, tych samorodków złotych z Maya i Londona, do wypłaty w worach skórzanych, wiązanych lassem na sztuki pociętym. Zdobywszy zaś, dzięki Dziwom natury prof. Wyrobka, niezbędne wiadomości, zezwalałem na wydanie rubinów, spineli, chalcedonów, chryzoprasów, miedzian—kitów i opali, ustalając na kontrolnych odcinkach blask, formę szlifu, ilość sztuk, produkowałem też książeczki ze specjalnymi gratyfikacjami — przy czym miewałem niełatwe do rozstrzygnięcia problemy. Tak na przykład, czy godzi się drogą urzędową obdarzać dajmy na to platynowymi zastawami? Szczęśliwy instykt służbowy podpowiedział mi, że się nie godzi, że w ogóle takie słowa, jak „dar”, „obdarować”, w pragmatyce występować nie mogą — co innego „wydać”, „przydzielić”, „wypłacić”. Złoty łańcuch można od biedy na szyi nosić, ale z zastawy, nawet platynowej, ktoś gotów jeść, rzecz zgoła nieprzystojna w obrębie ścisłego myślenia kancelaryjnego. O, nie żadna łańcuchowość powodowała mną, kiedy sypałem deszcze (ale przeliczone co do kropli) pereł, ulewy szmaragdów szcudrośliwe, albowiem problemy płatnicze stanowiły po prostu jeden z elementów nieuniknionych kreowanego przeze mnie Bytu. Wszak i przepustki specjalne tłoczyłem, też piętrzące się w stromą hierarchię — do Wrót Zewnętrznych, Średnich, a dalej do Drzwi Pierwszych, Drugich, Trzecich, znowu ze specjalnymi kuponikami do odrywania przez strażę. Kolejne zaś, coraz bardziej wewnętrzne owe przejścia, pasaże pilnie strzeżone, nazywane zrazu niższym językiem urzędowym, jawnie, a potem znane już tylko pod napomknieniem szyfrowanym, powoli a nieuchronnie implikowały wyłaniający się z nicości kształt. Budowlę Budowli, Zamek nie do ogarnięcia Wysoki, z nigdy nie nazwaną, nawet w przystępie śmiałości największej, Tajemnicą Środka — której można by się, przekroczywszy wszystkie drogi, progi i warty, wylegitymować!

Łatwo to tak teraz powiedzieć, ale na jakże odległym od owego Centrum obwodzie poruszałem się, wyprowadzanymi z mrówczą cierpliwością minuskułami i majuskułami, sumienny i pokorny skryba, kaligraf jakby średniowieczny, którego inkunabuł nie wiadomo jak ani kiedy przekracza granicę dzielącą książkę od Księgi, wytwór pisarczyka od pisarskiego utworu, kopistę od artysty!

Nabierając bieglności w formie, używając więc tuszu nawet czerwonego, a to dla poszerzenia skali służbowej, pozostawałem roztropnie, z instyktu widać, ostrożny w treści. Nie tylko nie szafowałem lekkomyślnie nadaniami królestw, ale i w jednym nie zezwalałem na to, by ktokolwiek bądź mógł nadmiernie urosnąć we władzę. Cóż mogło być prostszego od jakiegoś glejtu uniwersalnego, który otwierałby bez różnicy wszystkie, ale to wszystkie drzwi murów zamkowych i skarbowych lochów? Otóż, i niech mi to będzie poczytane na chwałę, takiego dokumentu nie wystawiłem nigdy. Zapewne — poniekąd i w egoistycznej trosce o własne doznania, jakkolwiek je tailem. Przypominam sobie książeczkę blankietowo—legitymacyjną, specjalnie wytłoczoną dla wysłannika inspekcyjnego z nadzwyczajnymi pełnomocnictwami. Każdy z kolejno inną kredką pokolorowanych blankietów do wyrwania rozszerzał krąg jego uprawnień. Łatwo też mogłem sobie wyobrazić, jak, kiedy okaże pierwszy, niższym zapewne funkcjonariuszom, taki bardziej zwykły, z dwiema trójkątnymi ledwo pieczętkami, klucznicy z niejakim ociąganiem bada przed nim odsuwali rygle; jak potem — odwróciwszy się nieco na bok — wyrwie drugi, zielony, a już i oficerowie na jego widok z lekka zeszywnieją, jak na stół w wartowni wyższego piętra ciśnie trzeci i czwarty, biały promiennie, z krwawą okrągłą Pieczęcią Główną — a oni wyprężą rozdygotane kolana, aby mógł przejść przez ich szpaler salutujący, ku Drzwiom Wysokim, które klucznik—generał, przed chwilą nieprzystępność uosobiona, w mundurze od złota kapiącym, teraz cały w pocie służbistości gorliwej, oburącz przed nim na baczość rozszarpnie, aż dźwięk odskakującego zamka zleje się w jedno z dźwiękiem diamentowym jego orderów, i będzie, starzec posągowy, blaskiem dobytej szpady cześć oddawał — nie osobie przekraczającego próg, ale niepozornemu grzbiecikowi formularzy blankietowych, jaki Wysłannik trzyma od niechcienia w rękę! Czyż

nie była rozkosznie łaskoczącą myśl o owej licytacji wspaniałej Przepustek, o tym wzwyż urastaniu potęgi smakowicie dawkowanej uprawnień, doskonale Legalnych? Żaden pejzaż batalistyczny rodem z Sienkiewicza, żaden grzmot armatni bitwy nie mógł się równać z cichym szmerem padających na stół szary, wśród szarych murów Zamku — Kuponów Mocy! Jakaż to magia kryła się w pieczęci głównej, której nikt — nawet ja sam! — nie był w stanie pojąć ni odgadnąć, albowiem środek jej wypełniał Znak w Sobie Tajny, to jest Szyfr Bez Klucza, o tym wręcz świadczący, iż okaziciel jest Wysłannikiem Nienazwalnego! Czyżby miał być Inspekcyjnym Stwórcy, egzekutorem samego Pana Boga? Nic o tym nie wiem. Przybywał znikąd i — wypełniwszy swoje zadanie — w nicość na powrót miał się obrócić.

Czy rzeczywiście tak kunsztownie i dokładnie wszystko to sobie wyobrażałem? I tak, i nie — albowiem zasadniczo wystawiając tylko legitymacje, poddawałem się zarazem ich przewodnictwu, pomiędzy mną a nimi powstawały związki i napięcia szczególne, które same z siebie już wysnuwały dalszy kierunek działań, ja musiałem tylko odgadnąć go domysłem. Biorąc rzecz literalnie, nie wymyślałem żadnych historii, nie konstruowałem fabuł inaczej aniżeli pod postacią mglistych otoków, powstawały same, zaludniając pustą przestrzeń między poszczególnymi dokumentami. Papiery były wszak węzłowymi punktami powikłanego dramatu służbowego, źródłem sił, poruszających jak słońce — planety, trony, straże i szeregi. Tym samym, choć niechcący, musiałem być zawsze obecny legitymacjami moimi w każdym miejscu i w każdej chwili, gdzie — w sytuacjach krytycznych — bez okazania właściwych papierów rzecz, państwo, świat, musiałyby zwinąć się w sobie, zwiędnąć i zamrzeć. Legitymacje nie były tedy cezurami akcji, ani razu nie nazwanej, ale jej stwórczyniami. Proszę zauważyć, jak nowoczesny charakter miało to moje gimnazjalne odkrycie. Najpierw, chociaż nieświadom prawideł sztuki stwórczej, potęgowałem wyraz i wrażenie, niczego, to jest żadnej osoby, żadnej sceny nie opisując wprost — wszystko, com wznosił w samokomplikującym się dramacie istnienia urzędowego, było pochodną, implikacją, przedłużeniem domyślnym; z poszczególnych legitymacji o bytach poza nimi obecnych można było i trzeba było wnosić tak właśnie, jak się z rosochatego cienia wnioskuje o drzewie, słońcu, prawach optyki, nieba i ziemi. Dalej, podobnie trochę jak antypowieść z drugiej połowy XX wieku, całą uwagę koncentrując — jej prekursor bezwiedny — na przedmiotach, w mym ascetycznym uniwersalizmie poszedłem dalej niż antypowieść, której nie pisałem nawet, ponieważ — w ostatecznym samoograniczeniu — wystawiałem jedynie formularze *in blanco*! Czyniąc zaś to, rezygnowałem nie tylko ze staroświeckich opisów tła przyrodniczego bądź urbanistycznego, z psychologii postaci, z tradycyjnych wątków i perypetii, zbędnych powikłań fabularnych, ale z całej anachronicznej już werbalistyki literatury, od zdań poczynając a na przydawkach i przysłówkach kończąc; żadnych, ni starych, ni nowych, nie używałem schematów, nie cytowałem myśli trafnych ani przekornych powiedzeń, bijąc pieczęciami, grafionem, zębatką za każdym razem w samo sedno tylko — albowiem dzięki rezygnacji tak wszechstronnej, pominięciom równie totalnym udowodniłem, że świat cały można wypowiedzieć milczeniem!

Polot mój kancelaryjny do tego prowadził, że nie dawały się owe papiery uszeregować wzdłuż jednej jakiegóż osi czasowej, albowiem pewne trwania (dynastyczne na przykład) reprezentowane były mnogimi, już to równoległymi, już to wichrowatymi wersjami, inne zaś układały się w wielowymiarowe aż archipelagi. Na lekcjach matematyki i łaciny, kiedy pod panującym na nich rygorem nie mogłem działać, udając posłuch profesorskiemu wykładowi, w myśli przeliczałem szeregi wystawionych w tym dniu legitymacji, delektując się z wolna kalejdoskopowymi całościami, na jakie się składały — ułożone w ciągi naprzemienne, wzdłuż których wyobrażnia mogła nabudować nieskończoną ilość wariantów konkretnego przebiegu wydarzeń.

Czym się w ogromie tego urzędowania mojego nie gubił? Nie prowadziłem przecież żadnych kartotek ewidencyjnych,— działając za momentalnym podszeptem geniusza formy, nie znałem więc dróg w stworzonym z papierów labiryncie i rzecz w tym tylko, czy błądziłem z należytych rozmachem. Pomyłki jednorazowe byłyby kancelaryjnymi po prostu, błąd drobny jest trywialny, to kleks na fotografii Bytu, lokalna skaza jego wizerunku wiernego, więc doskonale wtórnego. Dopiero gmach błędów, należycie skomplikowany, stać się może mieszkaniem dla ducha, siedzibą znaczeń autonomicznych, budowlą od pierwowzorów coraz mniej zawistą, wersją zjawisk, wyzwoloną spod naturalistycznego dyktatu — jednym słowem nową, opozycyjną wobec danej, Redakcją Istnienia. Kulminacją błędu jest, rzecz już jasna, system filozoficzny, czyli propozycja wartości, za które warto żyć i umierać. Oto droga wzwyż, wzdłuż której nieporozumienie staje się objawieniem, kłamstwo koturnowe — eposem, gwałt logice zadany — poezją, a uporczywość trwania w błędzie — najwyższą wiernością, do jakiej zdolny jest człowiek.

Mam nadzieję, że warunki owe spełniłem moją papieromachią gimnazjalną. Wystawiałem papiery, zredagowane tak głupio, że głupstwo ich w przewrotność urastało (jak wtedy, gdy spiskowcom przewrotów pałacowych przydzielałem legitymacje i pełnomocnictwa królobójcze), tak logice urągające, że — tracąc wszelki sens potoczny — lirycznego nabierały, płacząc numeracje dynastyczne, tasując katownie, skarbcę, sztaby i regulaminy, wyzwalałem rzecz z okowów fizycznych przestrzeni i czasu, a zaprzeczając jednymi dokumentami innym, łbami zderzając paragrafy, cofając koronacje, porody, kaźnie, jednym słowem — dopuszczając się z czystego rozpędu zbrodni *Crimen Laese Legitimationis*, stwarzałem szansę już eschatologicznej wykładni dramatów służbowych. Zapewne, były owe sprzeczności tylko śladami ręki pieczętującej, która w automatycznym transie działała, w oszalałym upojeniu, wszelako bystra przychylność domniemanego odbiorcy mogłaby nie tylko uładzić cały ów bałagan, ale nadać mu nowy, już piekielny sens, że nie przypadkowe to lapsusy, ale sejsmogramy bojów tajnych, sugerujące, iż nawet wewnątrz Biur samych nie panuje totalna jednomyślność i zgoda, ale że i tam zmagają się z sobą skrycie antagonizmy okrutne i namiętności zdradzieckie, że jedne Biura podkopują się chyłkiem pod uprawnienia innych, że i najwyższe nie panują samowładnie nad Pieczęcią Główną i kręgami przydanych jej, niższych, lecz krążą wokół niej, wokół nich, w szczepieniu i pomieszaniu zaciekłym, a te milczące obroty walk urzędniczych upodabniały się — przez bezwyjściowość swoją i bezapelacyjność — do wiekuistego wirowania światów. A ponieważ nie tylko błądziłem na potęgę, ale i powtarzałem się wciąż w dokumentach swoich, asystowały kreacji dwa duchy szalenie nowoczesne — Niejasność z Nudą pospołu.

Dlaczego jednak — spyta ktoś — śmiem domagać się takiej przychylności odbiorczej wobec gryzmołów tłustego gimnazjalisty, przecież i żart nie powinien przebierać miary? Odpowiem: już nazbyt wstydliwie niezbędność absolutną przychylności ludzkiej przemilczamy, mówiąc o sztuce, bo zarówno wychowujemy, jak i wychowywani jesteśmy w przeświadczeniu, jakoby dzieła nieznacznie tylko różniły się od grabi, w półmroku leżących. Ten, kto na nie nastąpi, dostanie w łeb, aż go jasność nagła omroczy, i nie inaczej ma być z dziełem znakomitym: tego, kto się doń weźmie, nagły, choć niespodziewany trafi zachwyty. Szlachetne to kłamstwo tak jest rozpowszechnione, że gdy parę lat po opisanych tu sprawach musiałem uciekać przed gestapo, ze „spalonego” mieszkania, zostawiając wśród rzeczy osobistych zeszyt z wierszami wykaligrafowanymi, do żalu za stratą, jaką poniosła kultura narodowa, domieszało się twarde przekonanie o owym udarze estetycznym, jakiego musieli doznać ci z tropicieli moich, którzy znali język polski. Jakiś czas potem, zmądrzały, rumieniłem się już na to wspomnienie, ale dlatego tylko, że doszedłem okropnej grafomańskości moich sonetów i oktaw — jakości więc ich haniebnej wstydziłem się do rumieńca, nadal jeszcze nie rozumiejąc, że jakość poezji nie miała w tej sytuacji żadnego znaczenia. Inaczej wyglądałby nasz świat, gdyby można wpływać w nim na dusze gestapowskie niechby i genialną poezją. Zgwałcić sztuką nikogo się

nie da — zachwycamy się nią, jeśli godzimy się być zachwyceni. Na to, co stanowi wtedy element wzajemnego dopingu, podania na cudze kolana i licytowania się w żyrowanych zachwytach, a więc szalbierstwa i załgania zbiorowego, stworzył nam już oczy Gombrowicz, ale jest tam coś nad to, i to w lepszym gatunku, mianowicie talent czytelnicy. Odczytać *Kopciuszka* jako bajkę cnotliwą potrafi bile dziecko, ale jakże bez wyrafinowania i Freuda dopatrzeć się w nim baletu perwersji, przez sadystę stworzonego dla masochistów? Pytanie o to, czy sprośność tkwi w bajce zakamuflowana, świadczy dziś tylko o naiwności pytającego. Niechybnie będzie potem twierdził, że detektyw Robbe-Grilletowski z *Gum* jest partaczem swego rzemiosła, bo taka jest wymowa dosłowna utworu, a niespójność zachowania się Hamleta wynikała z przejścia przez Szekspira zbyt wielu rozbieżnych elementów z poprzednich wersji tego dramatu. Za całą odpowiedź teoretyk nowoczesności pokaże palcem niebo, na którym — jeśli rzeczy brać literalnie — gwiazdy porozmieszczane są jak groch z kapustą, a przecież dobrze wiadomo, że układają się w zodiakowe postaci bogów, zwierząt i ludzi. Bo też w ogóle możemy dzieło uszlachcić bądź skazać na płaskość samym jeno ustawieniem, na scenie ducha naszego w czasie lektury, takiego tła, jakie mu przyporządkować raczymy. Nie jest to bierne tło, ale układ odniesienia, w którym patyk nienaturalnie przetrącony może okazać się starojapońską stylizacją gałęzi, a wyszczerbiony kamień — rzeźbą, materializującą ducha naszych pękających czasów. Więc w tym samym miejscu „błąd!” można krzyknąć „inkonsystencja!”, albo, na odwrót — „genialny dysonans!” — „otchłań, przez rozmyślne pęknięcie skorupy związków logicznych ukazana!” Zapewne, nie każdy pozwala sobie na arbitralne przyporządkowanie dzieła tła całkiem nowego, zajmują się tym specjaliści, którzy często też sami z siebie co i jak nie wiedzą, więc stąd spory, zwady i narady, a także kłopoty rosnące, bo artyści coraz niewyraźniej nie to, że pół-, ale już ćwierćgębkiem swoje cedzą, aby płody wysiłków ich kalejdoskopami semantycznymi się stawały. Zapewne — gremia i geruzje niezbyt są jeszcze przychylnie kreatywnym poczynaniom gimnazjalistów, ale skoro znamy już mechanizm zjawisk, wolno nam przynajmniej na równych z innymi prawach zabiegać o przychylność życzliwą, i to nie we własnym tylko interesie, podejrzewamy bowiem istnienie — w głębi zakurzonych bibliotek — wielu nie odkrytych Canettich i Musilów, wielu dzieł, które nigdy się do świetności nie zbudzą, jeśli im w przedstawiony sposób nie pomożemy.

Ale tego wszystkiego nie wiedziałem, dwunastoletni. Skrupulatny w zawężaniu uprawnień, monarszych nawet, sam bezimienny w tej pracy mrówczej, znikalem w stworzonym dziele, nie przekraczałem miary, nie dopuszczałem do inflacji Papierów, a dzięki tak bezwzględnie praktykowanej skromności sakralne zespałem z realistycznym. Sakralne, ponieważ założyłem odruchowo, że na Początku była Legitymacja; realistyczne, ponieważ działania te wyszeptywałem mi sam *Genius Temporis*. Jeżeli zatem majaczyłem mi gdzieś nawet Wszechdowód Osobisty, Najjaśniejszy Papier, ciężki od pieczętujących go czerwonych słońc woskowych, cały w girlandach wielobarwnych sznurów, poczęty *Summis Auspicis* Chaosu, w którym paragraf i kartoteki krążyły jeszcze w stanie wolnym od Drabiny Służbowej (tej, co w innym kontekście stała się Drabiną do Niebios), odtrącałem od siebie tę pokusę, te rojenia świętokradcze, chętkę łapczywego wdarcia się w Sedno, jak gdybym przeczuwał daremność podobnego zamachu, próby skazanej z góry na niepowodzenie, i tylko uparty w drobiazgowym uszczegóławianiu, roniąc w toku urzędowania to plik asygnat na sto worów grubego piachu złotego na okaziciela (tak, ale tylko tego, który zarazem okaże Pełnomocnictwo Rangi Piątej), to znów książeczkę, zeszytą srebrnym drucikiem, Kata II Kategorii, łącząc na swoim pulpicie Byt z Powinnością, pod osłoną murka podręczników podniosłem martwą z natury i jałową czynność biurokratyczną do rangi sztuki. Wzbiłem się na skrzydłach legitymacji nad szary padół i w swobodnym już szybowaniu wyrwałem z niebytu światy nieobjęte jednym ruchem pióra i dotknięciem zębatego budzikowej. A przeto, mając lat trzynaście niespełna, stworzyłem, skrzyżowawszy literaturę z plastyką (obydwu

wszak trzeba dla kreowania dokumentów), nowy kierunek, mianowicie legitymacjonizm — to jest twórczość sakralno–biurokratyczną z dwójpatronem metafizycznym, domyślnym, świętym Piotrem i Policjantem w jednej osobie, bo legitymacja po to jest przecież, by ją komuś okazać.

Nie wierzyłem, rzecz prosta, w dzieło moje — wszak bawiłem się tylko na lekcjach historii, geografii, a nawet, o hańbo, polskiego... a jednak... Nigdy, nikomu nie pokazałem ani różka najmniejszego tych papierów moich, i w taki wprawiłem się stan ducha, że gdybym znalazł, dajmy na to, na ulicy, legitymację na okaziciela, uprawniającą do wykopania skarbu spod Góry Piaskowej, może i oszalałbym z radości — lecz nie ze zdziwienia... Albowiem — bardzo trudno mi to wyrazić — było trochę tak, jakbym wiedząc, że nie produkuję Papierów Prawdziwych, zarazem czuł, że — jednak — jakiś blask Prawdy na nie pada. Że to nie jest całkiem i doskonale bezsensowne wszystko, chociaż równocześnie jest takie — ale tylko dosłownie: wiedziałem przecież, że nikt na asygnaty moje nie wypłaci nie to, że kubelka rubinów, ale grosza złamanego; lecz jeśli nie stwarzałem owych brzęczących wartości, kreowałem inne jakieś. Jakie? Wartości w sobie, jak katedry Orvieta i Sieny, które ateusz usiłuje pomniejszyć jakoś, aby je znieść mógł, powiadając, że są bardzo dużymi budynkami, przegowanymi czarno i biało na przemian, jak pasiasta pidżama... Zapewne — nieskończenie łatwiej można było wyśmiać i do zera zredukować moją katedrę, która nie była aż tak, jak tamte, materialna — nie wskutek nietrwałości budulca, a jedynie przez to, że tamte po prostu są, a moja była tylko przyrównywaniem, Albo, — jakby rzekł już współczesny cybernetyk — analogowym modelem wieloznacznym relacji, jakie się dają w świecie wyróżnić. Ale tego to już doprawdy nie mogłem ani dojść, ani zrozumieć. Czując przez skórę, że nikt się rzeczy, jakich ja nawet wyrazić nie zdołam, sam nie domyśli, a dojrzy tylko mój infantyлизм, milczałem, chroniąc Tajemnicę. Dzieła owego okresu przepadły, niestety, nawet najcenniejsze, jak dekret w sprawie Gimnastyki, z tłoczoną dwugroszówką serią rzadkich Małych Pieczęci, wzmocniony kawałkiem żółtego sznurowadła, które odciąłem od bucika na dużej przerwie, jak zezwolenie brania Upatrzonych w Niewolę, drukowane Czerwonym Szyfrem, z hasłami, odniesionymi do Klucza Tajnego I Klasy (o szyfrach wiedziałem głównie dzięki *Przygodom dobrego wojaka Szwejka*). Dzieła przepadły, ale droga pozostała — jako tyle obiecujący, tak wyraźnie ukazany kierunek.

Ponieważ całą moją kancelarię tak rozbudowaną uruchamiałem wyłącznie w gimnazjum (szkoda mi było na to czasu w domu — zresztą, nie miałbym po prostu dość cierpliwości, żeby tak siedzieć, a w klasie wszak musiałem), intensywne te prace nie uszczuplały domowego czasu. Bardzo dużo wtedy czytałem. Pamiętam będącą niejakim przecuciem *science fiction* *Wyspę Mędrców Buyno–Arctowej*; jakoś nie doszedłem do tego, aby przełożyć tę powieść ogromną na legitymacje.

Będzie teraz pewno zrozumiałe, że jako chłopiec tak zapracowany, a przez to roztargniony, pełniąc funkcję skarbnika w szkolnym samorządzie, nie mogłem nigdy zbilansować kasy i ojciec musiał mi dokładać do niej złotego albo i dwa miesięcznie. Nie defraudowałem sum społecznych, po prostu groszowe składki mieszały mi się jakoś z worami złota i pakami brylantów, którymi nieustannie dysponowałem, a powstający z tego bałagan prowadził do deficytów budżetowych.

Pilnując, jak prawdziwie powołany biurokrata, godzin urzędowych, nawet nie zaglądałem w domu do legitymacyjnych papierów. Między korepetytorem, Francuzką i kolacją zajmowałem się twórczością zupełnie odmienną: robiłem wynalazki. W szkole w ogóle o nich nie myślałem, zaabsorbowany biurowością, w domu natomiast jak za przeczuciem zwrotnicy wszystkie moje myśli ruszały w nową stronę; nie miałem w tym najmniejszych doprawdy kłopotów. Trudno mi też byłoby powiedzieć, które z obojga zajęć uważałem za bardziej doniosłe — byłem jak mężczyzna, mający dwie naraz kobiety, który umie doskonale podzielić siebie między obie kochanki; tu i tam byłem szczery, jak on, oddawałem się rzeczy

cały i lekki, ponieważ wszystko bardzo sobie dokładnie rozplanowałem albo raczej, bo się samo wszystko wybornie ułożyło. Wracając do domu, wiedziałem, gdzie mam wstąpić, żeby kupić drut, klej, parafinę, śrubki, papier ścierny, przy czym, jeśli pensyjka nie wystarczała, naciągałem albo hojnego z natury wuja, brata matki, też, jak ojciec, lekarza, albo kombinowałem. Wuj, którego zresztą nazywałem po imieniu, prawie jak kolegę, miał przystępy szczodrobliwości, które nie podobały się rodzicom. Kilka razy dostałem od niego pięćzłotówkę z Piłsudskim, której nie wkładałem do pularesu–podkówki, ale na wszelki wypadek w ogóle z garści nie wypuszczałem. Pamiętam, jak idąc przez miasto, ze spotniałą w garści monetą, czułem się zamaskowanym Harun al Raszydem, a mój wzrok, odbijający się o witryny sklepów, zmieniał w błyskawicznych ułamkach sekund srebrny kruszec na niezliczone ilości wystawionych rzeczy, na razie jednak żadnej nie byłem skłonny udzielić łaski zakupu, stwardniały wewnątrznie w nagłym skąpstwie milionerskim. Z reguły inwestowałem ów majątek w wynalazkach, które, całkiem jak u prawdziwych wynalazców, umiały każdą sumę pochłonąć bez śladu — i bez rezultatu. Jako twórczy urzędnik byłem spokojny, ponieważ namiętne urzędowanie nie jest możliwe, technika natomiast paliła się we mnie gorącym, świętym płomieniem. Składałem jej krwawe ofiary, z palców stale broczących, pooklejanych plastrami, uparty w klęskach, ze złamanym sercem i paznokciami nieraz, ale wciąż odzyskujący, z nowymi pomysłami, nową nadzieję. Długo budowałem silnik elektryczny, podobny zewnątrznie do starej parowej maszyny Watta z balansjerem; zamiast cylindra z tłokiem miał cewkę elektryczną, której pole magnetyczne wsysało do środka żelazny pręt. Specjalny przerywacz posyłał w jej uzwojenia impulsy prądu. Był to, jak się potem okazało, wynalazek wtórny, bo podobne motory już istniały, a raczej, przestały już istnieć jako niepraktyczne, niewydajne i zbyt wolnoobrotowe. Ale to oczywiście nie ma znaczenia. Wiem, że wykazałem wówczas po raz pierwszy chyba nadzwyczaj długotrwałą zaciekłość i przekonstrowywałem ów prototyp dziesiątki razy, nim wreszcie ruszył. A kiedy uczynił to, niezgrabny, poskręcany z fragmentów blachy wyproszonej u blacharza (który miał mały zakład w naszej kamienicy), wśród płataniny przewodów, płam olejowych, spalonych baterijek, rupieci oraz młotków i szczypiec (ledwo obeschła na nich krew masakrowanych niedawno wcale zabawek), siadłem i patrzyłem na zgrzytliwe, powolne, nie całkiem regularne obroty, na wahanie się dźwigni, na małe iskierki u przerywacza, brudny, zmęczony i triumfujący. Jeśli chwaliłem się później demonstrowaniem motoru domownikom, robiłem to, co zrobiłby na moim miejscu każdy chłopiec; ale najważniejsza była jednak owa chwila, kiedy spełniło się, dokonany został akt twórczy, i nie miałem już nic do roboty — motor szedł, utykając, chyba do zmięzchu, a ja tylko patrzałem. Była to, jeśli tylko się nie mylę, satysfakcja bardzo szczególna, nie wymagająca podczas swego trwania żadnych pochwał z zewnątrz, żadnych świadków nawet. Nikt nie był mi potrzebny, ponieważ stało się. Watt ani Stephenson nie mogli zaznać przeżyć bardziej intensywnych. Rzecz jasna, to dokonanie nie mogło wystarczyć. Łaknąłem nowych. Bardzo długo i cierpliwie zajmowałem się elektrolizą wody, dosypując do niej najrozmaitszych substancji, nie w nadziei, że na elektrodach ukaze się kiedyś złoto. Nie tylko wiedziałem, że tak się nie stanie, ale nie na złocie mi zależało. Chodziło o stworzenie substancji w ogóle nie istniejącej; zdrapywałem brunatne, rude, szare proszki z elektrod i starannie chowałem je do pudełek. Przekonałem się wreszcie, że moje wiadomości są bardzo niedostateczne. Zacząłem bardziej systematycznie budować elektryczne aparaty, mając za przewodnik grubą książkę niemiecką, drukowaną gotykiem, *Elektrotechnisches Experimentierbuch*. Wprawdzie od dwóch lat uczyłem się już w gimnazjum niemieckiego, ale nie umiałem przeczytać w tym języku, to jest zrozumieć, ani jednego zdania. Zacząłem więc rozłamywać niemiecki tekst przy pomocy słownika, trochę jak Champollion — hieroglify egipskie — była to syzyfowa robota. W każdym razie dała rezultaty, ponieważ przestudiowałem w końcu ową książkę od deski do deski i zbudowałem maszynę Wimshursta oraz induktor Ruhmkorffa. Kochałem się bowiem, dla zagadkowych

powodów, w potężnych elektrycznych wyładowaniach. Byłem bardzo nieporządny z natury, ogromnie niecierpliwy, niedbały, i tym dziwniejsze, że potrafiłem zdobywać się na samozaparcie, na mułowate powtarzanie prób, kiedy dziesiątki ich nie dawały żadnego rezultatu. Dwa razy powtarzał się wielomiesięczny, krwawy trud — krwawy dosłownie, bo palce, kostki rąk miałem — niezgrabny manipulator — pokrojone, powiązane brudnymi bandażami, kiedy nawijałem na lepione przez siebie małe papierowe cewki kilka kilometrów uzwojeń, każdą ich warstwę zalewając parafiną, przekładając woskowanym papierem, a jeszcze gorzej szło z maszyną elektrostatyczną, ponieważ nie mogłem zdobyć właściwego materiału na jej tarcze. Najpierw próbowałem wykorzystać w tym celu stare gramofonowe płyty, pochodzące z kinematografu, jednostronnie nagrywane, o średnicy bodajże 60 centymetrów, ale okazały się na nic. Na koniec dostałem płyty z bardzo starej i nie działającej już maszyny Wimshursta, wyciąłem z nich mniejsze płyty laubzegą, odrzucając pozieleniały od starości ebonit brzeżny, toczyłem je na motorku elektrycznym w chmurach śmierzącego dymu i czarnego kurzu, który wlaźił we włosy, oczy, zęby, za paznokcie. Ostatecznie maszyna została zbudowana. Zabawne, że zarazem miałem wciąż kłopoty na robotach ręcznych, ponieważ wszystko, co tam robiłem, było trochę krzywe, chwiejne, niedbale wykończone i stale groziły mi tam złe stopnie.

Potem zbudowałem jeszcze transformator Tesli i napawałem się niezmiernym pałaniem próżniowych rurek Geisslera w polu wysokiego napięcia. W owych czasach miejscem obleganym stał się mały sklep z naukowymi pomocami w pasażu Hausmanna. Pamiętam, że niewielka, ale o ileż doskonalsza od mojej maszyna Wimshursta kosztowała tam 90 złotych — była to cena ubrania. W lata później, na pierwszym roku medycyny pierwsze pieniądze, jakie w życiu otrzymałem — stypendium na Instytucie Medycznym (był to rok 1940) — obróciłem w całości na zakup rurek Geisslera. Moja maszyna Wimshursta działała jeszcze wtedy. Przepadła dopiero po wybuchu wojny w 41 roku.

Zajmowałem się też teorią. To jest, miałem plik zeszytów, w których zapisywałem wynalazki ze „szkicami technicznymi”. Niektóre pamiętam. Był tam przyrządek do rozcinania ziaren gotowanej kukurydzy, aby przy jedzeniu łuski pozostawały na kaczanie, samolot w kształcie olbrzymiego paraboloidu, który miał latać nad chmurami, gdzie skupiane tym paraboloidalnym wklęsłym lustrem promienie słońca zamieniały modę zbiorników w parę, napędzającą turbiny śmigieł; rower bez pedałów, na którym jechało się „galopując” — jak na koniu, siodełko chodziło jak tłok w cylindrze, w rurce pustej, a popychany przez nie zębaty trzpień miał obracać napędzające koło zębate; źródłem ruchu był więc ciężar siedzącego, który miał unosić się i przysiądać jak w strzemionach. W innym rowerze był* napęd na przednie koło, dzięki temu, że kierownica poruszała się wahadłowo na boki, połączona drążkami z mimośrodem, jak w lokomotywie. Było tam auto, w którego silniku rolę zapłonowych świec pełniły... kamyczki od zapalniczek. Było i elektromagnetyczne działo — zbudowałem nawet mały model, potem okazało się, że już dawno przede mną je ktoś wymyślił. Wiosło z łopatką o kształcie parasola, które pod wpływem oporu stawianego przez wodę samo na przemian otwierało się i zamykało. Największym moim wynalazkiem była niewątpliwie przekładnia planetarna, wynalazek tak samo wprawdzie wtórny jak wiele innych, tyle że mnie nie znana była nawet jego właściwa nazwa, ale konstrukcja ta była przynajmniej realna; używana jest i do dzisiaj. Nie obyło się też, rzecz prosta, bez rozmaitych modeli *perpetuum mobile*, których powymyślałem kilkanaście. Miałem zeszyty poświęcone wyłącznie konstrukcjom samochodowym — na przykład, w jednej cztery małe silniki trójcyldrowe, na wzór lotniczych, osadzone były w obręczach kół; wariant tego pomysłu został wykorzystany realnie, tylko zamiast silników spalinowych zamontowano wewnątrz kół samochodu elektromotory. Pamiętam jeszcze silniki dwutłokowe, a nawet coś w rodzaju rakiety, którą miał napędzać rytmicznie powtarzający się w spalinowej komorze wybuch gazów; od razu o tym też wynalazku pomyślałem, przeczytawszy w roku chyba 44 czy 45 o

mechanizmie niemieckiej broni odwetowej V-1. Oczywiście nie znaczy to, abym wynalazł V-1 przed Niemcami, po prostu sama zasada funkcjonowania była nieco zbliżona.

Ponadto projektowałem różne maszyny bojowe — jednoosobowy czołg, coś w rodzaju stalowej płaskiej trumny na gaśnicach, z karabinem maszynowym i motocyklowym silnikiem, czołg-pocisk, czołgi poruszające się na zasadzie śruby, a nie dzięki ruchowi postępowemu gaśnic (są już takie traktory), samoloty, mogące pionowo startować, dzięki przemieszczaniu silników, raz napędzających, a raz ciągnących pionowo w górę — i mnóstwo innych, wielkich i małych machin, urządzeń, wypełniających duże czarne zeszyty, a także mniejsze, oklejone papierem marmurkowym. Rysowałem porządnie, ale naturalnie z fantastycznymi metryczkami, na których figurowały zmyślane dane liczbowe i inne ważne technicznie szczegóły.

Zarazem rosła moja biblioteka, obfitując coraz bardziej w książki popularnonaukowe, rozmaite Dziwy Przyrody, Tajemnice Wszechświata, więc równolegle zapełniały się inne zeszyty, w tych projektowałem nie maszyny już, ale zwierzęta; pełniąc, per procura, rolę zastępcy ewolucji, jej konstruktora naczelnego, planowałem rozmaite okropne drapieżce, pochodne znanych mi brontozaurów czy diplodoków, z tarczami rogowymi, piłowatymi zębami, rogami, a nawet usiłowałem przez czas dłuższy wymyślić zwierzę, które by zamiast nóg miało koło, przy czym taki byłem sumienny, że zacząłem od rysowania jego szkieletu — ażeby wyobrazić sobie, jakby powinny się przedstawiać w materiale ścięgien i kości elementy pożyczone z lokomotywy.

Rozpisując się tak szeroko nad moimi pracami konstruktorskimi w niższym gimnazjum, przedstawiając odkrywanie od dawna znanych Ameryk, z podkreśleniem trudu, jakiego te ciężkie roboty wymagały, nie zapominam o tym, że wszystko to było przecież zabawą. Oporów do pokonywania przysparzałem sobie sam, mierzyłem siły na zamiary, nieraz zbyt optymistycznie, bo odnosiłem też porażki, na przykład, kiedy usiłowałem powtórzyć Edisona i zbudować fonograf, a chociaż wypróbowałem wszelkie możliwe rodzaje igieł, membran, wałków do ciasta, wosków, parafiny, staniolu, chociaż do ochrypnięcia nawrzeszczałem się nad tubami moich kolejnych fonografów, nie udało mi się doprowadzić do tego, aby któryś skwitował tak cierpiętnicze wysiłki choćby jednym, słabutkim skrzeknięciem utrwalonego głosu. Ale, powtarzam, było to zabawą; wiedziałem o tym i nawet zgadzam się dzisiaj z sobą, dwunastoletnim, w takim osądzie, z kilkoma zastrzeżeniami. Epoka dewastacji, niszczenia przedmiotów, jakie wpadały mi w ręce, nie przeszła w następną, konstrukcji, sposobem nagłym a niespodziewanym. Połączył je okres przejściowy, teraz, jak mi się zdaje, ciekawszy, jako fenomen, od nich obu — prac pozorowanych. Tak więc, budowałem przez dłuższy czas — przed wielkimi czynami technicznymi — aparaty radiowe, stacje nadawcze i odbiorcze, które działać ani nie mogły, ani nie miały. Złożone ze starych szpilek od nici, spalonych lamp i kondensatorów, z grubego miedzianego drutu, opatrywane możliwie znaczną ilością poważnie wyglądających gałek i pokręteł, montowane na deseczkach, w blaszanych pudłach po herbacie, jeśli, jako naturalistyczne, pozorujące kopie prawdziwych radioaparatów, nie zadowalały mnie swym wyglądem, jeżeli nie dość mi imponowały, w instynktownej potrzebie zasygnalizowania ich ważności wtykałem między owe płataniny kunsztowne tu jakąś blaszkę świecącą, tam jakąś specjalnie powykręcaną sprężynę z budzika, nasycając budowane poty, aż zmysł niewiadomy podpowiedział mi, że już dosyć, że wymową pseudoaparatura sprostała moim wymaganiom. Jeszcze raz powtórzę: bawiłem się. Niemniej, dziwnie podobne do moich ówczesnych konstrukcje można znaleźć dzisiaj na wystawach plastyki. Byłżebym prekursorem także i na tym polu? Myśl nazbyt już schlebająca, tym bardziej że przypominam sobie niedawną przygodę na wystawie rzeźby abstrakcyjnej. Centrum ekspozycji zajmowały pałubiate i preclawatodziurawe antytorsy i antyakty, na ścianach zaś wisały collage (czy nie można nazwać ich po prostu sklejkami) różnego formatu i pochodzenia. Przechodząc obok napiętych na sztalugi, zupełnie czystych płócien, podpartych tylko w paru miejscach od tyłu

kółeczkami, że się prześcieradłana płaszczyzna załamywała geometrycznie, obok oprawnych w ramy zlepków form szarobrunatno–zielonkawo–zgrzebnych, w których docieklive oko tylko całkiem z bliska mogło wykryć genealogię tworzywa — utożsamiając jakieś strzępy sieci znieruchomiałej pod mastyką czy klejem, ostrużyny metalowe, blaszki sprężyniaste — stanąłem w pewnej chwili przed kolejnym eksponatem. Był wcale spokojny, jakby twórca jego już wstępne zamierzenia swe osadził tłumiącym powściągiem; dzieło owo posiadało rodzaj ramy prostokątnej, wykonanej z blaszanej listwy; mniej więcej w dwu piątych odległościach od brzegu dolnego, w proporcji złotego cięcia zatem, przekreślała je niedbale przymocowana sztabka, rodzaj zwornika, a nad ową linią główną rozpościerała się jałowa płaszczyzna blachy starej do zgrzybiałości, z trzema, prawie symetrycznymi otworami pośrodku; wywiercone na wylot, ziały w pustkę, otoczone, każdy, rodzajem smągło–siwej aureoli. Istne gwiazdy ośleple, dziury po słońcach wybitych! Myślałem jeszcze o technice szczególnej, jakiej użył artysta, aby tak naturalnie opylić otwory blednącą otoczką coraz słabszej, w niebyt z wolna cofającej się spopieliney, o kunszcie, z jakim całą płaszczyznę blachy wyzarzył, była bowiem zarazem zglejowana i miejscami szorstko–gruzłowata od działania płomieni; szukałem tedy tabliczki z nazwą tego studium i autorskim imieniem, ale nie było jej; aż, zamrugawszy raptownie oczami, zorientowałem się, że zaszło nieporozumienie. Wystawa mieściła się w dużej — pięknie sklepionej piwnicy, eksponaty wisiały na jej ścianach nie otynkowanych, i jak zwykle w takim miejscu, tu i ówdzie tkwiły we wnękach cegły drzwiczki przewodów kominowych. Stałem właśnie przed takim szybrem, przyrdzewiałym i opatrzonym w rygielek nadwichnięty. Natychmiast też estetyczna luna, jaka biła dotąd w moje chętne oczy z owego szytora przyćmiła się, gasnąc, on, zdemaskowany, uskromniony nagle, stał się banalnym blaszyskiem kominowego przewodu, a ja w niejakiej konfuzji oddaliłem się dosyć szybko z tego miejsca, aby przed dziełami już autentycznymi na powrót wprawić się w odpowiedni stan, to jest, dostroić ducha do wymagań, stawianych przez abstrakcyjną twórczość.

Rozważywszy ową przygodę, doszedłem do wniosku, że nic nie było w niej hańbiącego; jeśli ktoś, to nie ja ponoszę odpowiedzialność za łatwy ześlizg w omyłkę. Nie takie rzeczy widywało się na podobnych wystawach; pamiętam też, jak pewien znawca, miłośnik prawdziwy, choć, lojalnie przyznaję, odrobinę krótkowzroczny, na innej wystawie, pośród licznie prezentowanych brył i bul szarych kamiennie bądź gipsowo białych, ruszył nagle energicznym krokiem ku pewnemu postumentowi, tuż przy wyjściu stojącemu, skąd szczególnym kolorem i walorem ciągnęła oko niewielka obrotowa bryła o splotach rytmicznych powierzchni. Wpół drogi zamarł, drgnął i powoli zawrócił, była to bowiem zwyczajna chałka, pytlowany wytwór piekarski, który pani, pełniąca obowiązki kasjerki, położyła na pierwszym bliskim miejscu, udając się po herbatę. Cóż się więc takiego dzieje właściwie ze sztuką, że dopuszcza możliwość równie humorystycznych przedstawień? Czyżby dostarczycielem jej aktualnie modnych produktów mógł być zarówno kominarz, piekarz, jak i bawiące się dziecko? Rzecz nie jest aż tak prosta. Dawny artysta produkował przedmioty, niezbędne społecznie; były to narzędzia usług, co prawda swoistych, bo pomagały zmarłym przenosić się do wieczności, zakłębom — dokonywać się, modłom — zyskać liturgicznie nakazaną pełnię, kobiecie bezpłodnej — począć, bohaterowi — otrzymać sakralne wyróżnienie. Estetyczność owych narzędzi była ich składową, dopingującą działaniem, wspomagającą je, lecz nigdy — dominantą, samodzielnością pozaużytkową. Miał więc artysta wyraźne swoje miejsce w gmachach metafizyki religijnej czy państwowej, był inżynierem — wykonawcą tematu, ale nie jego autorem; autorstwo bowiem tematyczne przypisywano Objawieniu, Absolutowi, Transcendencji; stąd bariery srogich ograniczeń, o których tyleśmy mówili, stąd także — tautologiczność sztuki ówczesnej, która nie mówi wszak nic nowego, ponieważ powtarza treści na pamięć, doskonale znane: Ukrzyżowanie, Zwiastowanie, Wniebowzięcie, akt płodzenia w symbolach priapicznych, walkę Arymana z Ormuzdem.

Osobowość swą, geniusz niepowtarzalny, artysta, aby tak rzec, przemycił w głąb płócien czy rzeźb i ołtarzy, tym potężniejszy talentem, w im większym stopniu wynalazczość jego umiała mimo niewolnego podporządkowania się liturgicznej recepcie, w szczupłym polu dozwolonego, to znaczy — nieskodyfikowanego do końca — ujawnić swoją obecność, niezliczonymi — przecież — sposobami. Mógł bowiem i rozruszyć nieznacznie skamielinę dogmatu, rozedrgać ją, nadać mu rezonans, mniej czy bardziej aluzyjny, ze współczesnym światem realnym, mógł, na odwrót, ukryć siebie w dziele systemem dysonansów, zgrzytów, ledwie wyczuwalnych, a przecież obecnych, w których to interpretacjach możemy się zresztą dzisiaj mylić całkowicie, ponieważ to, co dla nas jakby już rozmyślnie naiwne, humorystyczne nawet w jakichś postaciach świętych wczesnogotyckich, wcale nie musiało być takie dla żyjących podówczas ludzi. Co prawda, chętnie obejrzałbym minę niejednego z owych twórców, kiedy sam na sam obcował z powstającym obrazem. Ten szmugiel osobowości w obręb dogmatyki metafizycznej wydaje mi się sprawą fascynującą, przeczuwam bowiem w licznych arcydziełach obecność aktywną twórcy jako przewrotność swoistą, jako podświadomością może tylko dawkowane mikroskopijnie bluźnierstwo, którego szczypta jadowita właśnie potęguje jeszcze, paradoksalnie, oficjalnie świętą wymowę tematu. Ale trzeba o tym zamilczeć, tu przynajmniej. Epoka minęła, dom metafizycznej niewoli runął pod pchnięciami technicznej cywilizacji, i artysta okazał się straszliwie wolny. Zamiast dekalogu tematów, nieskończoność świata, zamiast objawienia — poszukiwanie, zamiast nakazu — wybór. Powstają ciągi ewolucyjne: akt dosłowny, akt z gruba ciosany, kamienne uogólnienie ciała, napomknienie o nim — geometryczne, fragment, odrą—bek, ruina torsu czy głowy, nareszcie — ktoś, nad wyschlłym łożyskiem rzeki, wyróżnia pewien głąz z miliarda otoczków dla szczególnej formy i niesie go na wystawę. Obróbka nie jest konieczna, skoro wystarczy selekcja. W ten sposób — niechcący jak gdyby — od losu jako Opatrzności Wszechwiednej, przechodzi się do losu jako teorii statystycznej, ślepego skotłowania sił, obrabiających głązy w rzeczonym nurcie, od Stwórcy Świadomego — do stwórczego trafu, od Konieczności do Przypadku.

Nie tylko artysta cierpi od nadmiaru swobód; odbiorcy są w nie lepszej sytuacji. Toczy się tedy swoista gra artystycznych propozycji oraz ich aprobat bądź odrzuceń. Nad światową szachownicą takich rozgrywek unosi się, odganiany egzorcyzmami znawców i fachowców, do udręki uprzykrzony demon powszechnej niepewności. Znany malarz wystawia sześć doskonale czarnych płócien; czy to kiepski żart, wyzwanie czy koncept dozwolony? Lodówka bez drzwi, na rowerowych kołach, w pasy malowana — czy tak można? Krzesło, trzema nożami przebite — wolnoż tak?

Ale cóż znaczą podobne pytania; skoro się to wystawia, skoro są widzowie i nabywcy, i krytycy—apologeci, za lat kilkanaście sprawa spetryfikuje się w podręcznikach historii sztuki jako okres już miniony, nieodwracalny. Niepewność trwa wszakże, dlatego dzieł nie nazywa się po imieniu, ale zaopatruje każde furtką odwrotu interpretacyjnego: to są, słyszymy, poszukiwania, nowe próby, eksperymenty. Przyszły historyk dwudziestowiecznej sztuki będzie mógł nie bez uciechy skonstatować, że ten dla niego już archaiczny okres nie płodził żadnych omal dzieł, bo same tylko ich propozycje.

Tymczasem artysta, otoczony przedmiotami wyłącznie użytecznymi, czyni je polem eksploatacji. Wszystko służy do czegoś — do wysłuchania audycji, do ogolenia się, przejechania z miejsca na miejsce, zmielenia mąki lub wypieku chleba. Można by przetoczyć kamień z młyna na wystawę, lecz nikłość osobistego wkładu w ten akt kreacyjny jest deprymująco oczywista. Trzeba coś zrobić z przedmiotem, odjąć mu funkcję, jako reszta, z musu niejako, pozostanie czysty wyraz, sama estetyczność. Jakoż pojawiają się „maszyny do niczego”. Ja też je budowałem. Nie jako prekursor, ale jako dziecko. To artysta współczesny próbuje stać się dzieckiem w sercu cywilizacji, w dziecku odnaleźć zbawienne ograniczenia. Już tylko ono bowiem nie zna zwątpień, nic nie wie o potopie konwencji, tylko jego zabawa

jest jeszcze śmiertelnie poważna. Czy jednak znajdzie to, czego szuka, w dziecku ukryty przed bezdnią nadmiernych swobód? Artysta pragnie wrócić do prapoczątku, tam, gdzie praca była równocześnie i zabawą, i aktem twórczym, gdzie czyn stanowił własną swoją zapłatę, poza sobą bezcelowy, samosłużebny — tak, to był stan, w którym wziętem się do produkowania pseudoaparatów. Budowałem je, bo były mi potrzebne, a były mi potrzebne do tego, abym je budował. Było to zamknięcie równie szczelne, jak najdoskonalsze z możliwych — zamknięcie wiary, która powiada, że jest Wszystkim — ale ów upajający circulus vitiosus był naturalny, ponieważ miałem dwanaście lat. Robiłem wszystko, co umiałem, nie ściagałem żadnych celów realnych, a jedynie własny mój, dwunastoletni pułap, nie ograniczałem się przecież, wprost przeciwnie, to była moja wolność najwyższa, moja gimnazjalna kulminacja. Jeśli była zawężona, zamknięta, to tylko przez naturę, przez wiek po prostu, w przeciwieństwie do artysty nie starałem się wcale być dzieckiem; czymże innym mogłem wtedy być? Nieszczęsny artysta, szukający granic w dziecku, nie mieści się w nim. Prawda, że to spokojna bezwzględność wiary wyrwała człowiekowi z ust słowo credo, quia absurdum est. I prawda, że nie ma nic 'bardziej absurdalnego wewnątrz cywilizacji, która jest piramidą służących człowiekowi maszyn — od maszyny, która ani jemu, ani nikomu nie służy. Rezultaty schodzą się jednak w absurdalności tylko, ponieważ różne były do nich drogi. Nie jest dobrze, jeśli bułkę, kamień rzeczny i drzwiczki od pieca można mylić z dziełami sztuki. Nie jest dobrze, jeśli powiększony mikrofotogram szlifów krystalicznego albo zabarwiony preparat tkankowy, albo jonami srebra opyloną kolonię wirusów, widzianą przez elektronowy mikroskop, można postawić wśród płócien taszystowskich, abstrakcyjnych, na równych z nimi prawach. To nie znaczy wcale, aby mi się abstrakcyjne kompozycje malarskie nie podobały; przeciwnie, bywają świetne, ale jeszcze lepsze można właśnie odnaleźć wśród laboratoryjnych preparatów albo na szerniałych płatach kory w lesie, którą białorytowym rytmem biologicznym wyhaftowała jakaś pleśń. Nieszczęście sztuki współczesnej nie w tym wcale tkwi, że została wymyślona, wprost przeciwnie, martwa i ożywiona przyroda roi się od podobnych „kompozycji abstrakcyjnych”, zna je mikrobiolog, geolog, matematyk, ich pokłady tkwią w pseudomorfozach starych diabazów, w mikrostrukturze ameb, w żyłkowaniach liści, w chmurach, w formacjach skał-świadków wietrzejących, mistrzami i prekursorami na tym polu są dwaj wielcy rzeźbiarze-niszczyciele i konstruktorzy zarazem, Entropia z Enthalią, ten zaś, kto nie chce z nimi rywalizować (jeśli, jak mało kto zresztą, zrozumie, że w końcu przegra), a szuka ratunku w powrotach ku słodkiej dzikości jaskiniowej, chowa się w dziecku, w prymitywie — daremnie, ponieważ neandertalczyk i dziecko działali i wcześniej, i autentyczniej.

Ale właściwie jakim prawem mówię to wszystko? Żadnym, odpowiadam od razu. Można się ze mną nie zgodzić, tym bardziej że nie potrafię zaproponować żadnej nowej niewoli, żadnego zamknięcia zbawiennego. Wówczas trzeba będzie, niestety, przyznać, że byłem jednak wybitnym prekursorem, nie tylko ja, ale i moi koledzy, nawet z powszechniaka, którzy rozbełtując patykami kałużę z kroplą rozlanej nafty, tworzyli momentalne, a wspaniałe kompozycje kolorystyczne. Byliśmy wielkimi, choć zasmarkanymi prymitywami, a moje pseudoradia są wobec „mobili” tym, czym Bosch dla nadrealistów. A jakie kompozycje wychodziły nam wcześniej jeszcze z grysiku, przełamany na talerzu szpinakiem! Zresztą, jeśli obowiązuje wsteczny bieg, a dyrektywą najmodniejszą okaże się turpizm, pozwolę sobie przypomnieć, tym razem z dumą, zasiusianą pozytywkę. Czy ów twór kaleki, powstały przez wypełnienie mechanizmu muzyki zegarowej — niską substancją cielesnego pochodzenia, czy rezultat takiego starcia myśli newtonowskiej (zegarowość chodu niebios to jej idea naczelna) z pierwiastkiem rozkładu animalnego, jednym słowem — czy skrzyżowanie Idei z Ekskrementem nie stanowi istnego fenomenu w prekursorstwie, więcej w profetyczności, która głosi katastroficzny nihilizm? Deterministyczną konieczność .martwej melodyki zanegowałem wszak, czteroletni, aktem wyboru prawdziwie

egzystencjalistycznego, otwarcie opowiadając się za wolnością zwierzęcą, policzkując, samym już majtek rozpięciem, tysiąclecia mrówczych cywilizacji? A przy tym, doskonała nieużyteczność, a więc bezinteresowność czysta owej kreacji spontanicznej... Ale tak można by bez końca. Nie wszystko jest kpina, ponieważ wszystko okazało się konwencją, także język, także alfabet, także reguły składni i gramatyki; i jeśli się pole dozwolonego dostatecznie tylko poszerza, jeżeli uzyska się zgodę jakąś, rodzaj choćby tymczasowej akceptacji znaczeń, przypisanych obiektowi dowolnemu, wszystko absolutnie da się wyrazić — przy pomocy dowolnego znaku, symbolu, przedmiotu, obrazu. Będzie można wystawiać odcięte palce, krzesła, posiadające zamiast oparcia — klatkę piersiową i kręgosłup szkieletu ludzkiego lub jego kościane, a nie drewniane nogi; powiększoną, utrwaloną cebulą — na myśl przywoływać symptomatykę epistemologiczną materii kosmicznej, to jest wielopoziomowość jej i zarazem nieskończoność poznania, które jest kolejnych łupin zdzieraniem; znikła bowiem dawniej jednoznaczna w swym odniesieniu do prawd Objawionych umowa społeczna, i nie ma już takiego śmietniska, którym, w oświetleniu i opowie odpowiedniej, nie dałoby się wyrazić domyślnej jakiejś, ciemnej, może aż osąd cywilizacji oznaczającej treści. Bo też powstało zaciemnienie, zamglenie, niewyraźność informacyjna, w której własnym, smutnym blaskiem sił drgają tu i ówdzie dzieła pojedyncze, ale cały ów obszar budzi irracjonalne tęsknoty za wyzwoleniem ze swobody nazbyt dowolnej — co od dawna wszelako nie należy do rzeczy, ponieważ nie o sprawach dorosłych, ale o dziecku mowa. Wróćmy więc do niego, tak doskonale, jak się tylko da, niepokodzeni.

VII

Niewiele już pozostało mi do opisanego, a cały tłum pominiętych przedmiotów domowych i ulic, którymi chodziłem, natarczywie domaga się jednorazowego choćby nazwania. Co właściwie tak urzekającego jest w rzeczach i kamieniach, które otaczały w dzieciństwie, że posiadają walor aż magiczny, z niczym nie porównywalnej jedyności? Skąd to ich kategoryczne żądanie, abym dał świadectwo, po zagładzie w chaosach wojny i na śmietnikach, ich istnienia? Ledwo kilka lat po przedstawionych tu sielskich czasach przychodziło zazdrościć martwym rzeczom trwałości, z dnia na dzień stawały się urągowskimi, kiedy wybierano spośród nich ludzi, a nagle sieroctwo, bezużyteczność opuszczonych krzesel, lasek, bibelotów stawała się monstrualna. Doprawdy wyglądało to tak, jakby przedmioty rywalizowały z żywymi, oporniejsze od nich, mniej zawzięte od katastrof czasu, jakby dopiero po wyzwoleniu od właścicieli nabierały siły i wyrazu — dosyć wspomnieć wózki i miednice na barykadach, okulary, przez które nie było komu patrzeć, stosy listów, po których się deptało. Ale chociaż zyskiwały, w wojennym krajobrazie, moc niesamowitych znaków, nie miałem im tego nigdy za złe. Wierzyłem w ich bezwinną. Zostało mi nienaruszone przez ogień i czas bezrozumne przywiązanie do starej fajansowej sowy z biblioteki ojca, do lwa i tygrysa, tych ciężkich, pięknych zwierząt z czarniawego brązu, do szachów, których królów i chłopaków o tatarskich rysach wyrzeźbił ojcu sąsiad—jeniec w niewoli rosyjskiej 1915 roku, do obu zegarów—psów z kredensu matki, pokazujących godziny obrotami wylupiastych oczu. Pamiętam w banalnej, mieszczańskiej bardzo sypialni rodziców jedną szybką lufcika, w której ział okrągły otworek, z biegnącymi ku ramie liniami pęknięć szkła. Opowiadano mi, że wleciała tamtędy kulka podczas walk w 1918 roku; szukałem więc, roztropne dziecko, śladu jej zabłąkanego lotu w suficie, ale był gładki i niepokalany. Zatynkowano przestrzelinę. Tak mi mówiono — ale czy to nie umiałem uwierzyć, czy też po prostu nie chciałem, dosyć, że w mieszkaniu tak spokojnym, tak zwykłym, pełnym sytego mieszczańskiego dostatku, wzrok mój nieraz zwracał się ku owej małej szybce, pod samym prawie sufitem, nie wiadomo czym właściwie ciągnącej oczy. Otwór był niewielki, widocznie jakoś nie opłacało się jej zmienić i została taka przez cały okres międzywojenny. Czy była dla mnie czymś zatrważającym, jak ślad stopy na wybrzeżu bezludnej wyspy — dla Robinsona? Nie, wcale nie uważałem jej za zwiastuna okrutnych zdarzeń, nie umiałbym ich sobie wcale wyobrazić, po prostu nie godziła się z ospałą harmonią mebli, był ów ślad czymś zdumiewającym, jak jakiś szczegół wzięty z niemożliwości, który zniecka ujrzałoby/ się tuż przed sobą, przemawiający spokojnym naciskiem samej swej materialnej, więc nie dającej się zakwestionować, egzystencji. Jak to — a wiec naprawdę mogło tak być — naprawdę ktoś gotów był strzelać do okien? Do mieszkań? A ja urodziłem się w trzy lata potem?

Muszę uważać, aby nie popaść w przesadę. Przebita kulą szybka zawsze dziwiła, drażniła może nawet, jak niespodziewany zgrzyt, ale nic nadto, i nie zastanawiała bardziej, aniżeli krople żywicy, które roniła futryna tegoż okna — bardzo lubiłem zbierać na palec każdą kropelkę powoli, bo w ciągu wielu dni, wypłakaną wreszcie przez drzewo, poprzez lakier, z wierzchu już zasychającą trochę, w środku wonną, żywiczną i lepką. Zupełnie jakby drzewo nie chciało się pogodzić ze swoim losem, jakby się całe jego niewidzialne wnętrze znajdowało jeszcze w lesie, opowiadało się za nim uparcie wbrew oczywistości hebla, gwoździ, lakieru, obu skuwek, którymi przymocowany był do ramy wąski gurt story. Tyle, aby sprowadzić problem przestrzelonej szyby do właściwych wymiarów.

A co właściwie takiego zostało zadziergnięte między dzieckiem, chodzącym wciąż tymi samymi ulicami, a ich chodnikiem, ich murami? Czy szło może o piękno? Nie dostrzegałem go, nie wiedziałem, że miasto może być inne, a więc nie pofałdowane kamiennie, nie

wzgorzyste, że perspektywy ulic, jak Kopernika, jak Sykstuskiej, nie muszą ulatywać w górę, tramwaje — zjeżdżać na łeb na szyję lub piąć się na wyżyny, nie dostrzegałem gotyku kościoła Elżbiety, wschodniej egzotyeczności katedry ormiańskiej, jeśli podnosiłem głowę, to żeby zobaczyć, jak kręci się blaszany kurek na kominie. Zadziwiające, że potrafię w ogóle, wysiłkiem cofającej się pod prąd czasu pamięci przywrócić niewinność takim słowom, jak Janów, jak Zniesienie, Piaski, Łąckiego, którym lata czterdzieste pierwsze i czterdzieste drugie przydały złowrogiego znaczenia, gdy ulice, od Bernsteina, aż za Teatrem, w kierunku Słonecznej i dalej, jednego dnia stały zupełnie puste, wymarłe, z chwiejącymi się na wietrze otwartymi oknami, z pustką nagłą ścian, podwórek, ganków, a jeszcze dalej pojawiły się, a potem znikły drewniane płyty getta. Widywałem je z daleka, z ich podmiejską, porozrzucaną zabudową — potem już tylko trawą zarosnięty gruz. Ale w latach trzydziestych nikt nie mógł tego się domyślać. Pewno, bywało i wtedy rozmaicie. Widziałem z balkonu naszego mieszkania, kuląc się za jego kamienną barierką, starcie szarżującej policji konnej z manifestującym tłumem, było to podczas pogrzebu Kozaka — w łaskocie blaszanych żaluzji, którymi kupcy usiłowali ratować swoje szyby wystawowe, widziałem, jak leci z konia ściągnięty policjant w błyszczącym hełmie, ale to było jak nagła burza. Przeszło, i kiedy dozorca pozamiatali rozbite szkło z bruków, znów wrócił spokój, wdzięczne pacjentki — zakonnice przynosiły ojcu ze swego ogrodu olbrzymie naręcza szczepionego bzu, które kładło się pod płynącą wodę w wannie, w Wesolej Lwowskiej Fali słuchało się rozhovorów Tońcia ze Szczepciem lub przerywanych chrząkaniem, śmiesznych monologów pana Strońcia, a ja oświadczyłem rodzicom, że nie pójdę do gimnazjum, ponieważ trzeba tam nosić pumpy, których nosić nie mogę, bo łaskoczą pod kolanem. Byliśmy, teraz to wiadomo, jak mrówki, krzątające się żywo i energicznie w kopcu, nad którym podnosiła się już podeszwa buta. Niektórzy dostrzegali jego cień, tak się im zdawało, ale wszyscy, więc i oni, do ostatnich chwil biegali wokół tych samych spraw, z gorliwością i zapałem, aby zabezpieczyć, załagodzić, oswoić przyszłość. Dorosli i dzieci, byliśmy wszyscy zrównani błogosławieństwem niewiedzy, bez której nie można żyć.

Przecież przygotowywaliśmy się. Na co dzień przychodziło się do budy w mundurkach — raz w tygodniu przypadały lekcje PW, przysposobienia wojskowego. Obowiązkiem naszym było jawić się wtedy w odpowiednim uniformie. Składał się właściwie tylko z bluzy, zielonej, płóciennej, wkładanej przez głowę, podobnie jak zwykła rosyjska „gimnastiorka”. Kto mógł, wkręcał w nią na piersi znaczki rozmaite, harcerskie, odznaki strzeleckie — co do mnie wypukawszy masę naboju na strzelnicy pod Wysokim Zamkiem, zdobyłem przed maturą złotą odznakę strzelecką, ale niedługo miałem się nią pysznić.

Bluzę należało nosić z przodu porządnie przyglądną, ściśniętą szerokim rzemieniem. Niektórzy mieli wspaniałe, z podwójnymi klamrami i licznymi szlufkami; zdobyłem też taki, miał nawet podszewkę z cieniutkiego filcu i zaczepy mosiężne na skośny przez pierś pasek oficerski, do którego rzecz jasna nie miałem prawa. Cóż, kiedy należało mieć figurę wysmukłą do tej bluzy, jak L., którego można było objąć rozwartymi dłońmi w talii — ani śladu wystającego tyłka, inaczej wszystkie sprasowane z tyłu fałdy sterczały jak obszerny ogon, robiła się od razu jakaś spódnica z munduru. Dosyć mnie to trapiło.

Komendantem hufca był profesor Starzewski, historyk, oficer rezerwy, ale czuwał nad nim z wysoka, więc i z daleka. Na co dzień zajmowało się nami kilku podoficerów zawodowych, którzy przychodzili z miasta, nieraz niosąc rozmaite tajemnicze paczuszki, z okrytymi wojskową tajemnicą przedmiotami, na przykład maleńkie fiolki, w których spod korka dawał się wywahać nikły ślad zapachu gazów trujących, złagodzony do nieszkodliwości w tym aptecznym opakowaniu. Dawali więc wahać nam fosgen, cyjanek bromobenzylu, chloroacetofenon i inne równie groźnymi nazwami opatrzone, niewidzialne trucizny. Dostawaliśmy na tych ćwiczeniach i maski gazowe, pamiętam ich nieprzyjemny, gumowo-

brezentowy zapach i smak, oddychało się w nich z trudem, biegało dysząc spazmatycznie, ale była to wciąż zabawa.

Raz na boisku zapalono świece dymne i sierżant rzucił granat łzawiący. W pewnej chwili zwiąło chmurę na tercjana, z której wynurzył się, płacząc jak bóbr. Podoficerowie mieli z nami niemało kłopotów. Po cichu drwiliśmy z nich, dobrodusznie zresztą, powtarzało się ich rozmaite powiedzonka — kapral Lelawy wcale się tak naprawdę nie nazywał, ochrzczono go tym przewiskiem po wykładzie, w którym przedstawiał nam dramatycznie, jaki to człowiek, co się nałyka fosgeny, robi się „lelawy” na twarzy. Mieliśmy też własne karabiny, w gimnazjalnym, mikroskopijnym, arsenale — przeważnie Lebele z 1889 bodaj roku. Była to broń archaiczna, choć wielostrzałowa, długa i ciężka, naboje wchodziły jeden za drugim do kanału wydrążonego w łożu pod lufą, składało się i rozkładało zamki niezliczoną ilość razy, sporo było też musztry, prezentowania broni, a bardzo, ale to bardzo rzadko dostawaliśmy nawet po ślepaku — oczywiście już za miastem, gdzieś na Kaiserwaldzie, dokąd nas wyprowadzano uformowaną kolumną. Wylotowe otwory naszych karabinów były wyraźnie rozkalibrowane, nie miała też owa broń znaczenia bojowego, równie dobrze można było ćwiczyć się ociosanymi w kształt karabinów drewnami, ale zakwestionowanie jakości karabinów zostałoby chyba poczytane za zdradę główną. Przy brzydkiej pogodzie spędzaliśmy te dwie godziny w klasie, na czyszczeniu broni. Była to cała sztuka, trochę danaidowa, trochę syzyfowa, w otoczeniu ogromnej ilości pakuł i wazelinowatego towotu. Poznaliśmy też sposoby sprawdzania jakości naszej roboty — za pomocą zapałki zestruganej na cieniutką wykałaczkę, którą sierżant dłużył subtelnie wokół śrubek kolby, pomiędzy drewnianym łożem a lufą, zawsze w końcu można było znaleźć jakąś mikroskopijną szparkę, która ubrudziła koniec drewnianka i wszystko zaczynać trzeba było od nowa. Ale nie bardzo to jakoś gniewało — jak gdybyśmy pojmowali, że takie są reguły tej gry, że na tym właśnie polega wojsko.

W drugiej licealnej chodziliśmy już na strzelnicę, gdzie strzelało się z prawdziwych karabinów, nie z Lebeli; atmosfera panowała tam frontowa. Do tych strzelań przygotowywano nas tak długo, karabinu Mausera używanego w armii nie dawano nam dotykać do ostatniej omal chwili z taką tajemniczością czy ostrożnością, wydzielano nam już na stanowiskach betonowych po jednym tylko na raz ostrym nabojem tak buchalteryjnie, że w końcu karabin stawał się jakąś bronią gigantycznego znaczenia, o sile ogniowej, której nic nie odeprze — rzadkim i precyzyjnym instrumentem, posiadanym przez mało którą armię świata. Nie twierdzą, by coś takiego nam wmawiano — po prostu, z całej długiej celebry wynikało w końcu podobne wrażenie.

Zresztą, prawdę mówiąc, grała tu też atmosfera strzelnicy, owe betonowe stoiska, potężne „kopniaki”, którymi częstowała broń, jeśli nie przycisnęło się należycie kolby do barku, czymże był w porównaniu z KB nędzny karabinek sportowy 0,22, z którego czasem strzelaliśmy w gimnazjum! Nawet repetier Julka D. przestawał imponować. Zabawne, że świadomość celów, do jakich przeznaczony jest karabin, w gruncie rzeczy do nas — czy do mnie przynajmniej, ale chyba i do innych — nie docierała. Owszem, na strzelnicy tarcze nie były to już niewinne, sportowe olimpijki z czarnym pośrodku kręgiem, ukazywały dość wyraźnie sylwety koloru bladozielonego, z hełmem na głowie i białą plamą twarzy, ale był to przecież także cel czysto umowny. Chodziło o to, żeby trafić, nie żeby zabić — o zabijaniu jakoś się nie mówiło.

Wtedy nawet, kiedy odbywały się ćwiczenia w walce na bagnety. Nie lubiłem ich. Broń stanowiły długachne, z grubsza tylko ociosane na kształt karabinów drągi, z wystającymi końcówkami, które owinięte były pakułami obwiązanymi szmatą, że sterczała tam jakby twardawa pięść szmaciana. Postawa zasadnicza była pokraczna — na szeroko rozstawionych, nisko bardzo ugiętych w kolanach nogach; pojedynkowaliśmy się z sobą parami albo czasem z sierżantem — wielkim na bagnety fechtmistrem, albo też raziliśmy ogromne, pałubiaste

lale, podobne nieco do wyołbrzymionych kukieł krawieckich. Pokazywał też nam sierżant, gdzie należy dźgać i w jaki sposób — zaraz wyciągano go na rozmówki bardziej anegdotyczne — o takich i innych rodzajach bagnetu, o polskim, płaskim, o tym, co ma przekrój czworokątny; po wbiciu, w pewnych okolicznościach należało „przekręcić” — aby się w ugodzonym wrogu flaki wymieszały.

Nareszcie, ale już w sposób czysto teoretyczny, pokazywał nam sierżant, co można zdziałać zwykłą łopatką saperską, jakie to doskonałe narzędzie, kiedy trafić nim człowieka w kąt pomiędzy szyją a obojczykiem, bo można przy jakimś szczęściu całe ramię z barkiem odwalić, byle nie mierzyć w głowę, dla Boga, bo na niej zwykle siedzi hełm i łopata odskoczy.

Były nam też prezentowane sposoby odbijania ataków bagnetowych taką właśnie łopatką, rzucaliśmy granatami, to jest ich makietami — a potem znów i znów przez długie godziny sloty czyściło się nieporęczne Lebele. Raz jeden wyruszyliśmy z nimi na miasto w okolicznościach nadzwyczajnych i zgoła szczególnych.

Było to po śmierci marszałka Piłsudskiego, wieczorem. Nie wiem, czemu właśnie o takiej porze. Maszerowaliśmy długo, a cały czas na baczność, że ręka mdłała od ciężkiego Lebela, przyciągniętego tuż do pasa, szliśmy wielkim kręgiem przez miasto, przez plac Mariacki, gdzie, bodajże niedaleko pomnika Mickiewicza, wtedy w ciemności niewidzialnego, stał samotny, nieduży postument z popiersiem kamiennym, przewiązany czarną szarfą tylko, w blasku jednego reflektora, padającym skądś z góry — a my, w żałobnym, ogarniającym jakby całe miasto, ponurym łoskocie bębnow szliśmy, wałąc z całej siły nogami w bruk. Rok był trzydziesty piąty.

Przez trzy lata przysposobienia wojskowego nie wspomniano nam ani razu o istnieniu czegoś takiego jak czołgi. Po prostu nie liczyły się. Owszem — uczyliśmy się wszystkich możliwych gazów i nazw elementów broni, i regulaminu, i rozprowadzania warty, i taktyki terenowej, i mnóstwa innych rzeczy; w końcu, wypadło tego rocznie około stu godzin, a trzysta — przez ostatnie klasy. Ale było — teraz to widzę — tak, jakby przygotowywano nas na wypadek wojny podobnej do tej prusko-francuskiej z 1870 roku. Stanowiliśmy nawet nie armii okruszek, nie zaliczaliśmy się wszak do niej, byliśmy dopiero propozycją takiego okruszka. Przez ileż to tysięcy i dziesiątków tysięcy trzeba by pomnożyć nasze anachroniczne, na nic nikomu potrzebne szkolenia — aby uzmysłowić sobie owe mozolne przygotowania, owe roboty, wysiłki niezliczone ludzi w mundurach, skierowane donikąd. Klęska przysłoniła wszystko — ale nie mogę, bez żalostnego jakiegoś osłupienia, wmyśleć się w ów zmarnowany trud.

Ostatnia przed maturą wakacje letnie spędziłem na obozie przysposobienia w Delatynie. Było tam jak w wojsku, na manewrach: mieszkaliśmy w namiotach po osiemnastu chłopca, nad wysokim, urwistym brzegiem Prutu, ze wszystkim jak się należy — ranną pobudką, musztrą, ćwiczeniami polowymi, obiadem z kotła, zajęciami taktycznymi i wieczornym apelem.

Pierwszy to raz znalazłem się już całkowicie poza sferą rodziny — nikt prócz drużynowych i podoficerów nade mną nie czuwał. Dano też nam od razu do zrozumienia, że traktuje się nas jak dorosłych, wojskowych ludzi — kapitan bowiem przestrzegał przed kontaktami z żeńską ludnością okoliczną, ponieważ wśród Hucułów endemicznie panowała kiła.

Uczyłem się wielu rzeczy, także funkcjonowania mechanizmu władzy. Kiedy wypadła na mnie kolej i zostałem podoficerem dyżurnym, rankiem udałem się do sierżanta-szefa, by fasować przypadającą na mój namiot porcję marmolady do chleba; sierżant odkroił sobie potężny zwal malinowej substancji i wręczył mi resztę, ja zaś, wracając, :, zrozumiałem, co mi się należy, i z kolei też odłupałem sobie funkcyjny dodatek na własną rękę.

Pod koniec turnusu odbyły się wielkie—manewry przy obecności warszawskiego aż obserwatora, jakiegoś majora; wydał się nam szarżą niebotyczną całkiem. Aby uniknąć kłopotów, związanych z noszeniem łopatki saperskiej, która podczas bieganina waliła w tyłek,

skorzystałem z tego, że tylko co drugi junak otrzymał taką łopatę i zacząłem udawać, że jej nie wyfasowałem, schowawszy łopatę, za poradą życzliwego drużynowego, do siennika. Zginęła rozumie się natychmiast, trzeba było potem za nią płacić. Ale przynajmniej uniknąłem trudów okopywania się; poradziłem też sobie z moim Lebelem, ponieważ — za podszeptem cywilnego ducha, który we mnie siedział — raz na zawsze wyczyściwszy do srebrnego blasku wnętrze lufy, zatkałem wylot jej małym dyskretnym koreczkiem, aby się tam nie mógł dostać piasek przy nieustannych skokach i padaniu. Tak więc, podczas czyszczenia broni, pucowałem ją tylko z wierzchu, a w odpowiedniej chwili przy przeglądzie wyjmowałem ukradkiem korek.

Gorzej powiodło się memu koledze Mieciowi R., którego podczas przerwy w wielkich manewrach upatrzył sobie czemuś sam major i kazał mu najpierw zademonstrować chwyt na komendę „Pogotowie gazowe”, a potem zakrzyknął „Alarm!”. Mietek zbladł, ale pod czujnym okiem wszystkich szarż otworzył w końcu blaszaną puszkę, w której zamiast maski znajdowały się jabłka i cukierki. Maskę, jak ja łopatę, ukrył w sienniku. Okropne miały być tego czynu skutki, z niedostatecznym stopniem PW na świadectwie włącznie, ale potem jakoś to przyszło.

Same manewry pamiętam jako wielkie bieganie i pukanie ślepakami, przy czym zrywano nas o czwartej rano. Zauważyłem, że o tej porze świat jest w lipcu niezwykle wprost piękny, i nawet sobie obiecywałem, że w cywilu też będę musiał go tak wcześnie rano kosztować. Jakoś do tego nigdy potem nie doszło. Naczołgaliśmy się co niemiara, i nigdy nie było wiadomo, gdzie jest tak zwany fachowo nepel, więc na wszelki wypadek pukało się na wszystkie strony. Potem zgubiły się gdzieś szpice, potem znów napotkana przypadkiem Hucułka, która zaczęła się koło nas kręcić, nagle skoczyła na kark drużynowemu i wyrwała mu karabin — był to, jak się wyjawilo, jeden z kaprali, szatańsko przebrany i demonstrujący nam w ten sposób wojenne chytryści.

Zdaje się, że zwyciężyliśmy, chociaż całkiem pewny tego nie jestem. Jeszcze parę razy pozrywano nas w środku snu z sienników nocnymi alarmami, przy czym jeśli wszystkie sznurowadła nie były uczciwie przewleczone przez dziurki, całą drużynę posyłano na powrót pod koce — jednej nocy coś cztery razy przyszło rozbierać się i ubierać w rekordowym tempie. Ale najlepiej zapamiętałem to, że w wojsku nieustannie coś się czyści — jeśli nie broń, to buty, jeśli nie buty, to podłogę (podłogi w namiotach nie było i tutaj czyszczenie wyjawiało swój całkowicie symboliczny już charakter).

Właściwie po raz pierwszy zetknąłem się wtedy z bliska — kiedy mieliśmy wychodne — ze straszliwą nędzą, jaka panowała wśród Huculów. Za pięć groszy albo za kromkę chleba można było dostać pełną, kopiastrą menażkę malin czy poziomek i jeszcze sobie to chwalili. Delatyn znajdował się nieco z dala od ośrodka turystyki jak Tatarów czy Jaremcze.

Kilka dni pracowaliśmy w wodzie, przy budowie mostu, który zniosła wezbrana rzeka. Opaliłem się wtedy jak Murzyn. Przyszedł wreszcie kres tej nieprawdziwej wojaczce, odbyły się wszystkie rytuały — z podrzucaniem do góry poruczników i podoficerów, a mniej lubianym, którzy dawali nam w kość, podstawiało się, kiedy spadali, kułaki zamiast otwartych rąk.

Pamiętam, za jednym z poruczników, świńskim blondynkiem, który na słońcu czerwieniał, jakby go miał lada chwila szlag trafić, gnaliśmy przez cały obóz — usiłował wydawać kielznające komendy, ale szacunek wobec szarż pękł, służbistość nagle się rozsypała i nic porucznikowi nie pomogło — wyleciał w powietrze.

Karabin dziwnie mnie wyprostował i nawet schudłem. W ostatnim dniu było wieczorne ognisko z wielkimi śpiewami, uczta z lemoniadą gazowaną i pączkami–kluchami, a nazajutrz załadowano nas do wagonów. Podczas drogi do Lwowa przysiadł się do mnie jeden z wykładowców, podchorąży, któremu byłem wprost niesłychanie sympatyczny, więcej: który wręcz podziwiał mnie; serdeczność, ba, uznanie (nie wiadomo całkiem za co), okazywane

przez oficera, zupełnie mnie otumaniło. Toteż, gdy okazało się, że podchorążemu podobają się moje buty (miałem dwie pary), rozstałem się z nimi natychmiast — tylko nie wiedziałem zrazu, jak mu te buty ofiarować, żeby się nie obraził, o tyle wyższy rangą — na szczęście sarni rzecz ułatwił i trzymając je za uszy, natychmiast znikł. A właśnie pociąg wjeżdżał na perony, pod ogromną kopułę Dworca Głównego, gdzie czekali stęsknieni rodzice.

Nikt nie umieraj, kiedy byłem mały. Słyszałem o takich wypadkach, pewno, jak o upadku meteorytów. Każdy wie, że spadają, to się zdarza, ale jakież to ma związek z nami? Podczas pisania tych słów, między jednym a drugim deszczowym dniem zakopiańskim, śnił mi się ojciec. Nie taki zamglony, niewyraźny, niewiadomego wieku, jakiego potrafię sobie wyobrazić na jawie, ale w konkretnej chwili, żywy. Widziałem jego szare, nie zmęczone jeszcze oczy za okularami, krótki wąs, przycięty nad wargą, małą bródkę, jego ręce o krótko uciętych paznokciach, szczołkowane wciąż ręce lekarza, ze złotą obrączką, ścieńczałą od noszenia, fałdowanie się kamizelki, surdut, obciągnięty odrobinę z prawej strony ciężarem lustra laryngologicznego — a w głębi mieszkanie, tapety, stary wysoki piec z białych, popękanych drobnutką siateczką kafli, tysiące innych szczegółów, których po przebudzeniu nie umiałem nawet nazwać. To wszystko jest we mnie, niedostępny tłum wspomnień, kolejnych minut, godzin, dni, tygodni, lat — i nikt, oprócz snu, nad którego ruchem nie panuję, nie może tam wejść. Jest tam gdzieś park Stryjski, cały w śniegu, i ojciec, przechadzający się w alejce czarnych drzew, z rakami w kieszeniach płaszcz, okrutnie zziębnięty, gdy ja, pierwszy raz na nartach, ledwo poruszam nogami, wyobrażając sobie, że jestem panem niezmiernych przestrzeni. Stuk kopyt, nagle zmatowiały na drewnianym bruku Marszałkowskiej przed Uniwersytetem Jana Kazimierza, przeciągły, zawodzący zgrzyt, którym w okna klasy bił tramwaj, skręcając wokół naszego boisko w mozolnej wspinaczce na Wysoki Zamek. Poręcze wszystkich schodów, z których zjeżdżałem, kraciaste pumpy kolegi Łozy, najdłuższe w klasie, zielone lokomobile z Targów Wschodnich i wszystkie kasztany. Miedziany kocioł na wodę z pieca kuchennego, żołędzie sypialnianego sufitu, tandeta z żelaziwem, w którym poszukiwałem skarbów i nawet pierwsze łóżko, białe, zamykane z boku sznurowaną siatką. Okręt–zagadka, który cudownie jakoś wpłynął do flaszki przez wąską szyjkę, i ten pierwszy, legalny papieros, z czerwonym ustnikiem płóciennym, marki „Nil”, którego zapaliłem po maturze, w czerwcu 1939 roku.

A przecież jakie lawiny zwały się na ów świat. Jak mogły nie zetrzeć go ze szczeniem, nie wygubić ostatnich jego śladów? Dla kogo właściwie trwają, przed kim strzeże ich tak pamięć, niechętna, tylko w nocy, tylko w nieprzytomności snu, przed nim, ślepym, na oścież otwierająca swoje skarbcę, niepokorna i skąpa na jawie, udzielająca porwanych, pytyjskich odpowiedzi, które trzeba dopiero mozolnie rozszyfrowywać, wypełniać ziejące luki domysłem, wbrew jej upartemu milczeniu, rezygnować, gdy jakiś wydobyty z niej raptem, ukradkiem jakby wyniesiony szczątek, plamka kolorowa, zarys czyichś ust, cień, dźwięk, niczym się nie tłumaczy, mimo napierającego ciemno przeświadczenia, że to wiązało się z czymś woźnym, że tamtędy przyszedł kiedyś los, ale jest tylko pustka, głucha jak ściana niewidzialna, nic nie można z tym począć. Zamyślenia jak podkopy, jak sztolnie, które się zapadają; cóż za sknerstwo, co za obojętność pamięci, która wszystko przecież wie i może, ale nie poddaje się uparta, wzdorliwie w sobie zamknięta, ignorująca upływ czasu, niezawisła od niego. Gdybyż choć naprawdę była pustką, z rzadka zasianą rojowiskiem gasnących obrazów, ale nie, na pewno tak nie jest, są na to dowody, w snach — a zawsze nie tam dopuszcza, gdzie bym chciał, nie wówczas, gdy mi na tym zależy, nigdy, tępo zatrzaśnięty mechanizm, suwerenny w precyzyjnym swoim z obłądną doskonałością wykonywanym zadaniu — utrwać, przechowywać, niezmiennie i na zawsze. Ależ to nieprawda — przecież przepadnie ze mną, strażniczka zaciekle, sknera, zaprawiona w tyranii, w nieposłuszeństwie, w szyderczej krnąbrności, tak stała i tak krucha zarazem, czuła, a równocześnie obojętna jak węgiel, w którym odcisnął się liść. Jak ją zrozumieć? Jak się z nią pogodzić? Sieci neuronowe, synapsy, pętle McCullocha? Nic, nie tłumaczcie jej w tak mądry, w tak śmiesznie uczony sposób — to na nic, niech zostanie już, jak jest. Stanowimy z nią jakby parę boczących się na siebie koni, które ciągną ten sam wóz. Dalej, moja towarzyszko nierozłączna, nieznaną, mój wrogu, mój przyjacielu.

Zakopane, czerwiec 1965 r.

WIERSZE MŁODZIEŃCZE

* * *

Nie wiem, czy ręka ślepcy i czułek ślimaczy
Kiedy rzecz w sobie zamkną, czują tak, jak ja
Kiedy palce i pięść mą zaciskam, gdy znaczy
W niej istnienia spoistość nagły kształt, i trwa.

Nie wiem, jakie atomów obroty i loty
Powrozami unerwień rozpędzają dzwon
Lany z gwiazd, lotu ptaków, żelaza, tęsknoty
I z wielkiego spokoju. Jestem jego sercem.

1948

BEETHOVEN, SYMFONIA PIĄTA

allegro con brio

Gwiazdo najłagodniejsza, uśmiechu, co z bliska
Wyłaniasz się z błyskawic wysoki: melodio,
W tobie struny kolorów, tętniące ogniska
I szkielety żelaza, które pożar pogiął.
Przebudziłaś mnie z jawy. Kiedy głos twój woła,
Głaz dyszy, przepaść gada ustami z kamienia,
Odkupione są zbrodnie i jasna jest ziemia
A cisza, kiedy milczysz, jest jak grób anioła.
Przebudziłaś mnie z jawy. Ty ciemność u czoła.
Oto się odwalają sklepienia pochmurne
Dzień i noc obejmują rękami obiema
Nasz glob: na czarnej kuli wryty poemat
Jak pełną nienazwalnych horyzontów urnę.

1948

LIST MIŁOSNY

Jest wieczór. Wiatr wydyma
Horyzont w szklaną bańkę
Z rumianym, złotym brzuszkiem.
Kasztan za oknem wiąże
Pędy w słodkie węzłki,
By zapamiętać: wiosna.
Owad na czarnych rzęsach
Przebiega kartkę papieru,
Ktoś gra za ścianą na skrzypcach,
Jak gdyby mówił: noc.
I ktoś na drugim piętrze
Zapala okno jak gwiazdę
Samotną, wyczekującą —
I ktoś chce słowem jak dłonią,
Nakryć świat niby muszkę,
Myśmy raz taką mieli.
Ale najbliższy ze wszystkich
Jest szelest krwi, która w skroni
Jak za ostatnią ścianą
Uderza, bym pamiętał.
Już mi się pierwsza gwiazda
Rozpływa w srebrną plamkę,
Kto nazbyt patrzy, traci.
A oto sen, taki mały,
Jak gdyby był dla dziecka
I jest w nim jeden wyraz,
Nie wiem: czy śmierć, czy miłość?
Może to tylko ciemność,
Może krew już nie śpiewa,
Może dłoń jest jak oddech wstrzymany
.....
Miałem sen koloru twoich oczu.

MAŁE WIERSZE

I

Wieczór dzieciom pod uśpione powiek:
Wkładał sny najróżowiej, jak umiał,
Na ton wspólny nastrojał pasieki,
W pustych muszlach wirował i szumiał.
Noc odjęła sobie gwiazdkę od nieba
I zmieniła ją na słodkie słowiki.
A sen poszedł do lasu i śpiewał,
I pokręcał wiolinowe kluczyki.

II

Księżyc z podbitym lila okiem
Ogromnie patrzył w głuchy padół,
Aż nagle zobaczywszy ziemię
Obłok na bakier wcisnął w ciemię
I, zły, policzki srebrem nadał.
Wiatr, pan na wszystkich widnokręgach,
Buszował w liściach niby w księgach.
W których zapisał los wyroki.
W ciemności toczył chodnik kręty
I rzeźbił gwiazdne ornamenty.
Wreszcie do ciepłej dębu dziupli
Brzuszek powietrza mały wpuklił
I, jak nietoperz na dół głową,
Usnął na smutno i liliowo.

VALSE TRISTE

Dźwięki jak białe palce
Rozchylają łagodną ciszę.
Naciskam czarne klawisze
Jakbym pisał srebrem list.
Ton rysuje coraz wyraźniej
Ciebie, światło mej wyobraźni,
Jasny ślad twoich oczu na wietrze.
Figurynki tańczą w chórze,
Bas zacina się w klawiaturze
I lecą dzwonki w powietrze.
Gram przeloty lekkich pejzaży,
Macierzankę śródleśnych mogił
I z melodii, jak z polnej drogi,
Widzę biały zarys twej twarzy.
Czasem głos twój nawet usłyszę.
Wieczór w oknach dopada błękit
Miesza duże gwiazdy z muzyką.
Jak przez ogród szedłem przez dźwięki.
Aby spotkać ciebie i ciszę.

Z CYKLU „OWADY”

I. CMA

Cma ma skrzydła z fioletu i grozy.
Pod skrzydłami jest puszysty wiatr.
Świat to ciemność nizana na słodkie kule światła.
To góra liliowego powietrza.

II. MOTYL

Motyl kwitnie na jasnej łądzy powietrza.
W witrażu jego skrzydeł mozaikami wklęci
Młodziankowie, królowa niebieska i święci,
I najczerwieńsze serce. To uśmiech pamięci.

III. GĄSIENICA

Wolno przepływa taflą zielonych liści
Kreśli pętle podróży śliną srebrzystą i wiotką.
Z głowy wytryska jedwab. Nim się kokon przyśni,
Czuje, jak świat się dokoła to kurczy w sobie, to dłuży.

CODA

Niebo tkwi w czarnej ziemi. Tak pęcherz błękitu
W bryle lawy tym tylko jest, że jej tam nie ma.
Tak w świecie, zakreślonym wielkich blasków płytą
Mrok, to niedosyt słońca, a życie — cierpienia.

*(Pamięci Wiesława Orłowskiego, który
w sierpniu br. zginął tragicznie w Tatrach).*

* * *

W ścieżkach orlich, gdzie strome węzły
Złego lotu rozcięte skałami wpół,
Błyskawice jak ptaki strącone więzły
Kłębami srebrnych ziół.

Mgła rozstawiała znaki. Dniało.
Lekki fiolet rzeźbiły zarysy czół.
Z dolin dnia na wpółślepe ciało
Wznosił kamienny wół.

Ściągną wody dygocą w skrzydlatych murach
Bazalt studnię powietrza hakami skuł.
Dołem czarno. A on jak chmura
Spada otchłanią w dół.

Potem cisza odbiera oczom czerwony obraz,
Chłodne włosy są jak bezludny las.
Matki nie ma. A noc jest dobra,
Noc jest jak głaz.

Góra jodeł doliną płynie
Obłok czasem opada dymami w dół,
Jakby Bóg ciskał na kamienną skrzynie
Kłęby czarnego bzu.

Zakopane, 1947

* * *

Gołębie wpisywały w szkarłatne podniebie
Siatki oszalałego Merkatora. W mapach
Odkrywałeś na globach o lodowych kapach
Sny dziewcząt, archipelag skowronków i siebie.

Ziemia zimny krajobraz niebu oddawała.
Wzrok jak ptak, co powraca z ciemności do gniazda,
Zamykał się, strącony z wysokości, w ciała
Tylko serce czuwało jak wygasła gwiazda.

1947

CMENTARZ POLNY

Brzozy jak tory spadłych gwiazd. Ciemność półkřęgiem nabijana
Ćwiekami białych krzyży. Las najskrzydłej biegnie w mrok bez końca
I bije grzbietem w twardość chmur, zamykających wzrok jak ściana.
Tylko zbudzonej wilgi głos opada przypomnieniem słońca.
Płomieniem przełamany chór. I tylko glina zapamięta
Podziemny kształt wygasłych ust. Na grobach wschodzi miedź i mięta.
Kwiaty unoszą pusty wzrok ponad powłoki już niczyje
I kędykolwiek stąpnę, śmierć. I ciemność. Nie wiem, za co żyję.

TRIOLET

Paweł zbudował dom
Od kwiatów do jaskółczego gniazda.
Dach kryty lotem,
Okna pełne śpiewu.
Wieczorem
Zbierał kasztany, kolczaste jak gwiazdy
Chmury ptaków
Tłumaczył chmurom drzew
Małe słowa podrastały,
Odmieniały się jak obłoczki:
Różowo — fiołkowo — smutniej.
Układał je do bajek jak do snu,
Kołysał wierszem.

Niebo jego kraju miało żelazne żagle.

Jan nie miał domu.
Mieszkał w uśmiechu jak na wyspie.
Opuszczony przez dziewczęta,
Jak wiąz bez ptaków,
Miłość ukrył pod powiekami,
Nie zdradził jej snem
Dawał drogi
Drzewom i mrówkom,
Nigdy nie dość samotny
Wodził słowa
Lekką linią lazuru
Różowym ramieniem

Struną.

Przyszli po niego w nocy.
Piotr wierzył w niezapominajki.
Jego ojciec
Srebrny żywy staruszek
Miał grób
Cały z płomienia i cegły.
Piotr uczył się od ojca milczenia.
Dziewczyna, którą kochał,
O oczach jaśniejszych niż powietrze
Chwyliła w piersi kulę —
W złotych rzęsach
Zgasły dwa małe nieba.
Piotr
Uczył się od umarłej miłości.

PIĄTKĄ PRZEZ KRAKÓW

Wprawione w ruch i złoto wieże się kołyszą.
Niebo takie niebieskie, że jest tylko ciszą
Malowaną w desenie łagodnych gołębi.
Zachód ustawia w oczach akwarele lila,
Posążki z porcelany i laki, a w głębi
Srebrne ostrze obłoki do słońca przyszpila.
Szkłane róże katedry płomieniem zabłyśły,
Niebo wstępuje w wodę, a z ramienia Wisły
Blanki brunatnej cegły. Ciemniejący zenit
Powraca w złotookich rozstajach kamienic.
W dali, na wielkich tarczach czterościennej wież
W płatkach czarnego złota czas na cyfrach leży
I znaczy długą drogę ziemi, wirującej
Niebem pośród kościołów, jak aleją, w słońce.

Pamięć mała jak gwiazda i jak gwiazda nikła
Zmierzchające kolory z dziewczętami wikła
Jak bezskrzydłe anioły, uwięzione ziemią.

Kogo czerwony zachód i uśmiech kobiety
Zasmuci, a ciemności gwiazdziste oniemia,
Ten jest bardzo samotny i bliski poety.

MIŁOŚĆ

Świat, rozpierany rękami,
Niebo, podparte wzrokiem
I melodie na zewnątrz
Zaciskały mnie z dnia na dzień

Nieprzetkane siecią krwi
Słabły wiatry i światła
Mnąc się, jak duże liście,
Którym dziecko wypruwa żyłki.

Noc wstępowała we mnie —
Obraz ciemnego kraju
Zacierał dźwięk powietrza
I biały oddech kwiatów.

Słowa opadały z moich wierszy.

Zwrotki zarastały w moich książkach.

Krajobrazy umierały w moich oczach.

W niebieskich i zielonych

Kwiaty dzieliły swój kształt między zwierzęta
Ptaki ślepy na wysokości
Drzewa wydarto z tkaniny lasu
Zostały tylko słupy poprzedzielanej przestrzeni
Bezdrzewnie smutne.
Powietrze uchodziło z gniazd i muszli
W czerwonym gardziołku ptaka
Tryle rozpadały się w proch.

We fiołkowych i hebanowych
Gwiazdy wypływały z nieba
Świetliki gasły jak słońca
Snęły skrzela księżycy
Topniały ostatnie obłoki
Woda mieszała się z ziemią
Światło mieszało się z mrokiem
Schodząc w przedświatłą ciemność.

W moich snach wędły twarze

Nie nazwanych wierszy i kobiet
Akwamaryna i ochra
Przemieniały się w proch.
Krajobrazy umierały w głębi oczu.

Aktorzy wychodzili z teatryku
Opadała ciężka kurtyna
Na scenę pustą jak śmierć.

Pustoszał skład wyobraźni,
Przejrzyste skręty marzeń:
Jedwab, plusz, mora, aksamit
Brokat i srebrna lama.

Moje lustra umilkły
Cień powrócił do dębu
Liście zasypały ślad oddechu.
Ziemia nie krąży w słońcu
W żyłach nie krąży krew.

Tylko ty ocalałaś
Przeprowadzona przez płomień,
Biały profil dziewczęcy
W zwęglonej wyobraźni.
Utrwalony jak czarna pieczęć
Paproci, zakutej w węgiel
Przetrwa lasy karbonu,
Które zwałił ocean.